

WILLIAM HJORTSBERG



**HARRY
ANGEL**


Replika

William Hjortsberg

HARRY ANGEL

Tłumaczenie
Robert Lipski

Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty ósmy

*Och, jakże potworną jest mądrość
nie przynosząca korzyści mędrcom!*

Sofokles, *Król Edyp*

Dla Bruce'a, Jada, Ellen i Nicka,
Chłopcy i dziewczęta razem na ulicach Nowego Jorku. . .
I dla Boba,
za jego fantastyczny krok.

Rozdział pierwszy

Był piątek trzynastego i na ulicach, jak pozostałości przebrzmiałej klątwy, zalegał jeszcze śnieg po wczorajszej śnieżycy. Błotnista breja sięgała kostek. Wokół terakotowej fasady Times Tower na 7 Alei powtarzały się raz po raz świetlne informacje z żarówek, układające się w słowa: „. . . W wyniku głosowania Hawaje stają się 50 stanem USA: Biały Dom wyraża ostateczną aprobatę, 232 do 89; podpis Eisenhowera przypieczętował. . . ” Hawaje, słodka kraina ananasów i Haleloki, pobrzękujących ukulele, słońca i wysokich fal, szarych spódniczek kołysanych ciepłym wietrzykiem.

Obróciłem się na fotelu i wyjrzałem na Times Square. Reklama Camela na Claridge buchała wielkimi kólkami dymu ponad sunącymi poniżej, warczącymi samochodami. Wytworny dżentelmen z reklamy, z ustami ułożonymi w kształt O, jakby pod wpływem wiecznego zdumienia, był na Broadwayu zwiastunem wiosny. Wcześniej w tym tygodniu drużyna pracujących na wysokościach malarzy zmieniła strój palacza — ciemny zimowy homburg i gruby płaszcz chesterfield na lekkie, powiewne szaty i słomkowy kapelusz. Wygląda to może niezbyt poetycko, ale ogólnie jest dość wymowne.

Mój budynek wzniesiono przed końcem ubiegłego stulecia: trzypiętrowa sterta cegieł, połączona sadzą i gołębim guanem. Na dachu zalegały wielkanocne tablice reklamowe, zachęcające do lotów do Miami i skosztowania rozmaitych gatunków piwa. Na rogu znajdował się sklep z artykułami tytoniowymi, salonik Pokerino, dwa kioski z hot dogami, a w połowie przecznicy kino

Rialto. Wejście mieściło się pomiędzy peep-show sprzedającym też tanie pornole a sklepikiem z różnościami i wystawą, na której można było zobaczyć pierdzące poduszki i gipsowe psie bobki. Moje biuro znajdowało się na piętrze, równoległe do Zakładu Elektroliz Olgi, Spółki Importowej „Łza” i biura Spółki Lotniczej Iry Kipnis. Ośmiocalowej wysokości złote litery wyróżniały się pośród innych — AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA ROZSTAJE — nazwę tę odziedziczyłem wraz z firmą po Erniem Cavalero, który przyjął mnie jako łapsa, kiedy tuż po wojnie zjawiłem się w mieście. Zamierzałem właśnie wyjść na kawę, kiedy zadzwonił telefon.

— Pan Harry Angel? — zaświergotała z oddali sekretarka. — Dzwoni pan Herman Winesap z McIntosh, Winesap i Spy.

Burknąłem coś przyjaźnie i przełączyła mnie. Głos Winesapa był śliski jak brylantyna do włosów, którą obficie skraplano czupryny dzieciakom. Przedstawił się jako adwokat. To oznaczało, że drogo się cenił. Winesap tak się rozgadał, że prawie się nie wtrącałem.

— Panie Angel, dzwonię do pana, ponieważ chciałem sprawdzić, czy byłby pan obecnie w stanie podjąć się pewnego zadania.

— Dla pańskiej firmy?

— Nie. Występuję w imieniu jednego z naszych klientów. Czy jest pan obecnie bardzo zajęty, czy też może mógłby pan przyjąć to zlecenie?

— To zależy od roboty. Musi mi pan podać więcej szczegółów.

— Mój klient wolałby omówić je z panem osobiście. Zaproponował, aby zjadł pan z nim dzisiaj lunch. Punktualnie o pierwszej w Trzech Szóstkach.

— Czy zechce mi pan podać nazwisko tego klienta, czy mam po prostu rozglądać się za facetem z czerwonym goździkiem w

klapie?

— Ma pan pod ręką ołówek? Przeliteruję je panu.

Napisałem na bloczku przeznaczonym na notatki imię i nazwisko Louis Cyphre i zapytałem, jak się to wymawia. Herman Winesap spisał się wyśmienicie, wymawiając klasyczne „r” jak instruktor wymowy od Berlitz’a. Poprosiłem zatem o informacje dotyczące pochodzenia tajemniczego klienta.

— Pan Cyphre posługuje się paszportem francuskim. Co się tyczy prawdziwej narodowości, szczerze mówiąc, nie wiem, skąd on pochodzi. Nie wątpię, iż na to i inne pytania z radością zechce odpowiedzieć panu podczas lunchu. Czy mam przekazać, aby pana oczekiwał?

— Będę tam punktualnie o pierwszej.

Adwokat Herman Winesap poczęstował mnie jeszcze paroma końcowymi uwagami, po czym się rozłączył. Odłożyłem słuchawkę i aby uczcić przyjęcie nowego zlecenia, zapaliłem jedno z moich świątecznych Montecristos.

Rozdział drugi

Budynek numer 666 przy 5 Alei był fatalnym mariażem stylu międzynarodowego i naszej rodzimej napuszonej technologii. Wzniesiono go przed dwoma laty między 52 i 53 Ulicą: milion stóp kwadratowych przestrzeni biurowej, zamknięte w zdobionych aluminiowych parcelach. Budowla przypominała czterdziestopiętrową tarkę do sera. W holu był nawet mały wodospad, ale to i tak niczego nie zmieniło.

Wjechałem ekspresową windą na najwyższe piętro, wziąłem numerek od szatniarki i podziwiałem widok, podczas gdy maître d' zmierzył mnie wzrokiem w sposób, jakim inspektor kontroli jakości mięsa oszacowuje polec wołowiny. Fakt, że znalazł na liście rezerwacji nazwisko Cyphre'a, nie uczynił z nas bliskich przyjaciół. Przy wtórze łagodnych szeptów obsługujących salę podążyłem za maître d' do niewielkiego stolika przy oknie. Siedział tam mężczyzna w szytym na miarę niebieskim garniturze w prążki, z różyczką wpiętą w klapę; był w wieku między czterdzieści pięć a sześćdziesiąt lat. Włosy miał czarne i gęste, szesane z wysokiego czoła ku tyłowi, ale jego kwadratowo przycięta bródka i spiczasty wąsik uderzały gronostajową bielą. Był opalony i elegancki; jego oczy miały barwę czystego nieba. W jedwabny brązowy krawat miał wpiętą małą, odwróconą, złotą gwiazdę.

— Jestem Harry Angel — powiedziałem, kiedy maître d' wysunął dla mnie krzesło. — Adwokat nazwiskiem Winesap powiedział, że chce pan porozmawiać ze mną w pewnej sprawie.

— Lubię ludzi, którzy od razu przechodzą do rzeczy — stwierdził. — Może drinka?

Zamówiłem podwójny Manhattan, czysty; Cyphre zastukał wymanikiowanym palcem w szklaneczkę i powiedział, że prosi raz jeszcze o to samo. Nietrudno było wyobrazić sobie tę gładką dłoń ściskającą rękojeść bicz. Takie dłonie musiał mieć Neron. . . i Kuba Rozpruwacz. To były ręce cesarza i morderców, miękkie, lecz zabójcze; okrutne, smukłe i wypielęgnowane palce to idealne narzędzie zła.

Kiedy kelner się oddalił, Cyphre pochylił się i rzucił mi porozumiewawczy uśmieszek.

— Nie znoszę trywialności, ale zanim zaczniemy, chciałbym się upewnić, z kim mam do czynienia.

Wyjąłem portfel i pokazałem mu legitymację oraz odznakę.

— Jest tam też pozwolenie na broń i prawo jazdy.

Przejrzał pobieżnie zawartość plastikowych wsuwek na wizytówki, a kiedy oddał mi portfel, jego uśmiech był bielszy niemalże o dziesięć procent.

— Wolę wierzyć ludziom na słowo, ale moi doradcy prawni upierają się, by zawsze dopełniać tej drobnej formalności.

— Zwykle to popłaca.

— Coś takiego, panie Angel, a sądziłem, że ma pan duszę hazardzisty.

— Tylko wtedy, kiedy jest to nieodzowne. — Usiłowałem wychwycić jego akcent, ale głos miał jak polerowany metal, gładki i czysty; mogło się wydawać, że od dnia narodzin tłumił go plikiem banknotów.

— Może przejdziemy do rzeczy — zaproponowałem. — Niespecjalnie lubię wstępne gadki.

— Kolejna cecha godna podziwu. — Cyphre wy dobył z wewnętrznej kieszonki na piersi skórzano — złotą cygarniczkę, otworzył i wyjął z niej cienkie zielonkawe cygaro — panatelę.

— Zapali pan?

Podsunał cygarniczkę w moją stronę, a kiedy odmówiłem, Cyphre odciął koniuszek swojego cygara srebrnym scyzorykiem.

— Czy przypomina pan sobie może nazwisko Johnny Favorite?

— zapytał, ogrzewając cygaro płomieniem butanowej zapalniczki.

Zamyśliłem się.

— Czy to nie ten gość, co śpiewał z kapelą swingową jeszcze przed wojną?

— Właśnie tak. W prasie pisano o nim jako o prawdziwym objawieniu. Śpiewał z orkiestrą Spidera Simpsona w 1940. Jeżeli chodzi o mnie, nie znoszę swingu i nie pamiętam tytułów jego przebojów. W każdym razie było ich parę. Dwa lata przed pojawieniem się na scenie Sinatry jego występ nieomal doprowadził do zamieszek pod Paramount Theatre. Powinien pan to pamiętać, Paramount znajduje się w pańskiej części miasta.

— Johnny Favorite to zamierzchłe dzieje. W 1940 dopiero co skończyłem ogólniak i byłem pierwszorocznym gliną w Madison, Wisconsin.

— Pochodzi pan ze środkowego zachodu? A byłem pewien, że jest pan nowojorczykiem.

— Nie ma czegoś takiego, a przynajmniej nie poza Houston Street.

— Racja. — Rysy Cyphre'a przesłoniły błękitne opary, kiedy dmuchnął kłębem dymu ze swego cygara. Powietrze przeszyła woń przedniego tytoniu i pożałowałem, że nie poczęstowałem się choć jednym, kiedy miałem ku temu okazję.

— To miasto ludzi z zewnątrz — powiedział. — Sam się do nich zaliczam.

— Skąd pan pochodzi? — spytałem.

— Powiedzmy, że jestem podróżnikiem. — Cyphre

energicznymi ruchami dłoni rozwiął kłęb dymu, błyskając przy tym szmaragdem, który z chęcią ucałowałby sam papież.

— To mi wystarczy. Dlaczego szuka pan tego Johnny'ego Favorite'a?

Kelner postawił na naszym stoliku drinki, nie zakłócając nam spokoju bardziej niż przesuwający się po ścianie cień.

— Pomijając wszystko inne, ma miły głos. — Cyphre uniósł szklaneczkę na wysokość oczu w bezgłośnym, europejskim toaście. — Jak już wspomniałem, nigdy nie przepadałem za swingiem. Jest jak na mój gust zbyt głośny i skoczny. Niemniej jednak Johnny, kiedy tylko zechciał, mógł brzmieć bardzo słodko, jakby śpiewał kolędy. Wziąłem go pod swoje skrzydła, kiedy jeszcze zaczynał. Był ruiną, chudym jak tyka dzieciakiem z Bronksu. Oboje jego rodzice nie żyli. Naprawdę nie nazywał się Favorite, lecz Liebling, Jonathan Liebling. Zmienił nazwisko dla lepszego efektu. Liebling miało zbyt mało swingu. Wiesz, co się z nim stało?

Odparłem, że nie.

— W styczniu czterdziestego trzeciego dostał powołanie. Z uwagi na swój szczególny talent, otrzymał przydział do Specjalnego Oddziału Służb Rozrywkowych i w marcu dołączył do zespołu występującego w Tunezji. Niestety, nie znam szczegółów, wiem tylko, że podczas jednego z koncertów był nalot. Samoloty Luftwaffe zbombardowały miejsce występu. Większość członków zespołu zginęła. Johnny jakimś zrzędzeniem losu uniknął śmierci. Doznał jedynie obrażeń twarzy i czaszki. Zresztą cofam słowo „uniknął”. Od tej pory nie był już sobą. Nie jestem lekarzem i nie potrafię określić precyzyjnie, co mu się przydarzyło. Przypuszczam, iż było to coś w rodzaju wstrząsu traumatycznego.

Powiedziałem, że ja również wiem co nieco na ten temat.

— Naprawdę? Był pan na wojnie, panie Angel?

— Na samym początku, tylko kilka miesięcy. Miałem szczęście.

— W przeciwieństwie do Johnny'ego Favorite'a. Kiedy odsyłano go do domu, przypominał bardziej roślinę niż człowieka.

— Co za pech — powiedziałem. — Ale gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla mnie? Co miałbym dla pana zrobić?

Cyphre zgasił cygaro w popielniczce i zaczął bawić się zniszczoną już trochę przez czas fajką z kości słoniowej. Była rzeźbiona, w kształcie zwiniętego w kłębek węża z kogucią głową.

— Cierpliwości, panie Angel. Już przechodzę do sedna, mimo że trochę kluczę. Udzieliłem Johnny'emu pomocy w początkowym okresie jego kariery. Nie byłem nigdy jego agentem, ale użyłem dłań swoich szerokich wpływów. W dowód uznania za moją, znaczną bądź co bądź, pomoc zawarliśmy pewien kontrakt. Wiązał się on z obustronnymi zobowiązaniami oraz klauzulą, która miała zostać zrealizowana w przypadku jego śmierci. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć niczego więcej, ale warunki umowy wyraźnie zastrzegają, aby jej szczegóły pozostały tajne. Tak czy inaczej, wypadek Johnny'ego był beznadziejny. Wysłano go do szpitala dla weteranów w New Hampshire, gdzie, jak się zdawało, miał dożyć swoich dni wraz z innymi nieszczęśnikami, przeżutymi i wyplutymi przez bezlitosną maszynę wojny. Johnny miał jednak przyjaciół i pieniądze, sporo pieniędzy. Choć był z natury rozrzutny, przez ostatnie dwa lata zgromadził całkiem sporą fortunę, dużo więcej, niż większość ludzi zdołałaby uciulać przez większość swego życia. Część tych funduszy zainwestował agent Johnny'ego, będący również jego adwokatem.

— Akcja zaczyna się zagęszczać — powiedziałem.

— W rzeczy samej, panie Angel. — Cyphre postukał fajką z kości słoniowej o brzeg pustej szklaneczki, wydobywając z

kryształu czysty dźwięk, jakby odległych dzwoneczków.

— Przyjaciele Johnny'ego przenieśli go do prywatnego szpitala w północnej części stanu. Poddano go intensywnemu leczeniu. Podejrzewam, iż było to typowe psychiatryczne hokus — pokus. Zresztą nieważne, końcowy rezultat był ten sam — Johnny pozostał żywym trupem. Tyle tylko, że zamiast z kiesy rządowej, musiał obecnie pokrywać wszelkie wydatki z własnej kieszeni.

— Zna pan nazwiska tych jego przyjaciół?

— Nie. Mam nadzieję, iż nie uzna mnie pan za człowieka zachłannego, kiedy dodam, że to, iż nadal interesuję się Jonathanem Lieblingiem nie wynika wyłącznie z faktu istnienia łączącego nas obu kontraktu. Nie widziałem Johnny'ego, odkąd poszedł na wojnę. Liczyło się dla mnie tylko, czy Johnny żyje czy nie. Moi adwokaci raz lub dwa razy w roku kontaktowali się ze szpitalem, skąd otrzymywali notarialnie potwierdzony dokument stwierdzający, że pan Liebling wciąż znajduje się pośród żywych. Sytuacja ta nie ulegała zmianie aż do ubiegłego tygodnia.

— Co się wtedy wydarzyło?

— Coś bardzo dziwnego. Szpital, gdzie umieszczono Johnny'ego, znajduje się pod Poughkeepsie. Byłem akurat w pobliżu, załatwiając swoje sprawy, i nagle, wiedziony jakimś impulsem, postanowiłem złożyć staremu znajomemu wizytę. Może chciałem zobaczyć, co robi z człowieka szesnaście lat leżenia w łóżku. W szpitalu powiedziano mi, że odwiedziny są tylko w dni powszednie, w godzinach popołudniowych. Upierałem się i w końcu zjawił się ordynator. Powiedział, że Johnny przechodzi obecnie specjalną terapię i nie wolno go niepokoić do następnego poniedziałku.

— Wygląda na to, że chciał pana spławić — wtrąciłem.

— Otóż to. W zachowaniu tego mężczyzny było coś, co nie

przypadło mi do gustu. — Cyphre wsunął fajkę do kieszonki kamizelki i splótł dłonie na blacie stolika.

— Zostałem w Poughkeepsie do poniedziałku i wróciłem do szpitala w określonych godzinach, kiedy rzekomo odwiedziny były dozwolone. Nie spotkałem się już z ordynatorem, ale kiedy wymieniłem nazwisko Johnny'ego, dziewczyna w recepcji zapytała, czy jestem jego krewnym. Naturalnie odparłem, że nie. A ona powiedziała, że pacjentów mogą odwiedzać wyłącznie osoby należące do rodziny.

— Nie wspomniano o pańskiej poprzedniej wizycie?

— Absolutnie. Wpadłem w złość. Chyba urządziłem tam nie lada scenę. Popełniłem błąd. Recepcjonistka zagroziła, że jeżeli natychmiast nie opuszczę szpitala, wezwie policję.

— I co pan zrobił?

— Wyszedłem. Cóż miałem począć? To prywatny szpital. Nie chciałem napytać sobie biedy. Dlatego właśnie postanowiłem wynająć pana.

— Chce pan, abym wybrał się tam i wywąchał, co się święci?

— Właśnie. — Cyphre teatralnym gestem uniósł dłonie skierowane wnętrzem ku górze, jakby pokazywał, że nie ma nic do ukrycia.

— Po pierwsze, chcę się dowiedzieć, czy Johnny Favorite nadal żyje — to podstawa. A jeżeli tak, chcę wiedzieć, gdzie obecnie przebywa.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem mały, oprawny w skórę notes oraz automatyczny ołówek.

— Myślę, że to dość prosta sprawa. Jaka jest nazwa i adres tego szpitala?

— Klinika imienia Emmy Dodd Harvest znajduje się we wschodniej części miasta, przy Pleasant Valley Road.

Zapisałem to wszystko i zapytałem o nazwisko lekarza, który spławił Cyphre'a.

— Fowler. Na imię miał chyba Albert albo Alfred.

Zanotowałem także i to.

— Czy Favorite jest tam zarejestrowany pod swym prawdziwym nazwiskiem?

— Tak. Jonathan Liebling.

— To chyba wszystko. — Schowałem notes i wstałem. — Jak mogę się z panem kontaktować?

— Najlepiej przez mojego adwokata. — Cyphre wskazującym palcem przyglądał koniuszek wąsa. — Ale chyba pan jeszcze nie wychodzi? Wydawało mi się, że mieliśmy zjeść razem obiad.

— Zwykle nie odmawiam proszonych obiadów, ale jeśli wyjadę już teraz, zdążę dotrzeć do Poughkeepsie przed zamknięciem naszego małego kramiku.

— Szpitale nie mają ściśle określonych godzin urzędowania.

— Pracownicy biurowi owszem. Od tego zależy powodzenie roli, którą zamierzam tam odegrać. Poza tym, gdybym odłożył wyjazd do poniedziałku, straciłby pan niepotrzebnie pieniądze. Biorę pięćdziesiąt dolarów za dzień, plus wydatki.

— To brzmi rozsądnie, naturalnie jeśli wykona pan zlecenie.

— Naturalnie, że wykonam. Satysfakcja gwarantowana. Zadzwońię do Winesapa, gdy tylko się czegoś dowiem.

— Doskonale. Miło mi było pana poznać, panie Angel. maître d' wciąż krzywił się ironicznie, gdy zjawiłem się, by przed wyjściem z lokalu odebrać swój płaszcz i aktówkę.

Rozdział trzeci

Mój sześćoletni chevy stał w garażu Hipodrom przy 44, w pobliżu 6 Alei. Pozostała jedynie ta nazwa, upamiętniająca miejsce, gdzie znajdował się ów legendarny teatr. To tu tańczyła Pawiowa, a orkiestrą dyrygował John Phillip Sorsa. Teraz królował tam smród spalin, a jedyna muzyka dochodziła z przenośnego radia w barze, w przerwach między komentarzami spikera Portorykańczyka, wypływającego słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Dochodziła druga, kiedy sunąłem na północ wzdłuż West Side Highway. Weekendowy exodus jeszcze się nie zaczął i ruch na Saw Mili River Parkway był raczej umiarkowany. Zatrzymałem się w Yonkers, gdzie, tak dla towarzystwa, kupiłem flaszkę burbona. Zanim minąłem Peekskill, wytrąbiłem połowę, a butelkę z tym, co jeszcze zostało, wrzuciłem do schowka na rękawiczki, zachowując ją na drogę powrotną.

Sunałem w łagodnej, kojącej ciszy przez sielską, spowitą śniegiem okolicę. Popołudnie było miłe, zbyt miłe, by zepsuć je kawałkami z radiowej listy przebojów, wytworami adenoidalnych mongołów. Podczas gdy w mieście wszystko było pożółkłe i zmienione w rozpaćkaną breję, tutejszy biały krajobraz wydawał się bajeczny i nieskalany.

Parę minut po trzeciej dotarłem do rogatek Poughkeepsie i odnalazłem Pleasant Valley Road, nie zauważając nawet jednej z tutejszych pięknotek. Pięć mil za miastem natknąłem się na okoloną murem posesję z ozdobną, łukową bramą z kutego żelaza i wmurowanymi potężnymi spiżowymi literami, układającymi się w napis: KLINIKA IM. EMMY DODD HARYEST. Skręciłem na

żwirowy podjazd i po pół mili krążenia pośród gęstych świerków, wyłoniłem się w końcu przed pięciopiętrowym georgiańskim budynkiem z czerwonej cegły, przypominającym bardziej dom akademicki aniżeli szpital. Wnętrze było jednak jak najbardziej szpitalne — ściany blade, pomalowane na zielono, podłoga wyłożona szarym linoleum, tak czysta, że można by na niej operować. We wnętrzu jednej ze ścian znajdowała się przeszklona recepcja. Naprzeciw niej wisiał olejny portret wdówki o paskudnej twarzy i kwadratowej szczęce, która, jak przypuszczałem, była Emmą Dodd Harvest i nie musiałem nawet potwierdzać tego zerknięciem na małą plakietkę, przyśrubowaną u dołu złoczonej ramy. Na wprost miałem błyszczący korytarz, przez który odziany na biało pielęgniarz pchał pusty wózek inwalidzki, by po chwili zniknąć za załomem muru.

Nigdy nie znosiłem szpitali. Po wojnie spędziłem w nich zbyt wiele czasu. Było coś przygnębiającego w dojmującej, wszechobecnej sterylności tych miejsc. Te szelesty i skrzypienie gumowych podeszew na posadzce korytarza i unosząca się w powietrzu woń lizolu. Anonimowi pielęgniarze bez twarzy w świeżych, wykrochmalonych, białych strojach. Codzienne czynności, tak monotonne, że nawet podanie kaczki nabierało wagi rytuału. Wspomnienia z pobytu w szpitalach narastały we mnie z mrozącą krew w żyłach zgrozą. Szpitale, tak jak więzienia, od środka wyglądają jednakowo.

Dziewczyna za stołem recepcyjnym była młoda i nieatrakcyjna. Miała na sobie biały strój, ozdobiony małą czarną plakietką z napisem R. Fleece. Wnęka okazała się biurem z mnóstwem szafek na dokumenty.

— Czy mogę czymś panu służyć? — zapytała panna Fleece głosem słodkim jak tchnienie anioła. Blask świetlówek odbijał się

od jej grubych okularów bez oprawek.

— Mam nadzieję, że tak — odparłem. — Nazywam się Andrew Conroy, pracuję dla Krajowego Instytutu Zdrowia. — Postawiłem moją czarną, aktówkę z cieleńcej skóry na szklanym blacie biurka i pokazałem jej lipną legitymację, wyjętą z zapasowego portfela, który noszę przy sobie na tego typu okazje. Wymieniłem ją w windzie wieżowca Trzech Szóstek przy 5 Alei, wkładając legitymację za foliowane okienko.

Panna Fleece obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, a jej mętnawe, wodniste oczy falowały za grubymi szklami jak tropikalne ryby w akwarium. Domyśliłem się, że nie przypadł jej do gustu mój pomięty garnitur i plamy zupy na krawacie, ale to negatywne wrażenie zniwelował widok drogiej, wytwornej aktówki.

— Czy przyszedł pan tu z jakiegoś konkretnego powodu? — spytała, eksperymentując słabym uśmiechem.

— Być może sama pani odpowie sobie na to pytanie — wsunąłem lipny portfel do kieszeni i oparłem się o blat biurka. — Instytut prowadzi badania związane z nieuleczalnymi przypadkami wstrząsów pourazowych. Moim zadaniem jest zbieranie informacji na temat żyjących ofiar, przebywających obecnie w prywatnych szpitalach. O ile mi wiadomo, macie tu pacjenta odpowiadającego powyższym kryteriom.

— Jak się nazywa ten pacjent?

— Jonathan Liebling. Naturalnie wszelkie informacje, jakich może mi pani udzielić, będą zachowane w ścisłej tajemnicy. Prawdę mówiąc, w oficjalnym raporcie pominięte zostaną personalia chorych.

— Proszę chwileczkę poczekać. — Nieatrakcyjna recepcjonistka o niebiańskim głosie wycofała się do przyległego biura i wyjęła z jednej z szafek dolną szufladę. Wróciła, niosąc

otwartą manilową kopertę, i przesunęła ją po szklanym blacie w moją stronę.

— Mieliliśmy kiedyś takiego pacjenta, ale, jak sam pan widzi, Jonathan Liebling został wiele lat temu przeniesiony do szpitala dla weteranów w Albany. Oto jego akta. Znajdzie pan w nich wszystko, co mamy tu na jego temat.

Przeniesienie zostało skrzątnie odnotowane w formularzu, obok daty 5.12.1945 r. Wyjąłem swój notes i zapisałem w nim to i owo.

— Czy orientuje się pani, kto był jego lekarzem prowadzącym?

Wyciągnęła rękę i odwróciła plik dokumentów, aby móc przeczytać nazwisko.

— Doktor Fowler. — Postukała w kartkę palcem wskazującym.

— Czy wciąż pracuje w tym szpitalu?

— Ależ oczywiście. Ma właśnie dyżur. Chciałby pan z nim pomówić?

— Jeżeli to nie byłoby zbyt kłopotliwe.

Wysiliła się na jeszcze jeden uśmiech.

— Zadzwońię i sprawdzę, czy jest teraz wolny. Podeszła do tablicy rozdzielczej i rzuciła półgłosem kilka słów do niewielkiego mikrofonu.

W głąb korytarza popłynęło echo jej wzmożonego przez urządzenie głosu.

— Doktor Fowler proszony do recepcji. . . powtarzam. . . doktor Fowler proszony do recepcji. . .

— Pracowała pani w ubiegły weekend? — zapytałem, aby zabić czas.

— Nie. Miałam kilka dni wolnego. Moja siostra brała ślub.

— Złapała pani bukiet?

— Niestety, szczęście nie dopisało.

Doktor Fowler pojawił się znikąd, jak duch, bezszelestnie, w tenisówkach na miękkiej podeszwie. Był wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, chodził pochylony i wyglądał trochę jak garbus. Miał na sobie zbyt obszerny, zdecydowanie na niego za duży, pomięty brązowy garnitur. Oceeniłem, że mógł mieć około siedemdziesiątki. Ta resztką włosów, która mu jeszcze została, miała barwę cyny z ołowiem.

Panna Fleece przedstawiła mnie jako pana Conroya, a ja poczęstowałem go bajeczką o K.I.Z., dodając:

— Gdyby mógł pan udzielić mi jakichkolwiek informacji na temat Jonathana Lieblinga, byłbym niezmiernie wdzięczny. Doktor Fowler wziął do ręki manilową kopertę. Przyczyną drżenia jego palców mogła być choroba Parkinsona, aczkolwiek szczerze w to wątpiłem.

— To już tyle lat — powiedział. — Był przed wojną muzykiem. Smutna sprawa. Nie było fizycznych dowodów uszkodzenia mózgu, a jednak kompletnie nie reagował na zaordynowaną terapię. Zatrzymywanie go tutaj miało się z celem, z uwagi na wydatki i w ogóle, toteż przenieśliśmy go do Albany. Był weteranem, do końca życia przyjdzie mu leżeć w szpitalnym łóżku.

— I tam mogę go znaleźć, w Albany?

— Wydaje mi się, że tak. Jeżeli jeszcze żyje.

— W takim razie nie będę zabierał panu więcej czasu, doktorze.

— Nic się nie stało. Przykro mi, że nie mogłem okazać się bardziej pomocny.

— Wręcz przeciwnie, bardzo mi pan pomógł. — I rzeczywiście: jedno spojrzenie w jego oczy powiedziało mi wszystko.

Rozdział czwarty

Wróciłem do Poughkeepsie, zatrzymując się przy pierwszym napotkanym grill barze. Najpierw zadzwoniłem do szpitala dla weteranów w Albany. Trochę to trwało, ale upewniłem się w swoich przypuszczeniach — nie przeniesiono tam pacjenta nazwiskiem Jonathan Liebling, ani w 1945, ani nigdy. Podziękowałem i nie odkładając słuchawki, zacząłem szukać adresu doktora Fowlera. Wraz z numerem telefonu zapisałem go w moim notesie, po czym do niego zadzwoniłem. Nikt nie odebrał. Odłożyłem słuchawkę po dwunastym sygnale. Strzeliłem szybkiego drinka i spytałem barmana, jak dojechać na South Kittridge Street 419. Narysował mi toporną mapkę na serwetce, dorzucając z wystudiowaną obojętnością, iż miejsce to znajduje się w bogatszej części miasta. Barman miał rację co do zamożności tutejszych mieszkańców. Udało mi się nawet ujrzeć po drodze kilka wypindrzonych lafirynd z grubszym szmałem.

South Kittridge była miłą, otoczoną drzewami ulicą, oddaloną o kilka przecznic od miasteczka uniwersyteckiego. Dom doktora był ciesielskim dziełkiem w stylu gotycko — wiktoriańskim, z okrągłą wieżyczką z jednej strony i mnóstwem ozdobnych wolut zwieszających się z okapu jak koronki na kołnierzyku starszej damy. Szeroka weranda z doryckimi kolumnami biegła dookoła całego budynku, a wysoki żywopłot bzu oddzielał posesję doktora od sąsiadów.

Przejechałem niespiesznie obok, uważnie obserwując, i zaparkowałem chevroleta za rogiem, przed kościołem, którego ściany wyłożono ciosowym kamieniem. Na tablicy przed budowlą

zapisano temat niedzielnego kazania: ZBAWIENIE TKWI W TOBIE. Wróciłem na South Kittridge 419, niosąc w ręku czarną aktówkę. Ot, jeszcze jeden sprzedawca ubezpieczeń, szukający kolejnego frajera. Przez okrągłą szybkę w drzwiach frontowych widać było fragment wyłożonego boazerią holu oraz kilka stopni schodów, wyciszonych chodnikiem i prowadzących na pięterko. Zadzwoiłem dwa razy i czekałem. Nikt się nie zjawił. Zadzwoiłem znowu i nacisnąłem na klamkę. Drzwi były zamknięte. Zamek miał dobre czterdzieści lat, a ja nie posiadałem stosownego narzędzia, które mogłoby się z nim uporać. Ruszyłem wzdłuż szerokiego ganku, sprawdzając każde okno. Nic z tego. Były pozamykane. Na tyłach domu ujrzałem wejście do piwnicy. Na drzwiach wisiała kłódka, ale nie pomalowana drewniana framuga była słaba i stara. Wyjąłem z aktówki łom i sforsowałem zasuwkę.

Stopnie były ciemne i obwieszane pajęczynami. Tylko promień ołówkowej latarki ratował mnie przed upadkiem i niechybnym skręceniem karku. Pośrodku piwniczki, jak pogański bożek, stał dumnie węglowy piec. Odnalazłem schody i wszedłem na górę.

Drzwi, na które natrafiłem, nie były zamknięte. Wszedłem przez nie do kuchni, która mogła być uznana za cudo nowoczesności i szyku za czasów administracji Hoovera. Była tu kuchenka gazowa z wysokimi, zakrzywionymi nóżkami i lodówka z okrągłym silnikiem u góry, przypominającym pudło na kapelusze. Jeżeli doktor mieszkał sam, musiał być niezwykle schludny. Talerze śniadaniowe były umyte i stały równym rzędkiem na suszarce. Podłoga wyłożona linoleum była wywoskowana. Postawiłem aktówkę na przykrytym plastikowym obrusem stole kuchennym i rozejrzałem się po domu. Jadalnia i salonik wyglądały, jakby nikt z nich nie korzystał. Ciemne meble, poustawiane z artystyczną precyzją, pokrywała gruba warstwa kurzu. Na piętrze

mieściły się trzy sypialnie. Szafy w dwóch z nich świeciły pustkami. W najmniejszej, z pojedynczym łóżkiem polowym i kredensem z dębiny znajdowało się główne lokum doktora Fowlera.

Zajrzałem do kredensu, ale nie znalazłem tam nic ciekawego poza kilkoma zmianami koszul i bawełnianej bielizny oraz chustkami do nosa. W szafie wisiało parę starych, wełnianych garniturów. Sam nie wiem, dlaczego przeszukałem w nich kieszenie, ale niczego nie znalazłem. W szufladach nocnego stolika, obok małej, oprawnej w skórę Biblii, natrafiłem na rewolwer Webley Mark 5 kaliber .455. Była to regulaminowa broń krótka oficerów brytyjskich podczas pierwszej wojny światowej. Posiadanie Biblii nie było przymusowe. Sprawdziłem bębenek. Był pusty. Zajrzałem do łazienki. Poszczyło mi się. Na umywalce stał parujący sterylizator. Wewnątrz znalazłem pół tuzina igieł i trzy strzykawki. W apteczce natknąłem się jedynie na standardowy zestaw medykamentów — fiołki z aspiryną, syropem przeciw kaszlowym, kroplami do oczu i kilka tubek z pastą do zębów. Sprawdziłem parę buteleczek, zawierających jakieś tabletki, ale wszystkie okazały się legalnymi lekarstwami. Nie zauważyłem żadnych narkotyków.

Wiedziałem, że muszą tu gdzieś być, dlatego wróciłem na dół i zajrzałem do staroświeckiej zamrażarki. Znalazłem ją na jednej półce z mlekiem i jajami. Morfina, lekko licząc, jakieś dwadzieścia buteleczek po pięćdziesiąt centymetrów sześciennych każda. Wystarczyłoby tego, aby przez miesiąc utrzymać tuzin ćpunów na ostrym haju.

Rozdział piąty

Na dworze powoli zapadał zmrok, nagie drzewa przed posesją stawały się mrocznymi cieniami na tle kobaltowego nieba, by w końcu zupełnie stopić się z ciemnością. Paliłem jedną fajkę za drugą, tworząc na nie tkniętej dotąd popielniczce górę niedopałków. Tuż przed siódmą na podjeździe pojawiły się światła nadjeżdżającego wozu; po chwili zgasły. Nasłuchiwałem kroków doktorka na ganku, ale usłyszałem dopiero zgrzyt klucza w zamku. Zapalił lampę naftową i światło zalało mroczny dotąd salon, oświetlając do kolan moje wyciągnięte nogi. Nie wydawałem żadnych odgłosów poza oddychaniem, ale sądziłem, że poczuje dym. Myliłem się. Powiesił płaszcz na balustradzie schodów i wszedł do kuchni. Kiedy zapalił światło, ruszyłem za nim przez jadalnię.

Doktor Fowler najwyraźniej nie dostrzegł mojej aktówki na stole. Otworzył drzwiczki lodówki i grzebał w środku. Stałem w łukowato sklepionym wejściu do jadalni i opierając się o framugę, obserwowałem go.

— Najwyższa pora na wieczorną działkę? — zagadnąłem.

Odwrócił się, przyciskając oburącz do piersi karton mleka.

— Jak pan tu wszedł?

— Przez szparę na listy. Może usiadłby pan, wypił swoje mleko i ucielibyśmy sobie długą, miłą pogawędkę?

— Nie jest pan z K.I.Z. Kim pan jest?

— Nazywam się Angel. Jestem prywatnym detektywem.

Przystawiłem sobie krzesło, a on opadł na nie ciężko, ściskając mleko, jakby to była jedyna rzecz na świecie, jaka mu jeszcze

pozostała.

— Włamanie to poważne przestępstwo — powiedział. — Mógłby pan stracić licencję, gdybym teraz wezwał policję.

Odwrociłem krzesło znajdujące się po drugiej stronie stołu, usiadłem na nim okrakiem i złożyłem ręce na oparciu z giętego drewna.

— Obaj wiemy, że nie wezwie pan glin. Narobiłby pan sobie niezłego bigosu, gdyby znaleźli opium, które chowa pan w lodówce.

— Jestem lekarzem. Mam prawo przechowywać w domu medykamenty.

— Daj spokój, doktorku. Widziałem resztę sprzętu w łazience. Od jak dawna jesteś uzależniony?

— Ja wcale nie. . . nie jestem uzależniony! Nie zniosę dłużej takich impertynencji, cierpię na artretyzm gośćcowy. Czasami, gdy ból jest nie do zniesienia, aplikuję sobie niewielką dawkę narkotyku, aby go złagodzić. A teraz radziłbym, aby opuścił pan już moje mieszkanie, bo naprawdę zadzwonię na policję.

— No to już — rzuciłem zachęcająco. — Nawet sam wykręcę za ciebie numer. Kiedy tylko zobaczą, ile masz w domu opium, będziesz mógł z miejsca pożegnać się z robotą.

Doktor Fowler dziwnie zapadł się w fałdach swego przydużego garnituru. Sprawiał wrażenie, jakby się kurczył.

— Czego pan ode mnie chce? — odstawił karton z mlekiem i przyłożył dłonie do głowy.

— Tego samego, o co chodziło mi w szpitalu — odparłem. — Informacji o Jonathanie Lieblingu.

— Powiedziałem panu wszystko, co wiem.

— Nie rób sobie ze mnie jaj, doktorku. Liebling nigdy nie został przeniesiony do szpitala dla weteranów. Wiem o tym, bo zadzwoniłem do Albany i sprawdziłem dokładnie. Kiepska sprawa,

mogłeś wymyślić jakąś zgrabniejszą bajeczkę.

Wytrząsałem papierosa z paczki i włożyłem do ust, ale na razie go nie przypaliłem.

— Drugi błąd popełniłeś, używając długopisu, gdy nanosiłeś do akt informację o przeniesieniu Lieblinga. W 1945 roku długopisy nie były w powszechnym użyciu.

Doktor Fowler jęknął i złożył opartą na dłoniach głowę na blacie stołu.

— Kiedy przyszedł pan go odwiedzić, wiedziałem, że to już koniec. Od z górą piętnastu lat nie miał ani jednego gościa.

— Popularny facet, nie ma co — mruknąłem, pocierając kciukiem kółko zippo i przytykając koniuszek papierosa do żółtego płomienia.

— Gdzie on jest teraz?

— Nie wiem. — Doktor Fowler podniósł się lekko. Wyglądało, że ten gest wysączył z niego resztki sił.

— Nie widziałem go, odkąd był moim pacjentem podczas wojny.

— Musiał dokądś się udać.

— Ale ja nie wiem dokąd. Dawno temu, pewnego wieczoru zjawili się jacyś ludzie. Wsiadł z nimi do samochodu i odjechał. Odtąd już go nie widziałem.

— Wsiadł do samochodu? Sądziłem, że był żywą rośliną. Doktor przetarł oczy i zamrugał powiekami.

— Był w śpiączce, kiedy przywieźli go do nas. Ale terapia poskutkowała i w niecały miesiąc wydobrzeał. Bywało nawet, że grywaliśmy razem w pingponga.

— Zatem, kiedy wyjeżdżał, był całkiem zdrowy, czuł się dobrze? Był normalny?

— Normalny? Okropne słowo, normalny. I zupełnie bez

znaczenia. — Nerwowo bębniąc po stole, palce doktora Fowlera zacisnęły się w pięści na wyblakłym obrusie. Na lewym ręku nosił złoty sygnet, ozdobiony wizerunkiem pięcioramiennej gwiazdy.

— W odpowiedzi na pańskie pytanie: Liebling nie był taki sam jak pan czy ja. Kiedy odzyskał sprawność zmysłów, wzrok, słuch, mowę, a także zdolności motoryczne, okazało się, że wciąż cierpi na przypadek osobliwej amnezji pourazowej.

— To znaczy, że stracił pamięć?

— Całkowicie. Nie wiedział, kim był ani skąd pochodził. Nawet własne imię nic dla niego nie znaczyło. Twierdził, że był kimś innym i w końcu sobie przypomni. Jak powiedziałem, wyjechał z przyjaciółmi. Muszę jednak dodać, iż była to wyłącznie ich opinia. Jonathan Liebling nie poznawał żadnego z nich. W jego mniemaniu byli to zupełnie obcy ludzie.

— Proszę mi o nich opowiedzieć coś więcej. Kim byli? Jak się nazywali?

Doktor zmrużył oczy i przycisnął drżące palce do skroni.

— To już tyle czasu. Tyle lat. Tak usilnie starałem się to wszystko zapomnieć.

— Tylko mi nie mów, że i tobie udzieliła się amnezja, doktoru.

— Było ich dwoje — powiedział wolno, przeciągając słowa, jakby przywoływał je z oddali i filtrował przez warstwy smutku i żalu. — Mężczyzna i kobieta. O kobiecie nic panu nie powiem, było ciemno, a ona została w aucie. Tak czy inaczej, nigdy wcześniej jej nie widziałem. Mężczyzna był mi znany. Spotkaliśmy się kilka razy. To on wszystko załatwiał.

— Jak się nazywał?

— Twierdził, że Edward Kelley. Nie wiem, czy to jego prawdziwe personalia.

Zapisałem to nazwisko w swoim czarnym notesie.

— Wspomniał pan o załatwianiu spraw. Co to były za interesy, które z panem załatwiał?

— Forsa. — Doktor wypluł to słowo jak kawałek gnijącego mięsa. — Czyż nie mówi się, że każdy z nas ma swoją cenę? Ja miałem swoją. Pewnego dnia ten Kelley przyszedł do mnie i zaproponował pieniądze.

— Ile?

— Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Dziś ta suma nie wydaje się może zbyt imponująca, ale podczas wojny były to prawdziwe kokosy.

— Nawet dziś taka suma mogłaby zapewnić ci słodkie sny przez długi, bardzo długi czas — mruknąłem. — Czego chciał Kelley w zamian?

— Chyba się pan domyśla: aby wypisać Jonathana Lieblinga, i to w taki sposób, żeby nie pozostał po tym najmniejszy ślad w jego aktach. Zniszczyć dowody jego powrotu do zdrowia. Ale najważniejsze, aby utrzymać, iż w dalszym ciągu jest on pacjentem Kliniki Emmy Harvest.

— I tak właśnie pan uczynił.

— Nie było to zbyt trudne. Pomijając Kelleya i agenta czy menedżera Lieblinga, nie pamiętam, kim on był, facet nie miewał gości.

— Jak nazywał się ten agent?

— Chyba Wagner. Imienia nie pamiętam.

— Współpracował z Kelleyem?

— O ile mi wiadomo, to nie. Nigdy nie widziałem ich razem, a poza tym on chyba nie wiedział, że Liebling się ulotnił. Dzwonił co parę miesięcy, wypytując o jego stan zdrowia, ale nigdy nie pojawił się osobiście. Po pewnym czasie przestał wydzwaniać.

— A co ze szpitalem? W administracji nie połapali się, że brak im jednego pacjenta?

— Niby dlaczego? Uzupełniam na bieżąco jego kartę choroby, robię wpisy regularnie co tydzień, a co miesiąc z funduszu powierniczego Lieblinga napływa czek pokrywający wydatki związane z jego pobytem w klinice. Dopóki są uiszczane rachunki, nikt nie zacznie zadawać zbyt wielu pytań. Sam wymyśliłem parę historyjek, aby zaspokoić dociekliwość pielęgniarek, ale w gruncie rzeczy nie jest to zbyt trudne, bo mają przecież innych pacjentów, którymi muszą się zajmować. Jak powiedziałem, nigdy nie było do niego żadnych gości. Po jakimś czasie musiałem jedynie wypełniać oświadczenia prawne, przysyłane regularnie co pół roku przez firmę prawniczą z Nowego Jorku.

— McIntosh, Winesap i Spy?

— Właśnie. — Doktor Fowler uniósł zmęczone, nawiedzone oczy znad stołu i odnalazł moje spojrzenie. — Pieniądze nie były dla mnie. Chcę, aby pan o tym wiedział. Wtedy żyła jeszcze moja żona, Alice. Miała raka, a nie stać nas było na operację. Z tych pieniędzy mogłem ją wreszcie opłacić, podobnie jak późniejszą wycieczkę na Bahamy, ale i tak zmarła. Rak zabił ją w niecały rok. Nie można przekupić bólu. Za żadne pieniądze. Nawet za wszystkie skarby świata.

— Opowiedz mi o Jonathanie Lieblingu.

— Co chce pan wiedzieć?

— Wszystko, każdy drobiazg, szczególnie, nawyki, hobby, czy lubił jajecznicę czy sadzone. Jaki miał kolor oczu?

— Nie pamiętam.

— Powiedz, co wiesz. Co pamiętasz. Zaczynj od wyglądu.

— To niemożliwe. Nie mam pojęcia, jak wyglądał.

— Nie wciskaj mi kitu, doktoru. — Nachyliłem się ku niemu i

dmuchnąłem dymem prosto w załzawione oczy.

— Mówię prawdę — doktor kaszlnął. — Młody Liebling zjawił się u nas po skomplikowanym zabiegu przywracania jego twarzy właściwego wyglądu.

— Po operacji plastycznej?

— Tak. Głowę miał przez cały pobyt w klinice owiniętą bandażami. To nie ja zmieniałem mu opatrunki, dlatego nie miałem okazji widzieć jego twarzy.

— Wiem, dlaczego nazywają to chirurgią plastyczną — powiedziałem, dotykając palcem kartoflowatego nosa.

— Wosk? — Doktor uważnie przyjrzał się moim rysom.

— Pamiątka z wojny. Przez parę lat wyglądało nie najgorzej. Facet, dla którego pracowałem, miał letni domek na wybrzeżu Jerseyw Barnegat. Pewnego sierpniowego dnia przysnąłem na plaży i zanim się obudziłem, wszystko w środku mi się stopiło.

— Teraz nie używamy już do tego wosku.

— Też o tym słyszałem. — Wstałem i oparłem się o blat stołu.

— Mów, co wiesz o Edwardzie Kelleyu.

— To było już tak dawno — rzekł doktor. — Ludzie się zmieniają.

— Jak dawno to było? Kiedy Liebling opuścił klinikę?

— W czterdziestym trzecim albo czterdziestym czwartym.

Podczas wojny.

Nie pamiętam konkretnej daty.

— Kolejny atak amnezji?

— To już ponad piętnaście lat. Czego się pan spodziewał?

— Prawdy, doktorku. — Stary zaczął mnie coraz bardziej wkurzać.

— Mówię prawdę, tyle tylko, że nie wszystko potrafię sobie przypomnieć.

— Jak wyglądał ten Edward Kelley? — warknąłem.

— Był wtedy dość młody, po trzydziestce. Teraz powinien mieć około pięćdziesiątki.

— Zbywasz mnie, doktorku.

— Spotkałem go tylko trzykrotnie.

— Doktorku. . . — Sięgnąłem ręką i ująłem dwoma palcami węzeł jego krawata. Chwył nie był zbyt silny, ale kiedy szarpnąłem go w górę, podniósł się lekko i łatwo, jakby był pustą, wysuszoną do cna skorupą.

— Oszczędź sobie kłopotów. Nie zmuszaj mnie, abym wydusił z ciebie prawdę siłą.

— Powiedziałem wszystko, co wiem.

— Dlaczego kryjesz Kelleya?

— Nie kryję. Prawie go nie znam. Ja. . .

— Gdyby nie to, że stary z ciebie pierdziel, pogadalibyśmy inaczej. — Kiedy spróbował się odsunąć, skrzyłem węzeł jego krawata i podciągnąłem go odrobinę wyżej.

— Dlaczego ja się tak męczę, skoro jest przecież dużo łatwiejszy sposób?

W przekrwionych oczach doktora Fowlera pojawił się strach.

— Boisz się, co, doktorku? Oblewają cię zimne poty. Nie możesz się doczekać, kiedy już sobie pójdę, abyś mógł wreszcie strzelić sobie działkę?

— Wszyscy potrzebują czegoś, co pomogłoby im zapomnieć — wyszeptał.

— Ale ja nie chcę, żebyś zapomniał. Chcę, abyś sobie przypomniał.

Ująłem go za rękę i wyprowadziłem z kuchni.

— Właśnie dlatego idziemy na górę, do twojego pokoju, gdzie będziesz mógł się położyć i przemyśleć to i owo, podczas gdy ja

wyskoczę, aby coś przekąsić.

— Co chce pan wiedzieć? Kelley miał czarne włosy i cienki wąsik w typie spopularyzowanym przez Clarka Gable'a.

— To za mało, doktorku. — Ciągnąc za kołnierz tweedowej marynarki, wypchnąłem go na schody. — Parę godzin na głodzie powinno skutecznie odświeżyć ci pamięć.

— Zawsze był elegancko ubrany — rzucił błagalnie doktor Fowler. — Konserwatywne, stonowane garnitury, nic krzykliwego.

Wepchnąłem go do jego spartańsko urządzonego pokoju. Upadł na łóżko.

— Przemysł wszystko dokładnie, doktorku.

— Miał idealne zęby. I czarujący uśmiech. Proszę, niech pan nie odchodzi.

Zamknąłem za sobą drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Był to wielki klucz, w rodzaju tych, których używały nasze babcie, aby ukrywać przed niepowołanymi swoje sekrety. Wrzuciłem go do kieszeni i pogwizdując, zszedłem na dół po wyciszonych chodnikiem schodach.

Rozdział szósty

Było już po północy, kiedy wróciłem do domu doktora Fowlera. W sypialni na górze paliło się światło. Tej nocy doktorek miał raczej kłopoty z zaśnięciem. Nie czułem z tego powodu wyrzutów sumienia. Zjadłem małą porcyjkę befsztyku z grilla i całkiem spokojnie poszedłem do kina na podwójny seans. W tym fachu nie ma miejsca na sentymenty.

Wszedłem frontowymi drzwiami i ciemnym korytarzem dotarłem do kuchni. Wśród cieni mruzczała lodówka. Wyjąłem z niej „marchewkę”, buteleczkę morfiny i w świetle ołówkowej latarki ruszyłem po schodach na piętro. Drzwi sypialni były zamknięte na głucho.

— Przygotuj się, doktorku — zawołałem, gmerając w kieszeniach w poszukiwaniu klucza. — Przyniosłem ci coś, co lubisz.

Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi. Doktor Albert Fowler nie odezwał się słowem. Leżał na łóżku oparty o poduszki, wciąż mając na sobie pomięty brązowy garnitur w jodełkę. Lewą ręką przyciskał do piersi oprawną w ramki fotografię kobiety. W prawej dłoni ścisnął webleya mark 5. Kula przeszła przez prawe oko. W ranie, jak rubinowe łzy, zebrała się zastygła już krew. Siła wwiercającej się w czaszkę kuli na wpół wypchnęła drugą gałkę z oczodołu, przydając twarzy mężczyzny wyglądu wyłupiastookiej ryby. Dotknąłem wierzchu jego dłoni. Była zimna jak połec mięsa wiszącego na haku u rzeźnika. Zanim dotknąłem czegoś więcej, otworzyłem aktówkę i wyjąwszy z wewnętrznej kieszonki cienkie lateksowe rękawiczki, nałożyłem je.

To wszystko było jakieś tajemnicze. Strzał w oko nie wydawał mi się właściwym sposobem na popełnienie samobójstwa, ale być może lekarze są w tej kwestii lepiej ode mnie poinformowani. Spróbowałem wyobrazić sobie doktora trzymającego webleya lufą ku sobie i odchylającego głowę do tyłu, jak przy zakrapianiu oczu. Nic z tego. Jakoś nie potrafiłem tego zobaczyć.

Drzwi były zamknięte, a klucz miałem w kieszeni. Jedynym logicznym wyjaśnieniem było samobójstwo.

— Jeśli twoje oko jest powodem grzechu. . . — wybąkałem, usiłując wypatrzeć coś niezwykłego, co mogłoby wyjaśnić mi tę zagadkę.

Pokój wyglądał tak, jak go zostawiłem, na kredensie białe wojskowy grzebyk i lusterko, bielizna i skarpety w szufladach wydawały się nie ruszane.

Podniosłem z szafki nocnej oprawną w skórę Biblię i na dywan wypadło pudełko z nabojami. Pismo Święte było lipne, spreparowane. Wewnątrz znajdował się wycięty otwór. Byłem idiotą, że wcześniej nie znalazłem tych naboji. Pozbierałem je, sięgając po kilka nawet pod łóżko. Włożyłem je z powrotem do wydrążonej Biblii.

Obszedłem cały pokój z chustką, wycierając wszystkie miejsca, których mogłem dotykać podczas mojej wcześniejszej tutaj wizyty. Gliny z Poughkeepsie nie ucieszyłyby się zbytnio, gdyby zorientowały się, że jakiś przyjezdny prywatny łaps nakłonił jednego z ich prawych i szanowanych obywateli do samobójstwa. Skonstatowałem, że jeśli uznają śmierć doktora za samobójstwo, zrezygnują z szukania odcisków palców, i wycierałem dalej. Wytarłem klamkę oraz klucz i zatrzasnąłem drzwi, nie przekręcając jednak zamka. Znalazłszy się na dole, opróżniłem popielniczkę do kieszeni płaszcza. Zaniósłem ją do kuchni, umyłem i postawiłem

obok naczyń na suszarce, do obeschnięcia. Włożyłem morfinę i karton mleka z powrotem do lodówki i zająłem się zacieraniem śladów w kuchni.

Wracając przez piwniczkę, powycierałem dokładnie barierkę schodów oraz klamki. Niestety, nic nie mogłem poradzić na wyłamana żelazną obsadę przy kłódce. Nałożyłem ją na miejsce i wcisnąłem śruby w miękkie, rozłazące się drewno. Każdy dobry glina powinien z miejsca zwrócić na to uwagę.

W drodze powrotnej do miasta miałem sporo czasu na rozmyślania. Myśl, że nakłoniłem tego staruszka do samobójstwa, wciąż nie dawała mi spokoju. Mieszanka smutku i wyrzutów sumienia nie opuszczała mnie. Popełniłem poważny błąd, zamykając go w pokoju z bronią i nabojami. Był to poważny błąd, bo doktorek mógł mi jeszcze sporo powiedzieć. Próbowałem ujrzyć jeszcze raz całą scenę, jak obraz zarejestrowany na fotografii. Doktor Fowler rozciągnięty na łóżku z dziurą w oku i mózgiem rozprysniętym na poduszkach. Na nocnym stoliku, obok Biblii, stała zapalona lampka nocna. Naboje znajdowały się w Biblii. Fotografia z komódki zaciśnięta była w zimnej już dłoni mężczyzny. Jego palec spoczywał na spuście rewolweru.

Analizowałem tę scenę bez końca i czułem, że gdzieś tam był jakiś ślad, który przeoczyłem, zagubiony fragment układanki. Tylko jaki? I gdzie było jego miejsce? Mogłem posłużyć się wyłącznie instynktem. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia. Może to dlatego, że nie chciałem się przyznać do winy, przyjąć tego brzemienia na swoje barki, ale nie miałem wątpliwości, że śmierć doktora Fowlera nie była samobójstwem. To było morderstwo.

Rozdział siódmy

Poniedziałkowy ranek był pogodny i zimny. To, co zostało po śnieżycy, wywieziono i wrzucono do zatoki. Przepłynąwszy przez skrzyżowanie naprzeciw hotelu Chelsea, gdzie mieszkałem, pojechałem na drugi koniec miasta, zaparkowałem w garażu Hipodrom i poszedłem do swego biura, kupiwszy po drodze w stoisku z prasą zamiejscową przy północnym narożniku Times Tower, egzemplarz wczorajszego „Poughkeepsie New Yorker”. Nie natrafiłem na wzmiankę o doktorze Albercie Fowlerze.

Parę minut po dziesiątej otworzyłem drzwi mojego biura. Wiadomości nie były najlepsze — „Nowy atak Iranu na Syrię. . . W strzelaninie na granicy raniono policjanta. . . ” Zadzwoiłem do kancelarii adwokackiej Hermana Winesapa, a sekretarka połączyła mnie z nim natychmiast.

— Czym mógłbym dziś panu służyć, panie Angel? — spytał mecenas głosem gładkim jak dobrze naoliwione zawiasy.

— Próbowałem skontaktować się z panem przez cały weekend, ale gosposia powiedziała, że wyjechał pan do Sag Harbor.

— Mam tam domek, w którym się relaksuję. Nie ma w nim telefonu. Pojawiło się coś ciekawego?

— Mam pewną informację dla pana Cyphre’a. Jego numeru telefonu również nie ma w książce.

— Ma pan niezwykle wyczucie. Pan Cyphre siedzi właśnie naprzeciw mnie.

Zaraz przekażę mu słuchawkę.

Usłyszałem zduszone dźwięki, gdy adwokat, nakrywszy mikrofon dłonią, powiedział coś do swego gościa, a potem w

słuchawce rozległ się znajomy, naznaczony charakterystycznym akcentem głos Louisa Cyphre'a.

— Cieszę się, że pan zadzwonił — powiedział. — Ciekaw jestem, co zdołał pan ustalić.

Opowiedziałem mu większość wydarzeń z Poughkeepsie, pomijając jedynie fakt śmierci doktora Fowlera. Kiedy skończyłem, z drugiej strony dobiegał jedynie ciężki, przyspieszony oddech. Czekałem. Cyphre przez zaciśnięte zęby wymamrotał: — Niewiarygodne.

— Są trzy możliwości — stwierdziłem. — Kelley i dziewczyna chcieli pozbyć się Favorite'a i wzięli go na przejażdżkę, z której już nie miał powrócić. Jeżeli tak, to gość dawno nie żyje. Mogli pracować na czyjeś zlecenie, co daje nam ten sam rezultat jak wyżej. Favorite mógł również udawać amnezję i zaaranżować wszystko osobiście. W tej sytuacji mamy do czynienia z idealnym zniknięciem.

— Chcę, aby go pan odnalazł — rzekł Cyphre. — Nieważne, jak długo to potrwa ani ile będzie kosztować, chcę, aby pan go znalazł.

— To trudna sprawa, panie Cyphre. Piętnaście lat to szmat czasu. Facet mógł się dobrze postarać i pozacierać za sobą wszystkie ślady. Równie dobrze mógłby pan spróbować szczęścia w Biurze Osób Zaginionych.

— Żadnych glin. To prywatna sprawa. Nie chcę wyciągać jej na światło dzienne i wplątywać w nią gromady ciekawskich łapsów.

W głosie Cyphre'a pobrzmiwała zjadliwa nuta pogardy.

— Zaproponowałem takie rozwiązanie, bo policja dysponuje odpowiednią liczbą osób do tego typu roboty — mruknąłem. — Favorite może być, prawdę mówiąc, wszędzie, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jestem sam. Działam w pojedynkę. Nie sposób łudzić się, że zdołam osiągnąć równie dobre rezultaty jak organizacja

mająca dostęp do międzynarodowej sieci informacyjnej.

Zjadliwość w głosie Cyphre'a jeszcze bardziej przybrała na sile.

— Przejdźmy do rzeczy, panie Angel. Sprawa jest prosta — chce pan to zlecenie czy nie? Jeżeli nie jest pan zainteresowany, wynajmę kogoś innego.

— Och, panie Cyphre, oczywiście, że jestem zainteresowany, niemniej byłoby nieuczciwością z mojej strony wobec pana jako mojego klienta, gdybym nie zapoznał pana ze złożonością realizacji tego zlecenia i kłopotami, z jakimi przyjdzie mi się borykać.

Dlaczego Cyphre sprawia, że czuję się jak dzieciak?

— Oczywiście. Doceniam pańską uczciwość w tej kwestii, podobnie jak zdaję sobie sprawę z ogromu trudności. — Cyphre przerwał, a ja usłyszałem trzask zapalniczki, kiedy przypalił jedno ze swoich drogich, eleganckich cygar. Najwyraźniej zaciągnięcie się cygarem nieco go uspokoiło.

— Chcę, aby zaczął pan natychmiast. Jak pan to zrobi, pozostawiam to wyłącznie w pańskiej gestii. Niech pan robi, co uzna za stosowne. Każdy krok, każde działanie będzie słuszne. Jednak najważniejsze jest, tak dla mnie, jak i dla pana, aby zachować w tej kwestii dalece posuniętą dyskrecję.

— Kiedy się postaram, umiem być dyskretny jak ksiądz przy spowiedzi — zapewniłem.

— Nie wątpię, panie Angel. Polecę memu adwokatowi, by wypisał panu czek na pięćset dolarów zaliczki. Jeszcze dziś wyśle go panu pocztą. Gdyby potrzebował pan większych sum w związku z jakimiś dodatkowymi wydatkami, proszę kontaktować się z panem Winesapem.

Odparłem, że pięć setek na pewno na razie wystarczy, i zakończyliśmy rozmowę. Nigdy dotąd nie miałem większej ochoty,

aby otworzyć butelkę trzymaną w gabinecie na specjalne okazje i strzelić sobie solidnego drinka, ale powstrzymałem się i tylko zapaliłem cygaro. Picie przed lunchem przynosi pecha. Zacząłem od telefonu do Waltera Riglera, znajomego reportera z „Timesa”.

— Co możesz mi powiedzieć o Johnnym Favoricie? — spytałem po krótkiej pogawędce na luźne tematy.

— Johnnym Favoricie? Chyba sobie żartujesz. Dlaczego nie zapytasz mnie o innych facetów, którzy śpiewali z Bingiem Crosbym i A&P Gypsies?

— Pytam poważnie, co mógłbyś mieć na jego temat?

— Przypominam sobie, że w dziale zgonów mają jego akta. Daj mi z dziesięć minut, to je przyniosę i wszystko ci przygotuję.

— Dzięki, stary. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Pożegnał się burkliwie i rozłączyliśmy się. Dopaliłem cygaro sortując poranną pocztę, głównie ulotki i rachunki, po czym zamknąłem biuro. Schodami pożarowymi można się dostać na dół szybciej niż windą o rozmiarach trumny, ale nie spieszyło mi się, dlatego nacisnąłem guzik i czekałem, słuchając, jak mój sąsiad, Ira Kipnis, CPA, robi rozliczenie, stukając na swojej maszynie do dodawania.

Budynek „Timesa” przy 43 Ulicy znajdował się tuż za rogiem. Poszedłem tam pieszo i w doskonałym nastroju wjechałem windą na drugie piętro, gdzie mieściła się sala główna, wymieniwszy uprzednio posępne spojrzenie z posągiem Adolpha Ochsa, stojącym w marmurowym holu. Podałem staruchowi w recepcji nazwisko Walta i mniej więcej po minucie zjawił się, wyglądając jak dziennikarz z filmu — w koszuli z podwiniętymi rękawami i poluzowanym krawacie. Podaliśmy sobie ręce, po czym zaprowadził mnie do sali, gdzie setka maszyn do pisania wypełniała zasnutą dymem papierosowym przestrzeń rytmicznym,

metalicznym grzechotem.

— Ponuro tu jak cholera — rzekł Walt. — Jest tak od zeszłego miesiąca, od śmierci Mike'a Bergera. — Wskazał na puste biurko w jednym z pierwszych rzędów, gdzie na przykrytej pokrowcem maszynie do pisania stał szklany flakon ze zwiędłą różą.

Przeszedłem za nim pośród stukotu pracujących maszyn do jego biurka znajdującego się na środku sali. Na blacie, wśród wielu rozmaitych przyborów, leżała gruba manilowa koperta. Wziąłem ją do ręki i spojrzałem na żółte, pospinane kartki znajdujące się wewnątrz.

— Mógłbym coś z tego zatrzymać na dłużej? — spytałem.

— Zgodnie z tutejszymi zasadami, nie. — Walt włożył zagięty palec wskazujący pod kołnierz samodziałowej marynarki wiszącej na oparciu jego obrotowego fotela.

— Wychodzę teraz na lunch. W dolnej szufladzie znajdziesz duże koperty.

Postaraj się niczego nie zgubić, a moje sumienie pozostanie czyste.

— Dzięki, Walt. Gdybym kiedyś mógł ci się jakoś odwdzięczyć.

..

— Taa, taa, taa. Jak na faceta, który czytuje „Journal American”, kiedy cię przypili i musisz znaleźć jakieś ważne materiały, doskonale wiesz, gdzie masz wdepnąć.

Patrzyłem, jak oddala się wąskim przejściem między rzędami biurek, wymieniając docinki z innymi dziennikarzami. Zanim straciłem go z oczu, pomachał jeszcze na do widzenia jednemu z redaktorów. Wreszcie, usiadłszy za jego biurkiem, mogłem spokojnie przejrzeć akta Johnny'ego Favorite'a.

Większość wycinków nie pochodziła z „Timesa”, lecz z innych nowojorskich periodyków i krajowych czasopism. Głównie

dotyczyły występów Favorite'a z zespołem Spidera Simpsona. Kilka artykułów pochodziło z pierwszych stron gazet i przeczytałem je z najwyższą uwagą.

Był podrzutkiem. Policjant znalazł go w kartonowym pudle z nazwiskiem i datą 2 czerwca 1920 roku na kartce, przypiętej do jego kocyka. Pierwszych kilka miesięcy spędził w starym szpitalu przy 68 Wschodniej. Dorastał w sierocińcu w Bronksie, a od szesnastego roku życia pracował jako klezmer w lokalach. Szybko zaczął podróżować po kraju, grając i śpiewając po rozmaitych knajpach.

Odkrył go Spider Simpson w 1938 roku i wkrótce został cenionym członkiem piętnastoosobowego zespołu. Otrzymał rekordowe wynagrodzenie za tygodniowe występy w Paramount Theatre w 1940, a jego stawkę pobił dopiero Sinatra cztery lata później. W 1941 liczba jego sprzedanych płyt przekroczyła pięć milionów, a dochody, jak mówiono, wynosiły dobrze ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Krążyły różne plotki na temat jego zranienia w Tunezji, niektóre źródła donosiły o jego „przypuszczalnym zgonie” i to było wszystko. Zero informacji o pobycie w szpitalu czy powrocie do Stanów.

Przejrzałem resztę materiałów, układając na niewielką kupkę te, które chciałem zatrzymać. Dwie fotografie, jedna błyszcząca, ukazująca Favorite'a we fraku, z wypomadowanymi włosami, zastygłymi na kształt wysokiej, czarnej fali. Na odwrocie widniała pieczętka z nazwiskiem i adresem agenta: WARREN WAGNER, AGENT I REPREZENTANT BRAN ŻY ROZRYWKOWEJ 1619 BROADWAY (BRILL BUILDING). Wyndham 9 — 3500.

Druga fotka przedstawiała orkiestrę Spidera Simpsona w 1940, Johnny stał z boku ze złożonymi dłońmi; wyglądał jak ministrant. Na odwrocie, przy każdym z członków zespołu, widniały

ich nazwiska. Pożyczyłem sobie również trzy inne wycinki, które zwróciły moją uwagę, bo wydawało się, że kompletnie nie pasują do reszty materiałów. Pierwszy stanowiło zdjęcie z pisma „Life”. Zostało zrobione w barze u Dickiego Wellsa w Harlemie i ukazywało Johnny’ego opierającego się o fortepian, trzymającego w jednej dłoni szklaneczkę drinka i śpiewającego wraz z murzyńskim pianistą nazywanym się Edison „Toots” Sweet. Był tu również wycinek z „Downbeat” mówiący o zabobonach i przesądach piosenkarza. Podobno raz na tydzień, niezależnie od tego, w jakim mieście akurat przebywał, jeździł do Coney Island, by spotkać się z wróżbitką i chiromantką, niejaką Madame Zora.

Ostatni fragment pochodził z artykułu Waltera Winchella z dnia 20.11.1942 roku, donoszącego o zerwaniu trwającego od dwóch lat narzeczeństwa Johnny’ego Favorite’a i Margaret Krusenach, córki Ethana Krusenacha, milionera i spedytora żeglugowego.

Zebrałem wszystkie te wycinki, wyjąłem z dolnej szuflady biurka szarą kopertę i włożyłem je do środka. Nagle coś mnie tknęło, wyjąłem zdjęcie Favorite’a i zadzwoniłem pod numer biura w Brill Building, który znajdował się na odwrocie.

— Walter Wagner i Spółka — usłyszałem śmiały kobiecy głos.

Podałem jej moje nazwisko i umówiłem się na spotkanie z panem Wagnerem, punktualnie o dwunastej w południe.

— O wpół do pierwszej jest zaproszony na lunch i będzie mógł poświęcić panu zaledwie kilka minut.

— Nic nie szkodzi. Tych parę minut w zupełności mi wystarczy — zapewniłem.

Rozdział ósmy

„Jeśli nie jesteś na Broadwayu, Bridgeport jest dla ciebie wszystkim” — tym wiekopomnym stwierdzeniem obdarzył w 1915 roku George’a M. Cohena Arthur „Bugs” Baer, którego rubrykę w „Journal American” czytywałem codziennie przez wiele lat. W 1915 roku mogło być prawdziwe. Nie wiem na pewno, nie było mnie tam. To była epoka Rectora i Shanleya, i New York Roof. Broadway, który znałem, to Bridgeport — hałaśliwe jarmarczne uliczki ze straganami, kramami, strzelnicami i budkami sprzedawców hot dogów. Dwie wdowy — Times Tower i Hotel Astor były wszystkim, co pozostało ze złotej ery, którą pamiętał „Bugs” Baer.

Brill Building mieścił się przy 49 i Broadwayu. Idąc pieszo od 43, usiłowałem przypomnieć sobie, jak wyglądał Square tamtej nocy, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. Tyle się zmieniło. To był sylwester czterdziestego trzeciego. Straciłem cały rok ze swego życia. Ledwo co wyszedłem z wojskowego szpitala, z całkiem nową twarzą, a w kieszeniach miałem pustki, jeśli nie liczyć garstki pobrzękujących drobniaków. Wcześniej tego wieczoru ktoś podwędził mi portfel, zabierając wszystko, co miałem: prawo jazdy, dokumenty, zaświadczenie o zwolnieniu z wojska i nieśmiertelniki. Otoczony tłumem ludzi, obserwując rozgrywające się na niebie pokazy sztucznych ogni, poczułem, że przeszłość obłazi ze mnie jak węzowa skóra. Nie miałem tożsamości, pieniędzy, mieszkania i wiedziałem tylko, że zmierzam do śródmieścia.

Dotarcie sprzed Pałace Theatre do centrum Square, między salony odzieżowe Astora i Bonda, zajęło mi godzinę. Stałem tam o

północy, obserwując, jak na szczycie Times Tower powoli osuwa się w dół złota kula, lecz do tego budynku doszedłem po kolejnej godzinie. Wtedy też ujrzałem światła w biurze Rozstajów i wiedziony osobliwym przeczuciem, dotarłem do Erniego Cavallero i pracy, którą wykonuję po dziś dzień. W tamtych czasach, po obu stronach długiego na całą przecznicę wodospadu na dachu salonu odzieżowego Bonda, stały gigantyczne, nagie posągi. Dziś ich miejsce zajęły bliźniacze butelki pepsi. Zastanawiałem się, czy gipsowe posągi wciąż tam są, uwięzione w butlach z falistej blachy jak gąsienice drzemiące w kojącym wnętrzu swych kokonów.

Przed Brill Building jakiś włóczęga w wyświechtanym wojskowym płaszczu łąził w tę i z powrotem, mamrocząc do każdego wchodzącego — szmata, szmata. Sprawdziłem tablicę w rogu wąskiego holu o kształcie litery T i odnalazłem biuro Warrena Wagnera i Spółki, otoczone tuzinami nic mi nie mówiących nazw szemranych firm, zajmujących się promocjami pospolitych szansonistów, wszelkiej wagi bokserów i samorodnych talentów z różnych dziedzin. Skrzypiąca winda dowiozła mnie na siódme piętro, skąd słabo oświetlonym korytarzem dotarłem do poszukiwanego biura. Mieściło się w narożnej części budynku i składało z szeregu małych jak królicze nory klitek, połączonych przejściowymi drzwiami. Sekretarka akurat dziergała na drutach, kiedy otworzyłem drzwi.

— Pan nazywa się Angel? — spytała bełkotliwie, żując gumę.

Odparłem, że tak, i wyjąłem z lipnego portfela wizytówkę. Widniało na niej moje nazwisko, ale zgodnie z tym, co tam napisano, byłem przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej. Mój kumpel zajmujący się w Village drukiem wizytówek zrobił dla mnie tuzin specjalnych, zgodnie z którymi trudniłem się najróżniejszymi profesjami. Od hycła, poprzez lekarza, po zoologa. Recepcjonistka

ujęła wizytówkę paznokciami, zielonymi i błyszczącymi jak skrzydełka żuka. Miała duże piersi i wąskie biodra, co uwydatniał różowy sweterek z angory i obcisła czarna spódniczka. Jej włosy miały niemalże barwę platyny.

— Proszę chwilę zaczekać — powiedziała, uśmiechając się i nie przerywając żucia. — Usiądzie pan sobie czy jak. . .

Przepełnęła obok mnie, zastukała jeden raz do drzwi z napisem GABINET PRYWATNY i weszła do środka. Naprzeciw pokoju, do którego weszła, znajdowały się jeszcze jedne drzwi, także prywatnego gabinetu. Ściany pomiędzy nimi obwieszono setkami oprawnych w ramki zdjęć, na których przyblakłe uśmiechy były zakonserwowane jak przebite szpilkami motyle w szklanych gablotkach. Rozejrzałem się wokoło i ujrzałem zdjęcie Johnny'ego Favorite'a formatu osiem na dziesięć, takie samo, jakie miałem w swej kopercie pod pachą. Wisiało wysoko na ścianie po lewej, w otoczeniu fotografii kobiety — brzuchomówcy i grubasa grającego na klarncie. Drzwi za mną otworzyły się i sekretarka powiedziała:

— Pan Wagner przyjmie pana.

Podziękowałem i wszedłem. Wewnętrzny gabinet miał wielkość poczekalni, w której przed chwilą siedziałem. Fotki na ścianach wydawały się nowsze, ale uśmiechy były równie przyblakłe. Większość miejsca zajmowało poprzypalane papierosami drewniane biurko. Siedział za nim młodzieniec bez marynarki, golący się elektryczną maszynką.

— Pięć minut — rzekł, unosząc dłoń i rozczapierzając palce, abym mógł je policzyć.

Postawiłem aktówkę na wytartym, zielonym dywanie i spojrzałem na dzieciaka, który właśnie skończył się golić. Był piegowaty i miał kędzierzawe, rdzawego 33 koloru włosy. Twarz ozdobiona okularami w rogowej oprawie nie mogła liczyć sobie

więcej niż dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć wiosen.

— Pan Wagner? — spytałem, kiedy wyłączył maszynkę.

— Tak?

— Pan Warren Wagner?

— We własnej osobie.

— Nie był pan chyba agentem Johnny'ego Favorite'a?

— Myśli pan o moim ojcu. Ja jestem Warren junior.

— W takim razie to z pańskim ojcem chciałem porozmawiać.

— Ma pan pecha. Nie żyje od czterech lat.

— Aha.

— A o co chodzi? — Warren junior odchylił się do tyłu w obitym skórą fotelu i splótł dłonie za głową.

— Jeden z naszych klientów przedstawił w swojej polisie nazwisko Jonathana Lieblinga jako swego beneficjanta. Jako jego adres otrzymałem adres tego biura.

Warren Wagner wybuchnął śmiechem.

— Nie chodzi o wielkie pieniądze — stwierdziłem. — Ot, taki gest starego wielbiciela, jak sądzę. Czy mógłby pan powiedzieć mi, gdzie znajdę pana Favorite'a?

Dzieciak rechotał w najlepsze.

— To niesamowite — prychnął. — Doprawdy niesłychane. Johnny Favorite, zaginiony dziedzic fortuny.

— Szczerze mówiąc, nie widzę w tym nic śmiesznego.

— Taa? To ja panu wyjaśnię. Johnny Favorite uparcie trenuje leżenie w pozycji horyzontalnej. Od dwudziestu lat gra rolę bezmózgiej marchewki w jednym z pomniejszych stanowych szpitali.

— Niezły żart, nie ma co. Zna pan jeszcze jakieś?

— Nic pan nie rozumie — mruknął, zdejmując okulary i przecierając oczy.

— Johnny Favorite był dla mego ojca prawdziwą kopalnią złota. Utopił wszystkie pieniądze, jakie miał, aby przejąć jego kontrakt od Spidera Simpsona. I kiedy już, już miał się wdrzeć na sam szczyt, Favorite zaciągnął się do woja. W grę wchodziły umowy z wytwórniami filmowymi i co tylko. A póki co armia odesłała chłopaka wartego milion dolarów do Afryki Północnej, skąd wrócił równie bystry i żwawy jak worek kartofli.

— To niedobrze.

— Jeszcze jak. Dla mego ojca był to wielki cios. Nigdy już nie doszedł do siebie. Całymi latami łudził się, że któregoś dnia Favorite wydobrzeje, odzyska formę, urządzi wielki come back, a jemu samemu zapewni luksusy i bogactwo aż do końca życia. Biedny głupiec.

Wstałem.

— Czy mógłby pan podać mi nazwę i adres szpitala, w którym przebywa pan Favorite?

— Proszę zapytać moją sekretarkę. Musi mieć to gdzieś zapisane. Podziękowałem, że znalazł dla mnie chwilę czasu, i wyszedłem. W zewnętrznym gabinecie poprosiłem sekretarkę o odnalezienie i zapisanie adresu, który zgodnie z moim przypuszczeniem okazał się Kliniką imienia Emmy Dodd Harvest w Poughkeepsie.

— Była pani kiedyś w Poughkeepsie? — spytałem, wkładając złożony wpół świstek papieru do kieszeni koszuli. — To cudowne miasto.

— Żartuje pan? Nigdy nie byłam nawet w Bronksie.

— Nawet w zoo?

— W zoo? A po co miałabym chodzić do zoo?

— Nie wiem — odparłem. — Ale powinna pani kiedyś tam zajrzeć. Kto wie, może się nawet pani zdomowi.

Ostatni jej obraz, jaki, wychodząc, zarejestrowałem, to rozchylone szeroko czerwone wargi, okrągłe jak kółko hula-hoop wokół bezkształtnej bryłki gumy do żucia na jej mięsistym, różowym języku.

Rozdział dziewiąty

Na parterze Brill Building mieściły się dwa bary, wychodzące na Broadway. Jeden należał do Jacka Dempseya i był mekką miłośników boksu, drugi, Turf, na rogu 49 ściągał muzyków i tekściarzy. Fasada z błękitnych kostek sprawiała, iż lokal wyglądał równie ponętnie i zachęcająco jak grota na Capri.

Wewnątrz okazywało się inaczej, była to zwyczajna knajpa z wyszynkiem. Obszedłem bar i znalazłem faceta, którego szukałem, Kenny'ego Pomeroya, akompaniatora i aranżera siedzącego w muzycznym biznesie dłużej, niż ja włóczyłem się po tym świecie.

— Się ma, Kenny — wyszeptałem, sadowiąc się na sąsiednim stołku.

— No no, toż to Harry Angel, słynny łaps. Dawnośmy się nie widzieli, bratku.

— Upłynęło trochę wody. Ale, ale, Kenny, widzę w twojej szklance dno. Siedz tu i nigdzie nie odchodź, a ja zaraz coś na to zaradzę.

Dałem znak barmanowi; zamówiłem manhattan oraz jeszcze jedną kolejkę dla Kenny'ego.

— Sköl, chłopie — rzekł, wznosząc szklaneczkę, kiedy postawiono przed nami drinki. Kenny Pomeroy był łysym tłuściochem z nosem jak żarówka i całą masą podbródków ułożonych jeden na drugim jak sterta części zapasowych. Jego styl ubierania ograniczony był do parkowo żółtych garniturów i sygnetów z gwiazdnymi szafirami. Jedynym miejscem, gdzie go widziałem, poza studiem nagraniowym, był bar Turf. Pogadaliśmy przez chwilę o starych czasach, po czym Kenny spytał:

— A tak nawiasem mówiąc, co cię przywiodło w te strony? Ścigasz jakichś przestępców?

— Niezupełnie — odparłem. — Mam zlecenie, przy realizacji którego mógłbyś mi chyba pomóc.

— Jak najbardziej. Kiedy tylko zechcesz.

— Co możesz mi powiedzieć o Johnnym Favoricie?

— Johnny Favorite? Mówisz o powrocie do przeszłości.

— Znasz go?

— Nie. Ale parę razy przed wojną byłem na jego występach. Ostatni raz występował, o ile dobrze pamiętam, w Starlight Lounge w Trentonie.

— Nie widziałeś go w okolicy w ciągu, powiedzmy, ostatnich piętnastu lat?

— Żartujesz sobie? Facet nie żyje, no nie?

— Niezupełnie. Jest w szpitalu, na północy stanu.

— W takim razie jakim cudem mógłbym go widzieć?

— Bo był w szpitalu, ale już wyszedł — wyjaśniłem. — Poczekaj, spójrz na tę fotkę. — Wyjąłem z koperty fotografię orkiestry Spidera Simpsona i podałem mu ją.

— Który z nich to Simpson? Nie jest podpisany.

— Perkusista.

— Czym się teraz zajmuje? Wciąż prowadzi kapelę?

— Nie. Perkusiści nie są dobrymi frontmenami. — Kenny upił łyk drinka i zamyślił się, a jego czoło przecięła głęboka bruzda.

— Ostatnim razem, kiedy o nim słyszałem, pracował w studio nagraniowym na Wybrzeżu. Możesz odwiedzić Nathana Fishbine'a w Capitol Building.

Zapisałem jego nazwisko i spytałem Kenny'ego, czy znał innych członków zespołu.

— Zdarzyło mi się raz, parę lat temu, pracować z pewnym

pianistą. — Kenny wskazał grubym paluchem na fotografie. — Z tym gościem, Redem Diffendorffem. Grywa teraz na kornecie z Lawrence’em Welkiem.

— A co z innymi? Wiesz, gdzie mógłbym ich znaleźć?

— No cóż, wiele z tych nazwisk znam. Ci faceci wciąż są w branży, ale nie potrafię powiedzieć, z kim teraz trzymają. Musiałbym popytać wśród ludzi z branży, na ulicach, albo zadzwonić do związku.

— A co z czarnym pianistą nazwiskiem Edison Sweet?

— Z Tootsem? Jest najlepszy. Ma lewą rękę jak Art Tatum. Bardzo dobry. Nie będziesz musiał długo go szukać. Grywa od pięciu lat w Czerwonym Kogucie przy 138.

— Jesteś prawdziwą skarbnicą informacji, Kenny. Co byś powiedział na lunch?

— W życiu. Ale jeszcze jednego seven and seven nie odmówię.

Zamówiłem dla nas obu, a dla siebie dodatkowo cheeseburgera z frytkami, i czekając, zadzwoniłem do loży 802 Amerykańskiej Federacji Muzyków. Powiedziałem, że jestem wolnym strzelcem piszącym artykuł dla pisma „Look” i chciałbym przeprowadzić wywiad z żyjącym członkiem orkiestry Spidera Simpsona. Połączyli mnie z dziewczyną z archiwum członków federacji. Na oczekaniu wymyśliłem, że wspomnę w moim artykule o związku, i podałem jej nazwiska członków zespołu ze zdjęcia, a nawet wyjaśniłem, na jakim instrumencie grywał każdy z nich. Czekałem dziesięć minut, zanim znów usłyszałem w słuchawce jej głos. Z piętnastu muzyków czterech zmarło, a sześciu wydalono ze związku. Podała mi adresy i telefony pozostałych. Puzonista Diffendorff grywający z Lawrence’em Welkiem mieszkał w Hollywood. Spider Simpson również miał chatę opodal L.A. w Valley w Studio City. Inni przebywali tu, w mieście. Byli to:

saksofonista altowy, Vernon Hyde, zatrudniony obecnie w zespole muzycznym Tonight w NBC Studios, dwóch speców od instrumentów dętych, Ben Hogarth, trąbka, zamieszkały przy Lexington Avenue oraz puzonista, Carl Walinski z Brooklynu. Zapisałem to wszystko w swoim notesie, podziękowałem dziewczynie z całego serca i bez powodzenia wykręcałem wszystkie numery miejscowe. Specja od trąbek nie było w domu, a w NBC nagrałem się tylko na automatyczną sekretarkę, pozostawiając numer swego biura.

Zacząłem się czuć nieswojo. Miałem wrażenie, że mnie wystawiono. Czułem się jak frajer, który pierwszy raz poszedł na polowanie i po całej nocy czuwania ma wracać do domu z pustymi rękami. Szansa była mniej niż jedna na milion, że któryś z dawnych kumpli Johnny'ego z zespołu natknął się na niego po jego powrocie z wojny. Ale nie miałem innego punktu zaczepienia. Powróciwszy do baru, zjadłem kanapkę i poskubałem trochę wątłych, słabo przyrumienionych frytek.

— Życie jest piękne, no nie, Harry — rzekł Kenny Pomeroy, grzechocąc lodem w pustej szklaneczce.

— Jeszcze jak. Najlepsze i jedyne.

— Niektórzy frajerzy muszą zarobić parę groszy, aby mieć z czego żyć.

Zgarnąłem z kontuaru resztę.

— Tylko nie odwracaj się do mnie plecami, kiedy ja zacznę zarabiać na chlebek.

— Chyba jeszcze nie wychodzisz, co, Harry?

— Muszę, stary, choć z przyjemnością zostałbym jeszcze trochę i truł wraz z tobą swoją wątrobę.

— Następnym razem, jak przyjdiesz, pewno od razu włączysz stoper. Gdybyś potrzebował fachowej porady, wiesz, gdzie mnie

znaleźć.

— Dzięki, Kenny. — Nałożyłem płaszczy. — Czy mówi ci coś nazwisko Edward Kelley?

Kenny zmarszczył wysokie czoło w wyrazie głębokiego zamyślenia.

— Jeszcze w K.C. był taki Horace Kelley — mruknął. — To było mniej więcej wtedy, kiedy Piękniś Floyd rozwalił tych łapsów na Union Station. Horace grał na fortepianie w klubie Reno przy 12 i Cherry. Przy okazji napisał też książkę. To jakiś jego krewny?

— Mam nadzieję, że nie — odparłem. — To na razie. Zobaczymy się wkrótce.

— Obiecanki cacanki, a głupiemu radość.

Rozdział dziesiąty

Aby oszczędzić swoje podeszwy, podjechałem jeden przystanek metrem na Times Square i wszedłem do biura, w chwili gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę w połowie sygnału. To był Vernon Hyde, saksofonista od Spidera Simpsona.

— Cieszę się, że zadzwoniłeś — powiedziałem, częstując go bajeczką o artykule dla czasopisma „Look”. Przełkną ją zgrabnie, a ja zaproponowałem, abyśmy wyskoczyli gdzieś na drinka, kiedy tylko znajdzie dla mnie chwilę czasu.

— Jestem teraz w studio — powiedział. — Za dwadzieścia minut zaczynamy nagranie. Będę zajęty do wpół do piątej.

— Może być. Jeżeli będziesz miał potem wolne pół godzinki, możemy się tam spotkać. Gdzie jest to twoje studio?

— Przy 45, Hudson Theater.

— W porządku. Stamtąd jest tylko parę przecznic do Hickory House. Może spotkamy się za kwadrans piąta?

— Pasuje. Będę miał ze sobą saksa, więc powinieneś rozpoznać mnie bez trudu.

— Facet z seksem wyróżnia się w tłumie.

— Nie z seksem, tylko z saksem. To instrument, rozumiesz?

Zrozumiałem i przytaknąłem, po czym obaj się rozłączyliśmy. Z trudem wreszcie zdjąłem płaszcz, usiadłem za biurkiem i ponownie przejrzałem zdjęcia oraz wycinki, które nosiłem ze sobą. Rozłożyłem je na blacie jak eksponaty na wystawie i wpatrywałem się aż do przesytu w filuterny uśmiech na ustach Johnny’ego Favorite’a. Gdzie szukać faceta, który rozplynał się bez śladu? W sytuacji, kiedy nie wiesz, od czego zacząć?

Wycinek artykułu Winchella był kruchy i delikatny jak zwoje znad Morza Martwego. Przeczytałem fragment o zerwaniu zaręczyn Favorite'a i zadzwoniłem do „Timesa” pod numer Walta Riglera.

— Się ma, Walt — rzuciłem. — To znowu ja. Potrzebuję informacji na temat Ethana Krusemarka.

— Tego potentata żeglugowego?

— Właśnie. Chciałbym wiedzieć wszystko, co tylko masz na jego temat, i rzecz jasna, potrzebuję jego adresu. Szczególnie interesuje mnie sprawa zerwania zaręczyn między jego córką, a Johnnym Favorite'em, z początku lat czterdziestych.

— Znów Johnny Favorite. Wygląda na to, że facet staje się grubą rybą.

— Prawdziwą gwiazdą w moim prywatnym show. Pomożesz mi?

— Sprawdzę w Dziale Kobięcym — odparł. — To oni zajmują się wszelkimi plotkami i różnymi brudnymi sprawkami śmietanki towarzyskiej całego kraju. Oddzwonię za parę minut.

— Niech ci to bozia wynagrodzi. — Odłożyłem słuchawkę na widełki. Była za dziesięć drugą. Wyjąłem notes i wykonałem kilka zamiejscowych telefonów do L.A. Numer Diffendorfa nie odpowiadał, ale kiedy zadzwoniłem do Spidera Simpsona, odebrała gosposia. Była Meksykanką i choć mój hiszpański nie był lepszy od jej angielskiego, udało mi się podać jej moje nazwisko wraz z numerem telefonu do biura, dodając przy tym, iż chodzi o nader pilną sprawę.

Odłożyłem słuchawkę i ledwie uniosłem dłoń, zadzwonił telefon. To był Walt Rigler.

— Mam coś dla ciebie — rzucił na wstępie. — Krusemark to obecnie wielka szycha. Bale dobroczynne, datki, dotacje i tego typu

rzeczy. Ma biuro w Chrysler Building. Mieszka przy Sutton Place 2. Numer jest w książce. Zapisaleś to?

Odparłem, że mam wszystko czarno na białym, więc kontynuowałem.

— W porządku. Krusemark nie był grubą rybą od zawsze. Na początku lat czterdziestych pracował w żegludze handlowej i krążył plotki, że gdy poczuł większy szmal, zarobił na szmuglu trefnego bimbru. Nigdy go nie złapali, dlatego akta są czyste jak łąza, nawet jeśli faktycznie ma coś na sumieniu. Podczas kryzysu zaczął tworzyć swoją własną flotę, naturalnie pod banderą panamską. — Wypłynął na szerokie wody, budując wielkie okręty dla marynarki wojennej. Oskarżano go, że jego firma używała gorszych, bądź wręcz wadliwych materiałów, i wiele statków, które wypłynęły z jego stoczni, przy silnym sztormie rozleciało się w drobny mak, ale oficjalne śledztwo ostatecznie zakończyło się jego uniewinnieniem i sprawa została zamknięta.

— A co z jego córką? — spytałem.

— Margaret Krusemark; urodzona w 1922 roku. Rodzice rozwiedli się w 1926. Nieco później, w tym samym czasie, jej matka popełniła samobójstwo. Spotkała Favorite'a na balu maturalnym. Śpiewał z zespołem. Ich zaręczyny były w 1941 roku prawdziwym skandalem w kręgach towarzyskich. Wygląda na to, że to on z nią zerwał, aczkolwiek nikt nie potrafi powiedzieć dlaczego. Generalnie dziewczyna była uważana za dziwaczkę, może to było przyczyną ich rozstania.

— W jakim sensie była dziwaczką?

— Miewała wizje. Na przyjęciach przepowiadała kelnerom przyszłość. Chodziła na rauty z talią kart do tarota w torebce. Z początku ludzie traktowali to jako 40 zabawę, ale kiedy zaczęła publicznie czarować i rzucać uroki, uznali, że to już trochę zbyt

wiele jak dla nich. Bądź co bądź byli szlachetnie urodzeni. . .

— Coś takiego! To aż do tego dochodziło?

— Jak najbardziej. Mówiono o niej Czarownica z Wellesley. Do dziś tak o niej mówią, naturalnie z przekąsem i drwiną, ale zawsze.

— Gdzie ona jest teraz?

— Nikt nie wie. W każdym razie nikt, z kim miałem okazję rozmawiać. Redaktorka z Działu Towarzyskiego mówi, że nie mieszka z ojcem, a ponieważ nie należy do osób chętnie zapraszanych na bale do Waldorffa, nie mamy u nas żadnych informacji na jej temat. Ostatnia wzmianka w „Timesie” dotyczyła jej wyjazdu do Europy dziesięć lat temu. Może jeszcze nie wróciła.

— Bardzo mi pomogłeś, Walt. Zaczęlbym nawet czytać „Timesa”, gdybyście tylko zamieścili na łamach jakiś komiks.

— O co właściwie chodzi z tym Johnnym Favorite'em? Może mógłbym z tego wysmażyć jakiś materiał?

— Na razie nie mogę nic powiedzieć, ale obiecuję, że jeśli puszczę parę z ust, ty dowiesz się o wszystkim pierwszy.

— Będę wielce zobowiązany.

— Nawzajem. Na razie. Walt.

Wyjąłem z szuflady biurka książkę telefoniczną, otworzyłem na literze K i zacząłem przesuwac palcem wskazujacym w dół strony. Natknąłem się na hasło Krusemark Ethan i Krusemark Maritime Inc. oraz Krusemark M., Porady Astrologiczne. Warto spróbować. Adres — 7 Aleja 881. Wybrałem numer i usłyszałem sygnał, a potem głos kobiety.

— Kolega podał mi pani nazwisko — powiedziałem. — Jeżeli o mnie chodzi, nie za bardzo wierzę w gwiazdy i w ogóle, ale moja narzeczona jest świecie przekonana, że to wszystko prawda. Pomyślałem, że zrobię jej niespodziankę i zamówię dla nas obojga horoskopy.

— To będzie po piętnaście dolarów od sztuki — zaznaczyła kobieta.

— W porządku.

— I nie udzielam porad przez telefon. Będzie pan musiał umówić się na wizytę.

Odparłem, że nie ma sprawy, i zapytałem, czy miałyby czas jeszcze dzisiaj.

— Popołudnie mam wolne — usłyszałem. — Proszę tylko powiedzieć, o której godzinie panu by pasowało.

— Może zaraz? Powiedzmy za pół godziny?

— Doskonale.

Podaliśmy jej moje nazwisko. Powiedziała, że również brzmi doskonale, i dodała, że jej gabinet mieści się w Carnegie Hali. Stwierdziłem, że wiem, gdzie to jest, i trafię bez trudu, po czym odłożyłem słuchawkę.

Rozdział jedenasty

Pojechałem metrem na 57 i wyszedłem ze stacji przy samym Carnegie Hali obok Nedicka. Kiedy ruszyłem w stronę wejścia do studia, jakiś bezdomny zagadnął mnie, prosząc o dziesiątaka. Przecznicę dalej wzdłuż 7 Alei przed Park Sheraton odbywała się pikieta.

Hol Carnegie Hali Studios był niewielki i pozbawiony wszelkich dekoracji. Po prawej dwie windy i przeszklona skrzynka pocztowa. Znajdowało się tu również tylne wejście do Carnegie Tavern mieszczącego się na rogu 56. Poszukałem wizytówki biura porad astrologicznych M. Krusemark i okazało się, iż mieści się ono na dziesiątym piętrze.

Mosiężny wskaźnik nad windą po lewej zaczął przesuwac się po półokręgu cyfr oznaczających kolejne piętra jak zegar działający wstecz. Strzałka zatrzymała się na siódemce, a potem na trójce, zanim w końcu przyjęła pozycję horyzontalną. Pierwszy wyszedł z kabiny wielki dog, holując za sobą chudą jak tyka kobietę w długim futrze. Za nimi podążał brodac, trzymający w ręku futerał do wiolonczeli. Wszedłem do kabiny i podałem numer piętra stareńkiemu windziarzowi, który w swoim źle dopasowanym uniformie wyglądał jak emerytowany wiarus z Bałkanów. Spojrzał na moje buty i nie odezwał się słowem. Po chwili zasunął oba skrzydła metalowych drzwi i ruszyliśmy.

Zatrzymaliśmy się dopiero na dziesiątym. Korytarz był długi, szeroki i urządony równie spartańsko jak hol poniżej. W niszach dostrzegłem zwinięte węże pożarnicze. Zza zamkniętych drzwi dobiegały mocno wytłumione dźwięki pianina. Usłyszałem również,

jak w którymś z pokoiów rozgrzewa się jakaś sopranistka, powoli wspinając się na coraz wyższe oktawy. Odnalazłem apartament M. Krusemark. Jej nazwisko wypisane było na drzwiach złotymi literami, pod nim zaś umieszczony był dziwny symbol przypominający literę M, której jedno ramię kończyło się strzałką. Nacisnąłem dzwonek i czekałem. Usłyszałem tupot damskich szpilek, szcęk zamka i drzwi otworzyły się tak szeroko, jak na to pozwala zaciągnięty łańcuch policyjny. Z czerni łypnęło na mnie oko, a głos zapytał:

— Słucham?

— Nazywam się Harry Angel — wyjaśniłem. — Byłem umówiony.

— Oczywiście. Proszę chwilkę poczekać. — Drzwi zamknęły się, zgrzytnął zdejmowany łańcuch. Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, ujrzałem bladą, kanciastą twarz o ostrych rysach i zielonych, kocich oczach. Łypały w odbarwionych zagłębieniach pod ciemnymi, grubymi brwiami.

— Proszę — powiedziała, odsuwając się, abym mógł wejść.

Była ubrana na czarno, jak przedstawicielka weekendowej cyganerii w kafejce w Village: czarna wełniana spódniczka, sweter, czarne pończochy, nawet jej gęste, czarne włosy upięte były w kok za pomocą czegoś, co wyglądało jak para hebanowych pałeczek do ryżu. Walt Rigler orzekł, że ma jakieś trzydzieści sześć, trzydzieści siedem lat, ale bez makijażu wyglądała dużo starzej. Była bardzo szczupła, prawie chuda, płaskie piersi ledwie zarysowywały się pod fałdami grubego swetra. Jediną ozdobą, jaką nosiła, był złoty medalion na prostym łańcuszku. Była to odwrócona pięcioramienna gwiazda. Żadne z nas nie odezwało się słowem, gdy nagle uzmysłowiłem sobie, że wpatruję się w dyndający medalion.

Idź, złap spadającą gwiazdę. . . W myślach usłyszałem

pierwsze słowa wiersza Donne'a, a potem oczyma wyobraźni ujrzałem dłonie doktora Alberta Fowlera. Jego nerwowe, bębniące po stole palce i złoty sygnet na jednym z nich. Był on ozdobiony wizerunkiem odwróconej pięcioramiennej gwiazdy. Nie zauważyłem tego sygnetu, kiedy odnalazłem zwłoki doktora zamknięte w sypialni na piętrze. To był ten zaginiony fragment układanki. To odkrycie podziało na mnie jak lewatywa z lodowatej wody. Ciarki przeszły mi po plecach. Poczułem, jak krótkie włoski na moim karku stają dęba. Co się stało z sygnetem doktora? Mógł mieć go w kieszeni, nie przeszukałem jego rzeczy, ale dlaczego miałyby go zdejmować przed palnięciem sobie w łeb? A jeżeli nie on go zdjął, to kto to zrobił? Poczułem na sobie świdrujący wzrok niezwykle urzekających oczu kobiety. — Pani zapewne jest panną Krusemark — powiedziałem, aby przerwać ciszę.

— Owszem, tak — odrzekła, nie uśmiechając się.

— Zauważyłem nazwisko na drzwiach, ale nie rozpoznałem symbolu.

— To mój znak zodiaku — odrzekła i zaciągnęła łańcuch na drzwiach. —

Jestem spod znaku Skorpiona. — Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, jakby moje oczy były judaszami, za którymi rozgrywa się jakaś ciekawa scenka.

— A pan?

— Ja?

— Jaki jest pana znak?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — mruknąłem. — Jestem dość słaby z astrologii.

— Kiedy się pan urodził?

— 2 czerwca 1920. — Podałem jej datę urodzin Johnny'ego

Favorite'a, aby ją wypróbować, i wydawało mi się, że przez ułamek sekundy w jej przenikliwych, pozbawionych wyrazu oczach rozbłysły osobliwe iskierki.

— Gemini — powiedziała. — Bliźnięta. Ciekawe, znałam kiedyś chłopca, który urodził się tego samego dnia.

— Naprawdę? Kim on był?

— Nieważne — odrzekła. — To było dawno, bardzo dawno temu. To nieuprzejmie z mojej strony tak trzymać pana w korytarzu. Proszę do pokoju. Niech pan spocznie.

Wszedłem za nią z mrocznego przedpokoju do przestronnego gabinetu — salonu o wysokich sklepieniach. Meble stanowiły luźną kolekcję a la wczesna Armia Zbawienia; wzorzyste narzuty i wyszywane poduchy przydawały wnętrzu krzykliwego nastroju. Dopełnieniem tego bazarowego image'u były z pewnością grube, turkiestańskie kobierce, nabyte zapewne na jakiejś wyprzedaży. W pokoju było mnóstwo paproci i palm rozwiniętych tak, że sięgały aż do sufitu. Zielone wiszące pnącza zwieszały się luźno z doniczek. Miniaturowe lasy tropikalne parowały w zamkniętych szklanych terrariach.

— Piękny pokój — oznajmiłem, kiedy wzięła ode mnie płaszcz i przewiesiła złożony przez oparcie kanapy.

— Prawda? Byłam tu bardzo szczęśliwa. — Przerwał jej przenikliwy gwizd dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia.

— Napije się pan herbaty? — spytała. — Wstawiłam wodę przed pana przyjściem.

— Jeżeli to nie sprawi pani kłopotu.

— Absolutnie. Woda właśnie się gotuje. Którą pan woli — darjeeling, jaśminową czy ulung?

— Niech pani wybierze sama. Nie jestem znawcą herbat.

Rzuciła mi słaby półuśmieszek i pospieszyła w stronę, skąd

dobiegał uporczywy gwizd. Ja tymczasem rozejrzałem się uważniej po pokoju. Niemal wszędzie porozrzucone były najróżniejsze egzotyczne przedmioty. Dostrzegłem tu młynki modlitewne, orientalne flety, fetysze Indian Hopi, i wykonane z papiermache wizerunki awatarów Wisznu wyłaniających się z pysków ryb i żółwi. Na regale leżał błyszczący, obsydianowy aztecki sztylet w kształcie ptaka. Przejrzałem tytuły stojących na półkach woluminów i dostrzegłem wśród nich *I Ching*, *Księgę Przemian*, *Oaspę* i kilka ksiąg Evana Wentza z serii tybetańskiej. Kiedy M. Krusemark wróciła, niosąc srebrną tacę z zastawą do herbaty, stałem właśnie przy oknie, zastanawiając się nad zaginionym sygnetem doktora Fowlera. Postawiła tacę na niskim stoliku przy kanapie i podeszła do mnie. Po drugiej stronie 7 Alei, na szczycie Osborn Apartments ujrzałem posesję w stylu federalnym, z białymi doryckimi kolumnami, przypominającą ukrytą koronę.

— Ktoś wykupił budynek Jeffersona i przeniósł go? — bąknąłem.

— Earl Blackwell. Wydaje cudowne przyjęcia. W każdym razie miło je oglądać.

Podszedłem z nią do kanapy.

— Znajoma twarz — wskazałem na olejny portret przedstawiający podstarzałego pirata we fraku.

— To mój ojciec, Ethan Krusemark. — Struga gorącej herbaty popłynęła do delikatnych filiżanek z chińskiej porcelany.

Na mocnych, zdecydowanych wargach zastygł cień łobuzerskiego uśmiechu, a w oczach, równie zielonych jak u jego córki, migotały iskierki sprytu i bezwzględności.

— Jest armatorem, prawda? Widziałem jego zdjęcie w „Forbesie”.

— Nie znosił tego obrazu. Powiedział, że ma wrażenie, jakby

wpatrywał się w swoje zastygłe odbicie w lustrze. Ze śmietanką czy z cytryną?

— Bez niczego, dziękuję.

Podawała mi filiżankę.

— Namalowano go w ubiegłym roku. Uważam, że podobieństwo zostało uchwycone z niewiarygodną precyzją.

— Jest bardzo przystojny.

Pokiwała głową.

— Uwierzyłby pan, że ma ponad sześćdziesiąt lat? Zawsze wyglądał bardzo młodo. Ma słońce w troistości z Jowiszem, to bardzo sprzyjający układ.

Puściłem ten jej profesjonalny żargon mimo ucha i powiedziałem, że jej ojciec wygląda jak kapitan Blood z filmu o piratach, który oglądałem w dzieciństwie.

— Ma pan rację. Kiedy byłem w college'u, wszystkie dziewczęta brały go za Clarka Gable'a.

Upiłem łyk herbaty. Miała smak sfermentowanych brzoskwiń.

— Mój brat, który chodził do college'u w Princeton, znał dziewczynę nazwiskiem Krusemark — powiedziałem. — Przepowiadała mu przyszłość w Wellesley, podczas balu maturalnego.

— To musiała być moja siostra, Margaret — oznajmiła. — Ja jestem Millicent. Jesteśmy bliźniaczkami. Ale ona para się czarną magią, ja natomiast białą.

Poczułem się jak mężczyzna budzący się ze snu o potędze i bogactwie, kiedy złote skarby jak mgła wyslizgują mu się spomiędzy palców.

— Czy pani siostra mieszka w Nowym Jorku? — spytałem, idąc za ciosem. Ale znałem już odpowiedź.

— Na Boga, nie. Maggie ponad dziesięć lat temu

przeprowadziła się do Paryża. Nie widziałam jej od wieków. Jak miał na imię pański brat?

Cała ta szarada spadła na mnie jak powłoka przekłutego balonu.

— Jack — powiedziałem.

— Nie pamiętam, aby Maggie wspomniała kiedykolwiek o jakimś Jacku. Ale rzecz jasna w tamtych czasach w jej życiu było wielu młodych mężczyzn. Chciałabym, aby odpowiedział mi pan na kilka pytań. — Sięgnęła po oprawny w skórę notes z ołówkiem leżący na stole. — To niezbędne, aby sporządzić dla pana horoskop.

— Proszę pytać. — Wystukałem z paczki papierosa i włożyłem do ust.

Millicent Krusemark machnęła dłonią przed twarzą, jakby suszyła świeżo pomalowane paznokcie.

— Proszę, niech pan nie pali. Mam alergię na dym.

— Oczywiście. — Wsunąłem papierosa za ucho.

— Urodził się pan 2 czerwca 1920 roku — powiedziała. — Już to wystarczy, abym mogła co nieco o panu powiedzieć.

— Niech pani powie mi o mnie wszystko.

Millicent Krusemark zmierzyła mnie kocim spojrzeniem.

— Wiem, że jest pan urodzonym aktorem — zaczęła. — Wcielanie się w kolejne role przychodzi panu z wielką łatwością. Zmienia pan tożsamości równie gładko jak kameleon kolor. I choć bardzo zależy panu na odkryciu prawdy, kłamstwa bez wahania przechodzą przez pańskie usta.

— Świetnie. Proszę dalej.

— Pańskie aktorskie uzdolnienie posiada mroczną stronę i stanowi poważny problem, gdy musi pan stawić czoło dwoistej naturze własnej osobowości. Powiedziałabym, że często miewa pan chwile zwątpienia. „Jak mógłbym zrobić coś takiego?” To pytanie

dręczy pana najczęściej. Okrucieństwo przychodzi panu z wielką łatwością, a jednak nie potrafi pan pojąć, że jest tak utalentowany w sprawianiu bólu innym ludziom. Z drugiej strony jest pan metodyczny i nieustępliwy, aczkolwiek często zawiera pan swojej intuicji. — Uśmiechnęła się. — Jeżeli chodzi o kobiety, woli pan młode i ciemnoskóre.

— Piątka z plusem — oświadczyłem. — Zasłużyła pani na swoje pieniądze.

I faktycznie spisała się na medal. Psychiatra, który potrafiłby dokonać tak dogłębnej analizy, byłby wart dwadzieścia pięć doków za godzinę wizyty. Był tylko jeden mały problem: fałszywa data urodzin; ta kobieta przepowiadała mój los, wykorzystując dane z życiorysu Johnny'ego Favorite'a.

— Wie pani, gdzie mogę spotkać jakieś młode, czarnoskóre kobiety?

— Kiedy tylko zgromadzę to, czego mi trzeba, powiem panu znacznie więcej.

Biała czarownica zaczęła szkicować coś w notesie.

— Nie gwarantuję, że będzie to kobieta z pańskich snów, ale na pewno będzie osobą z krwi i kości. Wykreślam właśnie układ gwiazd i planet na cały miesiąc, aby sprawdzić, w jaki sposób wpłyną na pańską przyszłość. A raczej nie na pańską, ale tego chłopca, o którym już wspomniałam. Wasze horoskopy są bardzo podobne.

— Słucham z przejęciem.

Millicent Krusemark zmarszczyła brwi i zasepiła się, wbijając wzrok w kartkę notesu.

— To okres wielkich niebezpieczeństw. Niedawno, najdalej tydzień temu był pan w jakiś sposób związany z czyjąś śmiercią. Zmarły nie był pańskim dobrym znajomym, ale jego śmierć mocno

panem wstrząsnęła. W grę wchodzi jakiś lekarz, ktoś związany z medycyną. Być może pan również znajdzie się wkrótce w szpitalu, gwiazdy są panu nieprzychylne. Niech pan się strzeże nieznanym.

Patrzając na tę dziwną kobietę w czerni, poczułem, jak wokół mego serca zaciskają się niewidzialne macki strachu. Skąd mogła tyle wiedzieć?

— Co to za ozdoba, którą nosi pani na szyi? — spytałem, czując suchość w ustach.

— To? — Dłoń kobiety zatrzymała się na wysokości jej szyi, jak ptak robiący sobie przerwę podczas lotu. — To pentakl. Przynosi szczęście.

Podobny pentakl nie przyniósł szczęścia Albertowi Fowlerowi, ale doktor nie miał go na sobie, kiedy zmarł. A może ktoś zabrał sygnet już po uśmierceniu staruszka?

— Potrzebuję jeszcze jednej informacji — powiedziała Millicent Krusemark, przechylając smukły złoty ołówek w palcach jak strzałkę do rzucania. — Kiedy i gdzie urodziła się pańska narzeczona. Muszę znać dokładną godzinę i miejsce jej narodzin, aby móc określić długość i szerokość geograficzną. Pan również nie powiedział mi, gdzie się urodził.

Podaliśmy jej kilka wymyślonych naprędce dat i miejsc, po czym ceremonialnym gestem spojrzaliśmy na zegarek i odstawiliśmy filiżankę. Wstaliśmy równocześnie, jak na komendę.

— Dzięki za herbatę.

Odprowadziła mnie do drzwi i oświadczyła, że horoskopy będą do odebrania w przyszłym tygodniu. Powiedziałem, że zadzwonię, i uścisnęliśmy sobie ręce z mechaniczną, sztywną formalnością nakręcanych blaszanych żołnierzyków.

Rozdział dwunasty

W drodze do windy przypomniałem sobie, że mam za uchem papierosa, i zapaliłem go, wychodząc na ulicę. Marcowy wiatr był oczyszczający. Miałem jeszcze godzinę do spotkania z Vernonem Hyde'em i idąc powoli wzdłuż 7 Alei, usiłowałem sprecyzować nieokreślony lęk, który ogarnął mnie w mieszkaniu tajemniczej pani astrolog. Wiedziałem, że musiała to być jakaś sztuczka, słowny trik, jeden z atrybutów przynależnych tej profesji. Strzeż się nieznajomych. Taki kit wciskają gratis, na dokładkę do wróżby. Zwiodła mnie tym wieszczym głosem i hipnotycznymi oczami.

52 Ulica wyraźnie podupadła. Dwa bloki na wschód, klub 21 trzymał się dzielnie, jak oaza zatrzymanych wspomnień, ale większość klubów jazzowych przestała istnieć, a ich miejsca zajęły nowocześniejsze lokale ze striptizem. Po zamknięciu Onyksu na Broadwayu pozostała już tylko jedna świątynia, w której wciąż płonął ogień bebopu — Ptaszarnia. Słynne Drzwi zostały zamknięte na głucho. Klub Jimmy'ego Ryana i Hikorowy Dom były jedynymi, jakie ocalały na ulicy, gdzie w czasach prohibicji mieściło się ponad pięćdziesiąt tajnych „wodopojów”.

Szedłem na wschód, mijając chińskie restauracje i rozdrażnione dziwki ze skórzanymi okrągłymi torebkami na suwak. W Hikorowym Domu występowało trio Dona Shirleya, ale grać zaczęły dopiero za parę godzin, dlatego gdy wszedłem, w barze było dość cicho i panował względny spokój.

Zamówiłem whisky i usiadłem tak, bym mógł obserwować drzwi. Po dwóch drinkach później zauważyłem faceta z futerałem na saksofon. Nosił brązową, zamszową kurtkę, a pod nią kremowy

golf z irlandzkiej wełny. Jego włosy o barwie soli z pieprzem były bardzo krótko przycięte. Machnąłem i podszedł do mnie.

— Vernon Hyde?

— We własnej osobie — rzekł z nieco krzywym uśmiechem.

— Zaparkuj saksa i wypij ze mną jednego.

— Nie ma sprawy. — Ostrożnie położył futerał na stoliku i przystawił sobie krzesło.

— A więc jesteś pisarzem. Co właściwie piszesz?

— Głównie do czasopism — odrzekłem. — Wywiady, reportaże, artykuły o ciekawych ludziach.

Podeszła do nas kelnerka i Hyde zamówił butelkę Heinekena. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tym i owym, dopóki nie przyniosła piwa i nie nalała złocistego płynu do wysokiej szklanki. Hyde upił pokaźny łyk i przeszedł do rzeczy.

— No taa, a więc chcesz pisać o zespole Spidera Simpsona. Cóż, wybrałeś właściwą ulicę. Gdyby beton mógł mówić, ten chodnik opowiedziałaby ci historię mojego życia.

Sprowadziłem go na ziemię. — Słuchaj, chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. W reportażu będzie wzmianka o zespole, ale mnie interesuje najbardziej osoba Johnny'ego Favorite'a.

Uśmiech Vernona Hyde'a zmienił się w grymas rozczarowania.

— On? A po kiego chcesz pisać o tym kutasie?

— Zakładam, że nie był twoim kumplem?

— Poza tym, kto jeszcze pamięta Johnny'ego Favorite'a?

— Naczelny z redakcji „Look”, to dzięki niemu zlecono mi napisanie tego reportażu. Wydaje się, że masz całkiem niezłą pamięć i mógłbyś sporo z niej wyłuskać. Jaki on był?

— To był skurwiel. Mało powiedzieć, że numer, jaki wyciął Spiderowi, był poniżej pasa.

— Co właściwie mu zrobił?

— Musisz zdać sobie sprawę, że Spider go odkrył, wydobył tego nędznego palanta, który bez jego pomocy i wsparcia po dziś dzień przygrywałby w tanich knajpach „pod kotleta”.

— Wiem.

— Favorite wiele zawdzięczał Spiderowi. I oprócz honorarium, jak wszyscy członkowie zespołu, dostawał również procent od zysków, dlatego nie rozumiem, na co mógłby się jeszcze skarżyć. Jego kontrakt z Simpsonem opiewał na dalsze cztery lata, kiedy postanowił z nim zerwać. Z powodu jego odejścia zmuszeni byliśmy odmówić kilku całkiem intratnych kontraktów.

Wyjąłem notes i mechaniczny ołówek, udając, że robię notatki.

— Czy kontaktował się kiedykolwiek z innymi członkami zespołu Spidera?

— A czy duchy umieją chodzić?

— Że co proszę?

— Ten kot stracił swoje dziewięć żywotów, stary. Załatwili go na wojnie.

— Serio? — spytałem. — Słyszałem, że przebywa w szpitalu na północy stanu.

— To możliwe, mnie wydawało się, że facet nie żyje.

— Słyszałem, że był przesądny. Pamiętasz coś na ten temat?

Vernon Hyde znów uśmiechnął się krzywo.

— Taa, stale łąził na jakieś seanse, wróżyli mu ze szklanych kuł i takie tam. Raz w trasie, chyba to było w Cincinnati, wynajęliśmy hotelową dziwkę, żeby udawała przed nim chiromantkę. Powiedziała mu, że nabawi się trynia, i do końca trasy nawet nie spojrzał na żadną laskę.

— Miał podobno jakąś bliską przyjaciółkę z towarzystwa, która zajmowała się przepowiadaniem przyszłości, czy to prawda?

— Tak, była taka jedna. Nigdy jej nie spotkałem. Johnny i ja

krążyliśmy wtedy po różnych orbitach.

— W orkiestrze Spidera Simpsona, kiedy śpiewał z wami Favorite, wciąż panowała segregacja, zgadza się?

— Tak, wszyscy byliśmy białasami. Jednego roku Kubańczyk miał niezły sezon. Vernon Hyde dopił piwo. — Jak wiesz, nawet Duke Ellington nie zdołał wtedy usunąć w cień uprzedzeń do kolorowych.

— Racja. — Zacząłem bazgrać w notesie. — Ale wspólne spotkania po występach to zupełnie inna para kaloszy.

Uśmiech Hyde'a złagodniał na wspomnienie tamtych zadymionych pokoi.

— Kiedy w mieście przebywał zespół Counta Basiego, zbieraliśmy się w większym lub mniejszym gronie i dzemowaliśmy całą noc.

— Czy Favorite uczestniczył w tych sesjach?

— Nie. Johnny nie lubił się zadawać z asfaltami. Po bibce, jeżeli miał ochotę spotkać się z czarnymi, to wyłącznie ze służącymi apartamentów przy Park Avenue.

— Ciekawe. Wydawało mi się, że Favorite był przyjacielem Tootsa Sweeta.

— Bywały takie dni, że mógł zażyczyć sobie, aby Toots wyczyścił mu buty. Powiadam ci, Johnny Favorite nie lubił czarnych. Pamiętam, jak któregoś razu powiedział, że Georgie Auld był lepszym tenorem niż Lester Young. Wyobrażasz sobie!

Powiedziałem, że nie potrafię.

— Uważał, że przynoszą pecha.

— Tenorzy?

— Czarnuchy, chłopie. Dla Johnny'ego byli jak czarne koty, wybacz tę niezamierzoną gierkę słowną.

Spytałem, czy Johnny Favorite miał w zespole jakiegoś

bliskiego przyjaciela.

— Wątpię, aby miał choć jednego kumpla na całym świecie — i odrzekł Vernon Hyde. — I jeżeli chcesz, możesz mnie zacytować. Był samotnikiem. Wolał trzymać się na uboczu. Poza tym był skryty i zamknięty w sobie. Nie zrozum mnie źle, lubił pożartować i często się uśmiechał, ale to nic nie znaczyło. Johnny to był czaruś i umiał wykorzystywać urok osobisty. Używał go jako tarczy, by nikt nie zdołał zbyt mocno zbliżyć się do niego.

— Co mógłbyś mi powiedzieć o jego życiu prywatnym?

— Widywałem go tylko na scenie albo nocą, w autobusie, kiedy dokądś jechał.

Spider znał go najlepiej. To z nim powinieneś pogadać.

— Mam jego numer — powiedziałem. — Ale jak dotąd, nie udało mi się go zastać. Jeszcze jedno piwo?

Hyde odparł: — Czemu nie — i zamówiłem jeszcze jedną kolejkę. Przez następną godzinę plotkowaliśmy na temat 52 Ulicy w starych, dobrych czasach i żaden z nas nie wspomniał już ani słowem o Johnnym Favoricie.

Rozdział trzynasty

Vernon Hyde oddalił się w nieznanym kierunku krótko przed siódmą, ja natomiast udałem się dwie przecznice dalej, gdzie u Gallaghery podawano najlepsze steki w mieście. Wypaliłem cygaro i około dziesiątej wypilem drugą filiżankę kawy, po czym zapłaciłem rachunek i na Broadwayu złapałem taksówkę, którą przejechałem osiem przecznic, by dostać się przed garaż, gdzie stał mój wóz.

Ruszyłem 6 do północnej części miasta, przez Central Park, obok zbiornika i Harlem Meer. Opuściłem Park przez Warrior's Gate przy 110 i 7, wjeżdżając do świata czynszówek i ciemnych bocznych alejek. Nie byłem w Harlemie od czasu, gdy w ubiegłym roku zburzono Savoy Ballroom, ale ogólnie nic się tu nie zmieniło. Na tym końcu miasta Park Avenue znajdowała się pod torami New York Central, dlatego też 7, ze swymi betonowymi wysepkami dzielącymi pasy ruchu, stawała się ulicą, którą naprawdę warto zobaczyć.

Przejechawszy 125, znalazłem się na terenie oświetlonym równie mocno jak Broadway. Nieco dalej przy tej ulicy prosperowały, najwyraźniej całkiem nieźle, Smali's Paradise i klub Counta Basiego. Wypatrzyłem wolne miejsce na parkingu naprzeciw Czerwonego Koguta i czekałem na światłach. Od grupki młodzieży stojącej na rogu odłączył się śniady chłopak w kapeluszu z piórkiem i spytał, czy nie chciałbym kupić zegarka. Podciągnął oba rękawy workowatego płaszcza i pokazał umieszczoną na przedramionach okazałą kolekcję około tuzina czasomierzy.

— Tanio sprzedam, brachu. . . Powaga.

Odparłem, że mam już zegarek, i przejechałem na zielonym. W Czerwonym Kogucie królowały plusz i mrok. Stoliki przy scenie tłumnie okupowali miejscowi, postawne szumowiny i typy spod ciemnej gwiazdy, mający zbyt dużo pieniędzy, oraz wypacykowane panienki, skrzące się jak tęcza w obcisłych, obszytych cekinami sukniach wieczorowych. Znalazłem sobie stołek przy barze i zamówiłem szklaneczkę Remy Martin. Na scenie prezentowało się trio Edisona Sweeta, ale z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem tylko plecy pianisty zgarbionego nad klawiszami. Pozostałymi instrumentami były gitary — elektryczna i basowa. Zespół grał bluesa, gitara to wdzierała się, to odpływała z dźwięków melodii jak trwożliwy koliber. Fortepian grzmiał i pulsował rytmem, Kenny Pomeroy nie przesadzał — Toots Sweet miał naprawdę niesamowitą lewą rękę. Zespół nie potrzebował perkusisty. Toots popłynął ponad zmiennymi tonami gitary basowej, wygrywając lament, a kiedy zaczął śpiewać, w jego głosie pobrzmiwała nuta cierpienia:

*To właśnie jest blues voodoo,
Ten czarny blues hoodoo.
Już nie da mi spokoju ten stary Petro Loa;
W noc każdą słyszę upiorne zombi jęki,
Panie mój, bo śpiewam tego bluesa voodoo.*

*Ta Zu-Zu mambo była, hungana pokochała,
Lecz w drogę wejść Erzuli wcale nie zamierzała.
W raba ją przemieniło tam-tamu złe zaklęcie,
A Samedi dziś tańczy na grobie jej zawzięcie.*

O taaak, bo to jest jej blues voodoo,

Ten czarny blues hoodoo. . .

Po występie muzycy śmiejąc się, rozmawiając i wycierając spocone twarze wielkimi, białymi chustkami, podryfowali w stronę baru. Powiedziałem barmanowi, że chcę im postawić drinka. Ten zebrał od nich zamówienia i skinął w moją stronę. Dwaj gitarzyści wzięli swoje szklaneczki, unieśli je, spoglądając ku mnie i rozplynęli się w tłumie. Toots Sweet zajął stołek przy końcu baru, odchylił się do tyłu, tak by widzieć, co się dzieje w lokalu, a jego wielka, ozdobiona gęstymi, zmierzwionymi włosami głowa oparła się o ścianę. Wziąłem szklaneczkę i podszedłem do niego.

— Chciałem tylko podziękować — stwierdziłem, siadając na sąsiednim stołku. — Jest pan prawdziwym artystą, panie Sweet.

— Mów mi Toots, synu. Nie gryzę.

— Niech będzie Toots.

Toots miał twarz szeroką, czarną i pomarszczoną jak prymka suszonego tytoniu. Jego gęste włosy przypominały kolor popiołu z cygara. Lśniący, niebieski rewiowy garnitur, który nosił był tak opięty, że lada moment mógł pęknąć, ale stopy w czarno — białych lakierkach były tak drobne i delikatne jak u kobiety.

— Podobał mi się ten bluesowy kawałek, który zagrałeś na zakończenie — powiedziałem.

— Napisałem go parę lat temu w Houston na odwrocie serwetki. — Wybuchnął śmiechem. Nagle biel uśmiechu rozszczepiła jego czarne oblicze jak rąbek księżycy, kiedy kończy się zaćmienie. Na jednym z przednich zębów nosił koronkę. Przez otwór o kształcie odwróconej gwiazdy pięcioramiennej można było dostrzec biel emalii. Takie rzeczy natychmiast rzucają się w oczy.

— To twoje rodzinne miasto?

— Houston? Na Boga, nie. Byłem tam tylko przejazdem.

— Skąd pochodzisz?

— Ja? Z Nowego Orleanu, tam się urodziłem i dorastałem. Masz przed sobą wyborny kąsek dla antropologa. Zanim skończyłem czternaście lat, grałem już w knajpach Story ville. Znałem tam wszystkie nory Bunk i Jelly, i Satchelmouth. Potem podążyłem, jak to się mówi, „we w górę rzeki”, do Chicago. Chłe, chłe, chłe. — Toots zarechotał i poklepał się po wielkich kolanach. W słabym świetle błysnęły sygnety na jego grubych paluchach.

— Zalewasz pan — mruknąłem.

— Tylko trochę, synu. Może tylko trochę.

Uśmiechnąłem się i wypilem łyk drinka.

— Musi pan mieć mnóstwo wspomnień.

— Pisziesz książkę, synu? Wyczuwam pisarza na milę, jak lis wyczuwa kurnik z kurami.

— Blisko, stary lisie. Pracuję nad artykułem dla „Look”.

— Opowieść o Tootsie dla „Look”! Ja i Doris Day w jednym numerze. Ha!

— Nie będę cię czarował, Toots. To artykuł o Johnnym Favoricie.

— O kim?

— O frontmenie. Śpiewał z kapelą Spidera Simpsona na początku lat czterdziestych.

— Taa. Pamiętam Spidera. Walił w perkusję jak dwa pierdolone młoty pneumatyczne.

— A co pamiętasz na temat Johnny’ego Favorite’a? — zapytałem.

Ciemna twarz Edisona Sweeta przybrała niewinny wyraz ucznia, który poproszony na algebrze do tablicy, nie umie rozwiązać zadania.

— Niewiele, poza tym, że może zmienił nazwisko na Frank

Sinatra. A w weekendy jest Villiem Damore'em.

— Może mam mylne informacje — mruknąłem. — Ale wydawało mi się, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

— Synu, nagrał mi kiedyś jedną piosenkę, a ja podziękowałem mu za wszystko odpowiednio okazałym czekiem, ale te pieniądze już dawno zostały wydane i to bynajmniej nie uczyniło z nas nierozłącznych kumpli.

— Widziałem zdjęcie, na którym śpiewacie razem.

— Taa. Pamiętam tamten wieczór. To było w barze Dickiego Wellsa. Widziałem go w okolicy raz czy dwa, ale on nie pofatygował się tu, do północnej części miasta, aby się ze mną spotkać.

— A kogo w takim razie odwiedzał?

Toots Sweet przewrócił oczami, udając nieśmiałość.

— Synu, chcesz wyciągnąć ode mnie zastrzeżone informacje.

— Czy po tylu latach ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? — spytałem. — Przypuszczam, że spotykał się z jakąś kobietą.

— Tak, to była kobieta. I do tego z klasą.

— Jak się nazywała?

— To żadna tajemnica. Każdy w tamtych czasach wiedział, że Evangeline Proudfoot kręciła z Johnnym Favorite'em.

— Najwyraźniej żaden ze śródmiejskich dziennikarzy nie miał o tym pojęcia.

— W tamtych czasach nie było to coś, czym mógłbyś i chciałbyś się szczycić.

— Kim była Evangeline Proudfoot?

Toots uśmiechnął się.

— Piękną, urzekającą kobietą, kolorową. Pochodziła z Indii Zachodnich. Była o dziesięć, piętnaście lat starsza od Johnny'ego, ale miała dość wdzięku i seksapilu, by owinąć go sobie wokół palca.

— Wiesz, gdzie mógłbym ją znaleźć?

— Nie widziałem jej od lat. Chorowała. Sklepik ciągle prosperuje, więc może ona nadal go prowadzi.

— Co to za sklepik? — Nie chciałem, aby ta rozmowa zaczęła przypominać przesłuchanie.

— Zielarski. Mieści się przy Lenox. Otwarty codziennie do północy, z wyjątkiem niedziel. — Toots mrugnął do mnie teatralnie.

— Pora zagrać parę kawałków. Posiedzisz tu jeszcze trochę, synu?

— Wrócę — odparłem.

Rozdział czternasty

Sklepik farmaceutyczny mieścił się przy północno — zachodnim rogu Lenox Avenue i 123. Szyld z nazwą — Proudfoot Pharmaceu — ticals wisiał w oknie wystawowym, jarząc się niebieskim światłem neonówek. Zaparkowałem pół przecznicy dalej i obejrzałem sobie uważnie to miejsce. Rzeczy na wystawie pokrywała warstewka kurzu, który jeszcze bardziej podkreślał błękitnawy blask neonu. Wyblakłe pudełeczka leków homeopatycznych stały po bokach, na niewielkich, okrągłych kartonowych półkach. Do tylnej ściany przypięty był wielobarwny diagram anatomiczny ludzkiego ciała, odartego ze skóry i tkanek, by ukazać poskręcaną masę nieapetycznie wyglądających flaków. Każda z tych kartonowych półek połączona była pasemkiem obwisłej satynowej wstążki z odpowiadającym lekom organem. Specyfik połączony z sercem nosił nazwę: Cudotwórczy wyciąg z belladony.

Ponad tylną ścianką wystawy mogłem zajrzeć do wnętrza sklepiku. Z sufitu z falistej blachy zwieszały się jaskrawe neonówki. Pod przeciwległą ścianą ujrzałem staroświecką szafkę apteczną z przeszklonymi półkami. Jedyłą oznaką życia było dochodzące ze środka tykanie zegara z wahadłem. Wszedłem do środka. Powietrze przesycone było wonią kadzidełek. Kiedy zamknąłem drzwi, nad moją głową zadźwięczał dzwonek. Rozejrzałem się spieszenie dokoła. Na obrotowym stojaku przy wejściu dostrzegłem niezły zbiór senników i broszur, dotyczących najrozmaitszych problemów miłości, które krzykliwymi okładkami, niemalże na wyścigi, domagały się uwagi klientów. Była tu również piramidka

ułożona zgrabnie z wysokich kartonowych tulejek, zawierających proszki mające przynieść szczęście. Wystarczy rano posypać szczyptą takiego proszku swoje ubranie, a potem sprawdzić numer z sennika i tego dnia odniesiesz niesamowity sukces. Przyglądałem się właśnie wonnym barwnym świeczkom gwarantującym powodzenie przy stałym ich wykorzystywaniu, kiedy z zaplecza wyłoniła się piękna, śniadoskóra dziewczyna i stanęła za ladą. Miała na sobie sukienkę, na którą narzuciła biały kitel. Wyglądała na jakieś dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Jej faliste, sięgające ramion włosy przypominały barwę polerowanego mahoni. Na chudym, kościstym nadgarstku dziewczyny pobrzękiwało kilka cienkich, srebrnych bransolet.

— Czym mogę służyć? — zapytała. W jej starannie modulowanym głosie pobrzmiwał melodyjny akcent z Karaibów.

Rzuciłem z głupia frant: — Ma pani korzeń Wielkiego Jasia Zdobywcy?

— W proszku czy w całości?

— W całości. Czy to nie kształt sprawia, że zaklęcie skutkuje?

— Nie sprzedajemy tu magicznych artefaktów, proszę pana. To apteka zielarska.

— A jak pani nazwie rzeczy na wystawie? Czy te „lekarstwa” mają legalny patent?

— Wprowadziliśmy pewne innowacje. U Rexalla też sprzedają kartki z życzeniami.

— Żartowałem. Nie chciałem pani urazić.

— Nie czuję się urażona. Proszę powiedzieć, ile panu potrzeba tych korzeni, to zważę.

— Czy zastałem może pannę Proudfoot?

— Ja jestem panną Proudfoot — odparła.

— Panną Evangeline Proudfoot?

— Epiphany. Evangeline była moją matką.

— Była?

— Mama zmarła w ubiegłym roku.

— Bardzo mi przykro.

— Długo chorowała, od lat nie wstawała z łóżka. Tak było dla niej lepiej.

— Zostawiła ci wspaniałe imię, Epiphany — powiedziałem. — Pasuje do ciebie.

Mimo śniadej cery, zauważyłem, że się lekko zaczerwieniła.

— Pozostawiła mi dużo więcej. Ten sklepik całkiem nieźle prosperuje już od czterdziestu lat. Czy prowadził pan z moją mamą jakieś interesy?

— Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy. Liczyłem, że może odpowie mi na kilka pytań.

Lśniące jak topazy oczy Epiphany Proudfoot pokryły się mrokiem.

— A co, pan może z policji?

Uśmiechnąłem się, miałem już na końcu języka sprawdzoną historyjkę o artykule dla pisma „Look”, ale uznałem, że jest zbyt cwana, aby ją kupić, dlatego odparłem: — Jestem prywatnym detektywem. Mogę pokazać licencję.

— Podróbkę można kupić za dziesięć centów. Niech pan sobie daruje. Dlaczego chciał pan widzieć się z mamą?

— Szukam pewnego człowieka, Johnny'ego Favorite'a.

Zesztywniała. Zupełnie jakby ktoś musnął jej kark kostką lodu.

— On nie żyje — powiedziała.

— Bynajmniej, choć większość ludzi najwyraźniej tak uważa.

— O ile mi wiadomo, on nie żyje.

— Znałaś go?

— Nigdy się nie spotkaliśmy.

— Edison Sweet twierdzi, że był przyjacielem twojej matki.
— To było jeszcze przed moim urodzeniem — wyjaśniła.
— Czy matka rozmawiała kiedykolwiek z tobą na jego temat?
— Drogi panie jak-się-pan-tam-nazywa, nie sądzi pan chyba, że zacznę zdradzać najgłębsze sekrety mojej mamy? Nie jest pan dżentelmenem.

Puściłem to mimo uszu.

— Może w takim razie powiesz mi, czy ty lub twoja matka widziałyście Johnny'ego Favorite'a w ciągu, dajmy na to, ostatnich piętnastu lat?

— Już mówiłam, że nigdy się nie spotkaliśmy, a mama zawsze przedstawiała mnie wszystkim swoim przyjaciołom.

Wyjąłem portfel, ten z gotówką, i podałem jej wizytówkę mojego biura Rozstaje.

— W porządku — powiedziałem — i tak nie liczyłem na wiele. U dołu masz numer mojego biura. Zadzwoń, gdybyś przypomniała sobie, że ktoś, kogo znasz, widział ostatnio Johnny'ego Favorite'a.

Uśmiechnęła się, ale bez odrobiny ciepła.

— Po co go pan szuka? Ściga go pan za coś?

— Nie ścigam go. Chcę po prostu wiedzieć, gdzie obecnie przebywa.

Włożyła moją wizytówkę za szkło przy ozdobnej mosiężnej kasie.

— A jeżeli on nie żyje?

— Tak czy inaczej, zapłacą mi za robotę.

Tym razem jej uśmiech był prawie naturalny.

— Mam nadzieję, że odnajdzie go pan, wachającego kwiatki od spodu — powiedziała.

— Może być. Mnie to bez różnicy. Nie zgub mojej wizytówki. Nigdy nic nie wiadomo. Może się jeszcze przydać.

— To prawda.

— Dzięki, że poświęciłaś mi swój czas.

— A co z korzeniem? Chyba nie wyjdzie pan stąd z pustymi rękami?

Wyprostowałem się. — Czy wyglądam na takiego, który mógłby go potrzebować?

— Panie Rozstaje — powiedziała i roześmiała się dźwięcznym, perlistym śmiechem — mam wrażenie, że w obecnej sytuacji mogłoby się panu przydać niemal wszystko.

Rozdział piętnasty

Zanim wróciłem do Czerwonego Koguta, kolejny występ kapeli dobiegł końca i Toots znów siedział na tym samym stołku przy barze. Obok stał kieliszek szampana. Przeciskając się przez tłum, zapaliłem papierosa.

— Znalazłeś to, czego szukałeś? — spytał obojętnie Toots.

— Evangeline Proudfoot nie żyje.

— Nie żyje? Wielka szkoda. To była wspaniała kobieta.

— Rozmawiałem z jej córką, ale niewiele mi to dało.

— Może wybierzesz sobie kogoś innego, o kim chciałbyś napisać, synu.

— Raczej nie. Powiedziałbym, że coraz bardziej mnie to interesuje.

Popiół z papierosa spadł mi na krawat, a kiedy go strzepnąłem, obok plamy po zupie powstała na nim szara smuga.

— Wydaje mi się, że znałeś dość dobrze Evangeline Proudfoot. Co jeszcze mógłbyś mi powiedzieć o jej związku z Johnnym Favorite'em?

Toots Sweet stanął na swoich małych stopkach.

— Nic, synu. Jestem za duży, żeby chować się u ludzi pod łóżkiem. Poza tym pora znów wziąć się do pracy.

Błysnął gwiaździstym uśmiechem i ruszył w stronę sceny. Podreptałem za nim jak młody szczeniak.

— A może pamięta pan innych jego przyjaciół? Ludzi, którzy znali ich wtedy, gdy byli razem.

Toots usiadł przy fortepianie i rozejrzał się, poszukując pozostałych członków swego zespołu. Wodząc wzrokiem od

jednego stolika do drugiego, powiedział: — Spróbuję wyluzować się trochę przy muzyce. Może coś mi się przypomni.

— Mnie się nie spieszy. Całą noc mogę słuchać, jak grasz.

— Tylko zejdz ze sceny, synu. — Toots uniósł klapę fortepianu.

Na klawiaturze leżała kurza łapka. Zatrzasnął klapę.

— Nie stercz tak nade mną! — wykrzyknął. — Mam teraz grać.

— Co to było?

— Nic takiego. Nieważne.

Ale to nie było nic. To była kurza łapka rozciągająca się na klawiszach na długości oktawy, od końca żółtego jaszczurzego szpona po krwawiący kikut nóżki, gdzie została odcięta. Poniżej kępki białych piór przywiązana była czarna wstążka. Na pewno było to coś więcej niż nic.

— Co jest grane, Toots?

Gitarzysta zajął swoje miejsce i podłączył wzmacniacz. Spojrzał na Tootsa i zaczął manipulować gałką. Miał kłopoty ze sprzężeniem.

— Nie dzieje się nic, o czym musiałbyś wiedzieć — zasyczał Toots. Odtąd nie zamierzam więcej z tobą gadać. Ani po następnej wstawce. Ani po występie. Ani nigdy!

— Kto cię naciska, Toots?

— Wynoś się stąd.

— Co ma z tym wspólnego Johnny Favorite?

Toots mówił bardzo wolno, ignorując basistę, który stanął tuż przy nim.

— Jeśli stąd nie odejdziesz, a mam tu na myśli wyjście z tej knajpy w ogóle, pożałujesz, że twoja biała dupa kiedykolwiek pojawiła się na tym bożym świecie.

Napotkałem nieprzejednane spojrzenie basisty i rozejrzałem się dokoła. W knajpie było mnóstwo ludzi. Zrozumiałem, jak musiał

się czuć Custer na tamtym pagórku, nad Little Big Horn.

— Wystarczy — syknął Toots — że powiem choćby jedno słowo.

— Nie musisz wysyłać telegramu, Toots. — Upuściłem niedopałek na parkiet, zgmiotłem go obcasem i wyszedłem.

Mój wóz wciąż stał po drugiej stronie ulicy. Ruszyłem w jego stronę, gdy zmieniły się światła. Gromadka wystająca na rogu zmieniła klimat, obecnie ujrzałem tam chudą, ciemną kobietę w wyświechtanym futerku z lisa. Zakołysała się w przód i w tył na bardzo wysokich szpilkach, oddychając raptownie przez nos, jak kokainista na trzydniowym głodzie.

— Masz ochotę? — spytała, kiedy ją mijalem. — Masz pan ochotę?

— Nie dzisiaj — odparłem.

Siadłem za kółkiem i zapaliłem papierosa. Chuda kobieta przyglądała mi się przez chwilę, po czym oddaliła się. Nie było jeszcze jedenastej. Około północy zabrakło mi fajek. Domyśliłem się, że Toots wyjdzie z knajpy dopiero, gdy odbębni swoje. Miałem mnóstwo czasu. Przeszedłem półtorej przecznicy, wzdłuż 7 do nocnego sklepu, gdzie kupiłem dwie paczki Lucky Strike'ów i butelkę Early'ego Timesa. W drodze powrotnej przeszedłem na drugą stronę ulicy i przystanąłem na moment przy wejściu do Czerwonego Koguta. Z wnętrza dochodziły dźwięki pianina, niepowtarzalna w wykonaniu Tootsa mieszanina knajpianego klezmerstwa i staroświeckiej beethovenowskiej maestrii.

Noc była zimna, dlatego od czasu do czasu, aby zabić chłód, uruchamiałem silnik. Nie chciałem, aby w wozie było zbyt ciepło. Łatwo można wtedy zasnąć. Zanim za kwadrans czwarta Toots skończył swój ostatni występ, w popielniczce w desce rozdzielczej zebrała się już góra niedopałków, a w butelce Early'ego Timesa

ukazało się dno. Czuję się świetnie.

Toots wyszedł z klubu na pięć minut przed zamknięciem. Zapiął guziki grubego płaszcza i pożartował przez chwilę z gitarzystą. Kiedy zagwizdał przeciągle na dwóch palcach, do chodnika z piskiem opon podjechała taksówka. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i uruchomiłem silnik chevy.

Ruch uliczny był niewielki, dlatego postanowiłem dać im trochę czasu. Oczekałem na jednych światłach i w lusterku wstecznym ujrzałem, jak taksówka zawija przy 138, by zawrócić wzdłuż 7 w moją stronę. Przepuściłem ich, a gdy minęli sklep nocny, w którym się niedawno zaopatrywałem, włączyłem światła i ruszyłem za nimi. Jechałem za taryfą aż do 152, gdzie skręciła w lewo. W połowie ulicy zatrzymała się przy jednym z Harlem River Houses. Dojechałem do Mecomb's Place, skręciłem na północ i wróciłem na 7, zatrzymując auto przy końcu dzielnicy czynszówek. Niedaleko, bo na samym rogu, ujrzałem taryfę oczekującą z otwartymi drzwiczkami i zgaszonym „kogutem”. Na tylnym siedzeniu nie było nikogo. Toots pobiegł właśnie na górę, aby pozbyć się kurzej łapki. Zgasilem światła i stanąłem tak, bym mógł obserwować taksówkę. Toots wrócił w kilka minut później. Miał ze sobą płócienną torbę w czerwonej kratę.

Taryfa skręciła przy Mecomb's Place w lewo, po czym wzdłuż 8 Alei pojechała do śródmieścia. Trzymałem się trzy przecznice za nią i przez całą drogę, aż do Frederick Douglas Circle, nie spuszczałem jej z oka. Dopiero tam taksówka skręciła w 110, na wschód, i wzdłuż północnej ściany Central Parku dotarła do rozgałęzienia Alei St. Nicholas i Lenox. Przejeżdżając obok, ujrzałem, jak Toots z portfelem w dłoni czeka na wydanie reszty.

Skręciłem ostro w lewo i zaparkowałem za rogiem St. Nicholas, a gdy pędem wróciłem na 110, ujrzałem odjeżdżającą

taksówkę i oddalającą się sylwetkę Tootsa Sweeta — cień rozplywający się w mrocznym świecie pogrążonego w ciemnościach i ciszy parku.

Rozdział szesnasty

Szedł ścieżką biegnącą równolegle do zachodniego obrzeża Harlem Meer, przechodząc przez płachty światła rzucanego przez uliczne latarnie, jak Jimmy Durante mówiący dobranoc pani Kalabash. Trzymałem się w cieniu, ale Toots i tak ani razu nie obejrzał się za siebie. Przeszedł wzdłuż granicy Meer i pod łukowatym sklepieniem mostu Huddlestone. Górą, po East Drive przemknęła jakaś pojedyncza taksówka.

Za Drive znajdował się Loch, najodleglejszy zakątek Central Parku. Kręta ścieżka wiodła w głąb parowu porośniętego drzewami i krzewami, na dodatek kompletnie odciętego od miasta. Było tu bardzo ciemno i cicho. Przez chwilę wydawało mi się, że zgubiłem Tootsa. A potem usłyszałem bębny. Ujrzałem przed sobą maleńkie migoczące światełka, wyglądające jak robaczki świętojańskie. Przedzierałem się między drzewami, aż w końcu przycupnąłem za stanowiącym idealną kryjówkę wielkim głazem. Na ziemi migotały cztery świece ustawione na talerzykach. W ich słabym świetle naliczyłem piętnaście osób stojących w pobliżu. Było wśród nich trzech mężczyzn grających na bębenkach różnej wielkości. Największy z instrumentów przypominał kongę. Grał na nim, gołą ręką i małym drewnianym młoteczkiem, szczupły szpakowaty mężczyzna.

Dziewczyna w białej sukni i turbanie nakreśliła na ziemi, pomiędzy świecami, skomplikowane symbole. Używała w tym celu mąki, jak twórcy indiańscy z plemienia Hopi piasku, usypując pełne zawijasów kształty i postacie wokół okrągłej jamy, wykopanej w ziemi. Odwróciła się i w blasku świec ujrzałem jej twarz. To była

Epiphany Proudfoot.

Pozostali kiwali się z boku na bok, śpiewając i klaszcząc w rytm bębnów. Kilku mężczyzn grzechotało grzechotkami z tykw, a jedna z kobiet zaczęła wybijać isticie diabelskie staccato metalowymi kołatkami.

Patrzyłem na Tootsa Sweeta, wymachującego marakasami jak Xavier Cugat na czele grającego ognistą rumbę zespołu. U jego stóp leżała pusta i oklapnięta płócienna, kraciasta torba.

Epiphany, mimo chłodu, miała bose nogi; tańczyła w rytm pulsującej życiem muzyki i usypywała na ziemi białe, mączne wzory. Kiedy skończyła, odskoczyła, unosząc upiorne białe dłonie nad głową, jak wodzirej wieszczący zgubę. Wkrótce cały tłum zgromadzonych jął pisać w tym samym co ona rytmie.

Cienie majaczyły groteskowo w niestałym, migotliwym blasku świec. Demoniczne, przywodzące na myśl bicie serca, rytmy bębnów zdawały się wywierać hipnotyczny wpływ na tańczących. Mężczyźni i kobiety ocierali się o siebie, jęcząc, ich biodra wyrywały się naprzód w ekstatycznym naśladownictwie gwałtownej kopulacji. Białka oczu błyszcząły w spoconych twarzach jak opale. Postanowiłem przyjrzeć się im uważniej. Zacząłem powoli przesuwac się między drzewami w kierunku tańczących. Ktoś zadał na fujarce. Ostre, przenikliwe tony przecięły noc, słyszalne wyraźnie nawet wśród pełnego dysonansów brzęku żelaznych kołatek i czyneli. Bębny warkotały i grzmiały, rytm stał się gorączkowy, deliryczny, hipnotyzujący. Jakaś kobieta upadła na ziemię i zaczęła wic się po niej jak wąż; język wysuwał się z jej ust z typową dla gadów gwałtownością. Biała sukienka Epiphany przylepiała się do jej spoconego, młodego ciała. Dziewczyna sięgnęła do wiklinowego koszyka, by wyjąć z niego koguta ze związanymi łapami. Ptak dumnie podniósł głowę”, jego grzebień w

blasku świec błyszczał krwawą czerwienią. Epiphany zaczęła w tańcu ocierać się pierściami o białe pióra ptaka. Prześlizgując się wśród zebranych, obdarzała każdego, którego mijała, tą samą pieśczęcią. Pianie koguta uciszyło bębny. Pełnym gracji ruchem Epiphany nachyliła się nad okrągłą jamą i zręcznym cięciem brzytwy poderżnęła kogutowi tętnicę szyjną. Zuchwałe pianie zmieniło się w bulgoczący skrzek. Ptak, umierając, zatrzepotał zaciekle skrzydłami. Tańczący jęczeli przeciągle.

Epiphany włożyła tracącego krew koguta obok jamy, gdzie szarpał się i miotał, kurczowo podrygując związanymi łapami, aż w końcu jego skrzydła rozpostarły się po raz ostatni i powoli złożyły. Tańczący jeden po drugim podchodzili miękkim krokiem do jamy i wrzucali do środka podarki. Były to drobne monety, garście suchej kukurydzy, jakieś ciastka, słodczyce i owoce. Jedna z kobiet wylała na martwego koguta butelkę coca — coli. Następnie Epiphany podniosła zwiotczalego już ptaka i powiesiła go głową na dół na gałęzi pobliskiego drzewa. Od tej chwili zebrani podzielili się na małe grupki. Jedni stali przed powieszonym ptakiem, szepcząc coś zawzięcie, z pochylonymi głowami i złożonymi dłońmi. Inni pozbierali swoje instrumenty i zniknęli w ciemności, pożegnawszy się uprzednio z tymi, którzy pozostali nad krwawą jamą. Podawali sobie nad kręgiem najpierw prawą rękę, a potem lewą, i już ich nie było. Toots, Epiphany i dwoje czy troje innych ruszyło ścieżką w stronę Harlem Meer. Żadne z nich słowem się nie odezwało.

Śledziłem ich, ukryty w ciemnościach, trzymając się z dala od ścieżki i prześlizgując się od drzewa do drzewa. Przy Meer ich drogi rozdzieliły się. Toots skręcił w lewo. Epiphany i inni w prawo. W myślach rzuciłem monetę. Wypadło na Tootsa. Muzyk szedł w stronę wyjścia przy 7 Alei. Nawet jeśli nie wybierał się prosto do domu, istniały spore szanse, że już wkrótce tam dotrze.

Zamierzałem zjawić się u niego pierwszy. Przemknąłem skulony przez zarośla, pokonałem mur z chropowatych, nie ciosanych kamieni i przebiegiem na drugą stronę 110 Ulicy. Dotarwszy do rogu St. Nicholas, odwróciłem się i ujrzałem przy wejściu do parku Epiphany w białej bluzce. Była sama. Stłumiłem w sobie chęć zmiany decyzji i pogałem do auta. Ulice były jeszcze puste, przemknąłem wzdłuż St. Nicholas do północnej dzielnicy, przecinając skrzyżowanie 7 i 8 na sprzyjającym mi zielonym świetle. Kiedy skręciłem w Edgecomb, dojechałem wzdłuż Broadhurst i skraju Parku Kolonialnego do 151 Ulicy.

Zaparkowałem przy rogu Macomb's Place i do dzielnicy czynszowej Harlem River Houses dotarłem na piechotę. Stały tu atrakcyjne trzypiętrowe budynki, przemyślnie wkomponowane w boiska, place i supermarkety. Projekty ery kryzysu, dużo bardziej cywilizowana odmiana budownictwa czynszowego aniżeli nieludzkie monolity, które były w modzie w obecnych czasach.

Odnalazłem wejście do budynku przy 152, gdzie mieszkał Toots, i odszukałem numer jego mieszkania na rzędzie mosiężnych skrzynek pocztowych wpuszczonych w ceglaną ścianę. Frontowe drzwi nie były dla mnie przeszkodą. Otwarcie ich za pomocą jednego z ostrzy mojego scyzoryka zajęło mi niecałą minutę. Toots mieszkał na drugim piętrze. Wszedłem po schodach i obejrzałem zamek. Nie miałem szans sforsować go bez pomocy narzędzi z mojej aktówki, dlatego usiadłem na schodach i czekałem cierpliwie.

Rozdział siedemnasty

Nie musiałem czekać długo. Usłyszałem, jak sapiąc, wlecze się po schodach, i zgasilem niedopałek o podeszwę buta. Nie zauważył mnie i postawiwszy torbę na ziemi, zaczął gmerać w kieszeniach, szukając klucza. Kiedy otworzył drzwi, przeszedłem do akcji.

Sięgał po torbę, kiedy złapałem go z tyłu, chwytając jedną ręką za kołnierz, a drugą wepchnąłem go bezceremonialnie do mieszkania. Potknął się i upadł na kolana, torba poleciała w mrok, grzechocąc, jakby wypełniały ją węże. Zapaliłem światło i zamknąłem za sobą drzwi.

Toots podniósł się, dysząc jak osaczone zwierzę. Prawą ręką sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd brzytwę. Przyjąłem miękką pozycję.

— Nie chcę cię uszkodzić, staruszk.

Wybełkotał coś niezrozumiale i ruszył do przodu, wymachując brzytwą. Złapałem go za ramię lewą ręką i robiąc krok do przodu, zdzieliłem go kolanem; to wystarczyło. Toots zwiotczał i usiadł z cichym mruknięciem. Wykręciłem mu lekko nadgarstek. Upuścił brzytwę na dywan. Kopnąłem ją pod ścianę.

— Głupiś, Toots. — Podniosłem brzytwę, złożyłem i schowałem do kieszeni. Toots siedział, trzymając się oburącz za brzuch, jakby coś mogło z niego wypłynąć, gdyby rozluźnił dłonie.

— Czego chcesz? — jęknął. — Nie jesteś pisarzem.

— Mądrzejesz. W takim razie nie kituj mnie i powiedz, co wiesz o Johnnym Favoricie.

— Boli. Chyba rozwaliłeś mi wszystko w środku.

— Wyzdrowiejesz. Chcesz na czymś usiąść?

Skinął głową. Przyciągnąłem i ustawiłem za nim czerwono — czarną, skórzaną marokańską otomanę, i pomogłem muzykowi pozbierać się z podłogi. Facet wciąż jęczał i trzymał się za brzuch.

— Posłuchaj, Toots — powiedziałem. — Byłem w parku, widziałem twój mały popis. Numerek pod nazwą Epiphany Proudfoot z kurczakiem. Co się dzieje?

— Gusła — wystękał. — Voodoo. Nie każdy czarny jest baptystą.

— A co z małą Proudfoot? Gdzie jest jej miejsce?

— Jest mambo, tak jak jej matka. Przez to dziecko przemawiają potężne duchy. Odkąd skończyła dziesięć lat, bywa na naszych zborach. W wieku trzynastu lat została kapłanką.

— Wtedy, kiedy Evangeline zachorowała?

— Mniej więcej.

Poczęstowałem Tootsa fajką, ale odmówił. Zapaliłem więc sam i spytałem:

— Czy Johnny Favorite był związany z voodoo?

— Przecież kręcił z mambo, no nie?

— Bywał na spotkaniach?

— Jasne. Na wielu. Był hunsi-bosal.

— Co to takiego?

— Człowiek po inicjacji, ale nie ochrzczony.

— A kiedy zostanie ochrzczony, to jak się nazywa?

— Hunsi-kanzo.

— Ty jesteś hunsi-kanzo?

Toots skinął głową.

— Od dawna.

— Kiedy po raz ostatni widziałeś Johnny'ego Favorite'a? Na jednym z tych waszych spotkań?

— Już mówiłem, że nie widziałem go od przed wojny.

— A ta kurza łapka? Ta na klawiaturze, z wstążeczką?

— To znaczy, że za dużo gadam.

— O Johnnym?

— W ogóle.

— Niedobrze, Toots. — Wydmuchnąłem dym prosto w jego twarz. — Próbowalesz kiedy grać na fortepianie, mając rękę w gipsie?

Toots zaczął się podnosić, ale zaraz z jękiem znów opadł na otomanę.

— Nie zrobisz tego!

— Zrobię, co muszę, Toots. Mogę ci złamać palec, ot tak, jak gałązkę.

W jego oczach pojawił się strach. Na potwierdzenie swych słów strzeliłem palcami prawej dłoni.

— Pytaj, o co chcesz — wykrztusił. — Powiem wszystko, całą prawdę.

— Nie widziałeś Johnny'ego Favorite'a od piętnastu lat?

— Nie.

— A Evangeline Proudfoot? Czy wspominała, że się z nim widziała?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ostatni raz mówiła o nim jakieś osiem, może dziesięć lat temu. Pamiętam, bo kręcił się tu wtedy jakiś profesor z college'u, który chciał napisać książkę o Obeah. Evangeline powiedziała mu, że biali nie mogą uczestniczyć w humfo. A ja dociąłem jej — no, chyba że umieją śpiewać.

— Co ona na to?

— Właśnie do tego dochodzę. Nie roześmiała się, ale i nie wkurzyła. Powiedziała: Toots, gdyby Johnny żył, byłby wielkim hunganem, ale to nie znaczy, że mam otwierać drzwi przed każdym uniwersyteckim pisarzyną — białasem, który akurat zechce mnie

nawiedzić. Jak widzisz, w jej mniemaniu Johnny Favorite nie żył.

— Spróbuję ci uwierzyć, Toots. A skąd się wzięła ta gwiazda na twoim zębie?

Toots skrzywił się. W blasku lampy błysnęła wycięta gwiazda.

— To po to, żeby ludziska wiedzieli, że jestem czarny. Chciałbym uniknąć ewentualnych pomyłek.

— A dlaczego jest odwrócona?

— Bo tak ładniej wygląda.

Położyłem na telewizorze jedną z moich wizytówek.

— Zostawiam ci mój telefon. Gdybyś się czegoś dowiedział, daj mi znać.

— Taa. Mam za mało problemów, koniecznie muszę do ciebie przedzwonić.

— Nigdy nic nie wiadomo. Możesz potrzebować pomocy, kiedy znów ktoś przyśle ci kurzą łapkę.

Na zewnątrz świt barwił nocne niebo smugą różu, jak policzki dziewczyny z wodewilu. Po drodze do samochodu wyrzuciłem brzytwę Tootsa do pobliskiego kosza na śmieci.

Rozdział osiemnasty

Wzeszło już słońce, zanim w końcu uciąłem komara, ale mimo koszmarów udało mi się dospać do południa. Sny miałem gorsze niż najbardziej przerażające horrory. Bębny grzmiały, podczas gdy Epiphany Proudfoot podcinała gardło kogutowi. Tańczący bujali się i jęczeli, tym razem jednak krwawienie nie ustało. Szkarłatna fontanna buchała z szyi miotającego się ptaka, zalewając wszystko jak tropikalny deszcz, pochłaniając tancerzy w falach jeziora krwi. Patrzyłem, jak Epiphany zbliża się wolno i uciekłem, porzucając swą kryjówkę, podczas gdy posoka niemalże obmywała mi buty, rozlewając się coraz dalej i dalej.

Zaślepiiony paniką, biegłem przez mroczne, opustoszałe ulice. Piramidy koszy na śmieci, szczury wielkości buldogów gapiące się ze studzienek ściekowych. Powietrze przesycone wonią zgnilizny. Biegłem dalej, zmieniając się w jakiś sposób z ofiary w ścigającego, i goniłem odległą postać, przemierzając nie znane mi alejki. Niezależnie od tego, jak szybko biegłem, nie byłem w stanie dogonić uciekającego. Stale mi się wymykał. Kiedy skończył się chodnik, kontynuowałem pościg po pokrytej jakimiś szczątkami plaży. Piasek usłany był śniętymi rybami. W oddali majaczyła muszla, wielka jak drapacz chmur. Mężczyzna wbiegł do środka. Pognałem za nim. Wnętrze muszli było wysokie i sklepienie łukowato jak opalizujący sufit katedry. Nasze kroki odbijały się gromkim echem wewnątrz wijącej się kreto spirali. Przejście zwęziło się, a kiedy pokonałem ostatni zakręt, ujrzałem mego adwersarza, któremu drogę zagradzało cielsko wielkiego mięczaka. Nie było stąd wyjścia. Złapałem faceta za kołnierz, odwróciłem i

pchnąłem w miękkie cielsko. To był mój sobowtór. Miałem wrażenie, że patrzę w lustro. Uścisnął mnie po bratersku i pocałował w policzek. Usta, oczy, podbródek, to byłem ja. Rozluźniłem się, czując ogarniającą mnie falę serdecznych uczuć. A potem poczułem jego zęby. Braterski pocałunek stał się drapieżny i dziki, na mojej szyi zacisnęły się jak szczęki imadła dłonie dusiciela. Podjąłem walkę i obaj się przewróciliśmy, sięgnąłem palcami jego oczu. Miotaliśmy się po twardym podłożu z muszli. Kiedy wbiłem mu kciuki, rozluźnił uścisk. Podczas całej walki nie odezwał się słowem. Moje dłonie pograżyły się głęboko w jego ciele, znajome rysy rozplływały mi się między palcami jak mokre ciasto. Jego oblicze było bezkształtną pulpą, 68 pozbawioną kości czy chrząstek, a kiedy uniosłem dłonie, ujrzałem na nich tę maź, ociekającą, gęstą, odrażającą. . . Obudziłem się z krzykiem.

Gorący prysznic ukoił moje nerwy. W dwadzieścia minut ogoliłem się, ubrałem i ruszyłem do północnej części miasta. Zostawiłem chevy w garażu, po czym kupiłem gazetę ze stolika przy Times Tower. Na pierwszej stronie „The Poughkeepsie New Yorker” widniało zdjęcie doktora Alberta Fowlera. „Znany doktor nie żyje!”, głosił krzykliwy nagłówek. Przeczytałem cały artykuł przy śniadaniu, w drogerii u Whelera, na rogu Paramount Building.

Samobójstwo było prawdopodobnie przyczyną śmierci, choć przy zmarłym nie znaleziono listu pożegnalnego. Ciało odnalazło w poniedziałek rano dwóch kolegów doktora, którzy zaniepokoiili się, że Fowler nie pojawił się w pracy ani nie odbiera telefonów. Większość szczegółów podanych w gazecie była prawdziwa. Kobieta na zdjęciu, które zmarły przyciskał do piersi, była jego żoną. Nie było wzmianki o morfinie czy o brakującym pierścieniu. Nie podano informacji o zawartości kieszeni doktora, dlatego nie wiedziałem, czy sam zdjął sygnet, czy może zrobił to ktoś inny.

Wypiłem drugą kawę i udałem się do biura, aby przejrzeć pocztę. Jak zwykle były to głównie śmieci i list od faceta z Pensylwanii, który oferował za dziesięć dolarów broszurę na temat analiz popiołu papierosowego. Wrzuciłem cały ten szajs do kosza i rozważyłem alternatywy. Zamierzałem wybrać się do Coney Island, aby spróbować odnaleźć Madame Zorę, ulubioną wróżkę Johnny'ego Favorite'a, ale najpierw postanowiłem zagrać „krótką piłkę” i udać się do Harlemu. Epiphany Proudfoot ostatniego wieczoru wielu rzeczy mi nie powiedziała.

Wyjąłem z biurowego sejfu moją aktówkę i właśnie zapinałem płaszcz, kiedy zadzwonił telefon. To była międzymiastowa, na mój koszt, od Corneliusa Simpsona. Powiedziałem, że przyjmę.

Usłyszałem męski głos: — Służąca przekazała mi wiadomość. Uznała, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

— Pan Spider Simpson?

— O ile mi wiadomo, tak.

— Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat Johnny'ego Favorite'a.

— Jakich pytań?

— Czy widział go pan w przeciągu ostatnich piętnastu lat?

Simpson wybuchnął śmiechem.

— Ostatni raz widziałem Johnny'ego w dzień po ataku na Pearl Harbor.

— Co w tym takiego śmiesznego?

— Nic. W ogóle jeżeli chodzi o Johnny'ego, nie ma w tym nic śmiesznego.

— W takim razie, czemu się pan śmieje?

— Zawsze się śmieję, kiedy pomyślę, ile forsy straciłem przez to, że ode mnie odszedł — mruknął Simpson. — Lepsze to, niż gdybym miał rozpaczać. A w ogóle to o co chodzi?

— Przygotowuję dla pisma „Look” artykuł o zapomnianych wokalistach z lat czterdziestych. Johnny jest na pierwszym miejscu mojej listy.

— Nie na mojej, bracie.

— Świetnie — powiedziałem. — Gdybym rozmawiał tylko z jego fanami, ta historia nie byłaby taka ciekawa.

— Jedyni, którzy go lubili, byli cudzoziemcami.

— Co może mi pan powiedzieć o jego romansie z kolorową kobietą, niejaką Evangeline Proudfoot?

— Nic. Pierwsze słyszę.

— Wie pan, że był zamieszany w voodoo?

— Wbijanie szpilek w woskowe laleczki? To by do niego pasowało. Johnny był dziwny. Zawsze interesował się osobliwościami.

— Na przykład?

— Noo. . . niech pomyślę. . . raz widziałem, jak łapał gołębie na dachu naszego hotelu. Byliśmy w trasie, nie pamiętam, gdzie to było konkretnie, a on łapał gołębie w wielką siatkę jak świrnięty rakarz z Animaniaków. Pomyślałem, że może nie lubi, jak gołębie srają mu na głowę, ale po koncercie wpadłem do jego pokoju i ujrzałem jednego ptaka na stole, rozplatanego, a Johnny wtykał mu ołówek we flaki.

— Po co?

— Też go o to zapytałem. W odpowiedzi burknął jakieś dwuznaczne słowo, którego nie pamiętam, a kiedy poprosiłem, aby wytłumaczył mi to po angielsku, odrzekł, że w ten sposób usiłuje wywróżyć sobie przyszłość. Powiedział, że tak robili kapłani w starożytnym Rzymie.

— Wygląda na to, że był pod sporym wpływem dobrej, starej czarnej magii — mruknąłem.

Spider Simpson roześmiał się. — Święte słowa, bracie. Jeżeli nie oglądał flaków gołębi, robił inne dziwne, rzeczy, wróżył z liści herbaty, z ręki, zajmował się jogą. Nosił wielki sygnet z hebrajskimi inskrypcjami. A o ile wiem, nie był Żydem.

— To kim był?

— Diabli go wiedzą. Może Różokrzyżowcem? Nosił w aktówce czaszkę.

— Ludzką?

— Kiedyś należała do człowieka. Twierdził, że wykopał ją z grobu faceta, który zamordował dziesięć osób. Uważał, że miała dać mu moc.

— Chyba tylko tak sobie żartował — wtrąciłem.

— To możliwe. Przed występem siedział i gapił się na nią całymi godzinami. Jeżeli udawał, to był w tym niezły.

— Znał pan Margaret Krusemark? — spytałem.

— Margaret — jak?

— Narzeczoną Johnny'ego Favorite'a.

— A tak, tę. Spotkałem ją kilka razy. Czemu pan pyta?

— Jaka była?

— Bardzo ładna. Małomówna. Zna pan ten typ, lubi kontakt wzrokowy, unika zbyt wielu słów.

— Słyszałem, że przepowiadała ludziom przyszłość.

— Całkiem możliwe. Mnie nie przepowiadała.

— Dlaczego zerwali?

— Nie mam pojęcia.

— Mógłby pan podać mi nazwiska jakichś starych przyjaciół Johnny'ego? Ludzi, którzy mogliby pomóc mi w napisaniu tego artykułu?

— Bracie, z wyjątkiem czaszki w aktówce Johnny nie miał na tym świecie żadnych przyjaciół.

— A Edward Kelley?

— Nigdy o nim nie słyszałem — mruknął Simpson. — Znałem kiedyś pianistę w K.C. nazwiskiem Kelley, ale to było wiele lat przed poznaniem Johnny'ego.

— Dzięki za te informacje — powiedziałem. — Bardzo mi pan pomógł.

— Nie ma sprawy.

Rozłączyliśmy się równocześnie.

Rozdział dziewiętnasty

Omijałem dziury w asfalcie, jadąc wzdłuż West Side Highway do 125 i skręciłem na wschód, przez Harlem's Rialto, obok hotelu Teresa i teatru Apollo, do Lenox Avenue. W oknie wystawowym sklepiku Proudfoot było ciemno. Frontowe drzwi były przesłonięte opuszczoną zieloną kratą, a na szybie wisiała przyklejona tekturowa kartka z informacją DZISZ ZAMKNIĘTE. Sklepik był zamknięty na głucho.

W sąsiedniej uliczce był barek z telefonem. W książce telefonicznej odnalazłem tylko numer sklepu. Zadzwoiłem, ale nikt nie odebrał. Kartkując książkę, znalazłem numer Edisona Sweeta. Odczekałem cztery sygnały i odłożyłem słuchawkę, uznawszy, że niespodziewana wizyta może się okazać bardziej owocna. Dziesięć minut później zaparkowałem przy 152, naprzeciw jego domu.

Przy drzwiach wejściowych stała, gmerając w torebce w poszukiwaniu kluczy, jakaś gospodyni domowa, objuczona ciężką torbą na zakupy i nie mogąca poradzić sobie z dwójką rozwrzeszczanych bachorów. Zaoferowałem jej pomoc i pottrzymałem torbę, podczas gdy kobieta otworzyła drzwi. Mieszkała na parterze i podziękowała mi zmęczonym uśmiechem, kiedy oddałem jej zakupy. Dzieci czepiały się jej płaszczka, pociągały kapiącymi nosami i gapiły się na mnie wielkimi, brązowymi oczami.

Wszedłem schodami na drugie piętro. Na podeście nie było nikogo, i kiedy nachyliłem się, by sforsować drzwi do mieszkania Tootsa, stwierdziłem, że są nie domknięte. Otworzyłem je stopą. Na sąsiedniej ścianie ujrzałem jasnoczerwoną, rozbryzniętą plamę

jak z testu Rorschacha. Mogła to być farba, ale niestety, nie była.

Zamknąłem za sobą drzwi, opierając się o nie plecami, aż usłyszałem szcęk zapadki.

W pokoju panował bałagan, meble były powywracane, dywan pofałdowany. Ktoś stoczył tu nielichą walkę. W rogu leżała zwalona doniczka, karnisz przypominał kształtem literę V, zasłony wisiały na nim jak pończochy dziwki po tygodniowym pijaństwie. Pośród tego chaosu stał nietknięty telewizor. Był włączony, leciała jakaś mydlana opera, młoda, atrakcyjna pielęgniarka z przejętym obliczem rozmawiała o cudzołóstwie.

Przestępując poprzewracane meble, starałem się niczego nie dotknąć. W kuchni nie było śladów walki. Na blacie stała filiżanka zimnej kawy. Wszystko wyglądało tu całkiem normalnie i przytulnie, dopóki nie zajrzało się do pokoju obok. Krótki ciemny korytarz prowadził do zamkniętych drzwi. Wyjąłem z aktówki lateksowe rękawiczki chirurgiczne i nałożyłem je, a potem przekręciłem klamkę. Jeden rzut oka do wnętrza sypialni sprawił, że zrobiło mi się sucho w gardle. Miałem ochotę na drinka.

Toots Sweet leżał na wznak na wąskim łóżku, dłonie i stopy miał przywiązane do poręczy kawałkami bawełnianego sznura do bielizny. Był martwy. Jego opasy kałdun przesłonięty był zmiętym, przesiąkniętym krwią, flanelowym szlafrokiem. Pościel pod jego czarnym ciałem była sztywna od krwi. Twarz i czoło Tootsa były mocno posiniaczone. Białka wybałuszonych oczu pożółkły, jakby były z kości słoniowej, a w jego rozwartych ustach tkwiło coś, co przypominało niechlujnie odcięte pęto kiełbasy. Śmierć wskutek uduszenia. Nie musiałem czekać na autopsję, by się tego dowiedzieć.

Przyjrzałem się baczniej temu, co wystawało spomiędzy jego napuchniętych warg, i nagle uznałem, że jeden drink tu nie

wystarczy. Toots zadławił się na śmierć własnymi genitaliami. Z podwórka, dwa piętra niżej, doszły mnie radosne głosiki i śmiech dzieci.

Żadna siła na ziemi nie mogła zmusić mnie do uniesienia tego zmiętego szlafroka. Wiedziałem, skąd pochodziła broń, którą zadano mordercze razy, nie musiałem nawet sprawdzać ani szukać. Na ścianie nad łóżkiem ktoś nakreślił krwią ofiary koślawe, jakby dziecięce bohomy — gwiazdy, spirale, długie zygzyki, przedstawiające węże. Trzy pięcioramienne gwiazdy były odwrócone. Spadające gwiazdy stały się ostatnio modne.

Powiedziałem sobie, że już najwyższa pora spakować się i wyjść. Zabawienie tu dłużej niczego by nie zmieniło. Instykt prywatnego detektywa nakazał mi jednak sprawdzić zawartość szuflad, kredensu i szafy. Zabrało mi to dziesięć minut, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby mnie zainteresować.

Pożegnałem się z Edisonem Sweetem i ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, zamykając drzwi sypialni, były już nic nie widzące, wybałuszone oczy muzyka. Język stawał mi kołkiem na samą myśl o tym, co tkwiło w ustach Tootsa Sweeta. Przed wyjściem chciałem jeszcze przeszukać duży pokój, ale było w nim zbyt wiele rozsypanej ziemi i obawiałem się, że mógłbym zostawić na niej odcisk buta. Na telewizorze nie było już mojej wizytówki. Nie znalazłem jej wśród jego rzeczy, a świeża papierowa torba w kuchni oznaczała, że wcześniej wyrzucano śmieci. Miałem nadzieję, że był wśród nich i mój adres.

Przy drzwiach wejściowych, przed opuszczeniem tego miejsca, wyjrzałem najpierw przez judasz. Zostawiłem drzwi uchylone, tak jak je zastałem, zdjąłem gumowe rękawiczki i włożyłem do aktówki. Na podeście przystanąłem i nasłuchiwałem przez chwilę, ale na dole panowała cisza. Nikt nie wchodził po schodach. Gospodyni z

dołu mogła mnie zapamiętać, ale nic nie mogłem już na to poradzić.

Nie zauważony zszedłem na dół, a kiedy wreszcie wyszedłem z budynku, ujrzałem tylko gromadkę dzieci grających w klasy na podwórku. Nawet na mnie nie spojrzały, gdy je mijałem.

Rozdział dwudziesty

Trzy głębsze ukoiliły moje nerwy i nastroiły filozoficznie. Była to cicha knajpka o nazwie U Freddiego, Eddiego, Teddiego, jakoś tak, siedziałem tyłem do telewizora i rozmyślałem. Miałem już na głowie dwa trupy. Obaj znali Johnny'ego Favorite'a i nosili symbole pięcioramiennej gwiazdy. Zastanawiałem się, czy przedni ząb Tootsa zniknął podobnie jak sygnet lekarza, ale nie miałem ochoty wrócić tam, by to sprawdzić. Gwiazdy mogły być czymś przypadkowym, to dość popularny wzór. Może także przypadkiem było to, że doktorek ćpun i pianista bluesowy znali Johnny'ego. Może. Ale w głębi duszy miałem przecucie, że to jakaś grubsza sprawa. Naprawdę wielka. Zgarnąłem drobniaki z wilgotnego kontuaru i znów wziąłem się do roboty.

Przejażdżka na Coney Island przyniosła mi przyjemne ukojenie. Do godziny szczytu zostało jeszcze jakieś dziewięćdziesiąt minut i jazda przez FDR Drive i Battery Tunnel nie trwała długo. Przy Shore Parkway opuściłem szybę i napełniłem płuca chłodnym morskim powietrzem od Narrows. Zanim dotarłem do Cropsey Avenue, nie czułem już w nozdrzach woni krwi.

Dotarłem wzdłuż 17 Zachodniej do Surf Avenue i zaparkowałem przy ogrodzonej platformie samochodzików elektrycznych. Coney Island poza sezonem wydawało się wymarłym miastem. Szkieletowe rusztowania kolejki górskiej wznosiły się nade mną jak metalowo — drewniane pajęczyny, brakowało jednak głośnych okrzyków, a wiatr pojękujący wśród przypór swym zawodzeniem przypominał gwizd lokomotywy.

Po Surf Avenue kręciło się kilka podejrzanych indywiduów,

szukających sobie jakiegoś zajęcia. Po pustych ulicach wiatr gnał płachty gazet jak krzewy burzanu. Wysoko w górze kołowała para mew, wypatrująca porzuconych resztek. Stoiska, gdzie sprzedawano watę cukrową, stanowiska wróżek, salony gier i tunele strachu były zamknięte na głucho. Wyglądały jak kłowni bez makijażu.

Nathan's Famous było jak zawsze otwarte. Zajrzałem tam na hot doga i piwo. Sprzedawca wyglądał, jakby prowadził swój bufet od dnia, kiedy otwarto tu pierwszy lunapark, i spytałem go, czy słyszał kiedyś o wróżce zwanej Madame Zora.

— Madame jak?

— Zora. Była bardzo popularna w latach czterdziestych.

— To masz pecha, stary — powiedział. — Pracuję tu niecały rok. Spytaj mnie o prom na Statem Island. Od piętnastu lat prowadziłem bufet na Gold Star Mother. No dalej, rzuć jakieś pytanie.

— Czemu to rzuciłeś?

— Nie umiem pływać.

— I co z tego?

— Boję się, że utonę. Nie chciałem kusić losu. — Uśmiechnął się, brakowało mu czterech zębów. Przełknąłem resztę hot doga i popiłem piwem. Bowey, pomiędzy Surf Avenue a Boardwalk, było bardziej alejką w cyrku niż ulicą. Szedłem nią, mijając mroczne stragany i stoiska, zastanawiając się, co począć dalej. Społeczeństwo Cyganów było bardziej zamknięte niż Ku — Klux — Klan w Georgii, dlatego wiedziałem, że z tej strony nie mogę liczyć na żadną pomoc. Pora pokręcić się tu i tam. W końcu może natrafię na kogoś, kto przypomni sobie Madame Zorę i zechce o niej pogadać. Postanowiłem zacząć od Danny'ego Dreemana. Prowadził on muzeum figur woskowych na rogu 13 i Bowey. Spotkałem go w

1952, kiedy dopiero co wyszedł z Dannemora po czteroletniej odsiadce. Federalni usiłowali wsadzić go za machlojki papierami wartościowymi, ale w rzeczywistości był on jedynie kozłem ofiarnym dla pary oszustów z Wall Street, nazwiskiem Peavey i Munro. Pracowałem dla trzeciej strony, ofiary ich machlojek, i przyłożyłem rękę do rozwikłania tej sprawy. Danny wciąż miał wobec mnie dług, dlatego od czasu do czasu puszczał farbę, kiedy zwracałem się do niego o pomoc w tej czy innej sprawie.

Gabinet Figur Woskowych mieścił się w wąskim parterowym budynku wciśniętym pomiędzy pizzerię a salon gier. Wysokie na stopę, karmazynowe litery układały się w napis:

ZOBACZCIE:
SAŁĘ AMERYKAŃSKICH PREZYDENTÓW
50 SŁAWNYCH MORDERCÓW
ZABÓJSTWO LINCOLNA I GARFIELDA
DILLINGERA W KOSTNICY
PROCES „FATTY” ARBUCKLE’A
UCZY! BAWI! SZOKUJE!

W kasie siedziała harpia z barwionymi henną włosami, w wieku wdowy po prezydencie Grancie, układając pasjansa, jak automat z sąsiedniego salonu gier.

— Zastałem Danny’ego Dreemana? — spytałem.

— Jest z tyłu — mruknęła, wyłuskując z dołu talii waleta trefl.

— Pracuje przy galerii.

— Mogę wejść? Chcę z nim pogadać.

— Mimo to będzie to pana kosztowało — skinęła pomarszczoną głową w stronę kartonika z napisem: WSTĘP 25 CENTÓW.

Wyjąłem z kieszeni ćwierćdolarówkę, wsunąłem przez okratowane okienko i wszedłem. Gabinet cuchnął jak kanał ściekowy. Na zapadającym się kartonowym suficie pstrzyły się wielkie zacieki koloru rdzy. Wypaczona drewniana podłoga skrzypiała i jęczała pod moimi stopami. Wzdłuż ścian, w przeszklonych gablotach stały na baczność woskowe manekiny, cała armia Indian ze sklepów z artykułami tytoniowymi.

Pierwsza była sala amerykańskich prezydentów: galeria identycznych postaci w strojach z wodewilowej wypożyczalni kostiumów. Następna była sala morderców. Przeszedłem żwawo przez pomieszczenie obrazujące zbrodnię, chaos i morderstwa. HallMills, Snyder — Gray, Bruno Hauptmann, Winnic Ruth Judd, zabójcy — Samotne Serca — byli tu wszyscy, uzbrojeni w woreczki z piaskiem, piły do mięsa, wpychający rozczłonkowane zwłoki do skrzyń i kufrów, tonący w powodzi czerwonej farby. Na samym końcu odnalazłem Danny'ego Dreemana, klęczącego w jednej z gablot. Był to mały człowieczek w znoszonej, wyblakłej bluzie roboczej i szarych, wełnianych spodniach. Zadarty nos i rzadki jasny wąsik nadawały mu wyglądu przerażonego chomika. Wrażenia dopełniało gwałtowne mruganie powiek, kiedy mówił. Postukałem w szybę, a on uniósł wzrok; spojrzał na mnie i uśmiechnął się, trzymając w ustach kilka gwoździków do wykładzin. Wymamrotał coś niezrozumiale, odłożył młotek i wypełził tyłem na zewnątrz. Pracował nad odwzorowaniem dokonanego w zakładzie fryzjerskim zabójstwa Alberta Anastazji, Niesławnego Kata Murder Inc. Dwaj zamaskowani mordercy mierzyli z rewolwerów do siedzącej na fotelu postaci z zakrytą głową, podczas gdy fryzjer stał z tyłu, czekając na kolejnego klienta.

— Się ma, Harry — zawołał radośnie Danny Dreeman,

zachodząc mnie niespodziewanie od tyłu. — I co myślisz o moim najnowszym majstersztyku?

— Wygląda, jakby wszyscy cierpieli na stężenie pośmiertne — odparłem. — Umberto Anastazja, zgadza się?

— Wygrałeś darmowe cygaro. Musi być całkiem niezłe, skoro od razu odgadłeś.

— Byłem wczoraj przy Park Sheraton, więc to morderstwo od razu przyszło mi na myśl.

— To będzie największa atrakcja nadchodzącego sezonu.

— Spóźniłeś się o rok. Trup ostygł, nagłówki również.

Danny zamrugał nerwowo. — Fotele fryzjerskie są drogie. W ubiegłym sezonie nie stać mnie było na taki zakup. Ale sam powiedz, że ten hotelik to istna żyła złota dla mojego biznesu. Wiedziałeś, że w dwudziestym ósmym rąbnęli tam Arnolda Rothsteina? Wtedy nazywał się jeszcze Park Central. Chodź, odwróć go. Sam zobaczysz.

— Kiedy indziej, Danny. Widziałem dość rzeczywistych zbrodni, wystarczy mi tych atrakcji na dłuższy czas.

— Tak też myślałem. Można się tego spodziewać. Co więc sprowadza cię w te strony, o czym bym dotąd nie wiedział?

— Ty mi powiedz, wiesz przecież wszystko.

Oczy Danny'ego wyglądały jak szalone semafony.

— Nic nie wiem — wykrztusił. — Ale domyślam się, że jeśli zjawia się u mnie Harry, chodzi mu o jakąś informację.

— Słusznie się domyślasz — odparłem. — Co możesz mi powiedzieć o wróżce imieniem Madame Zora? Pracowała tu w latach czterdziestych.

— Oj, Harry, obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc. W tamtych czasach prowadziłem agencję handlu nieruchomościami na Florydzie. To były piękne dni w życiu Danny'ego Dreemana.

Wytrząsnąłem papierosa z paczki i poczęstowałem Danny'ego, który jednak odmówił ruchem głowy.

— Nie mówię, że miałbyś podać mi ją na talerzu, Danny — powiedziałem, zapalając papierosa. — Ale jesteś tu już jakiś czas. Pokaż mi starych wiarusów. Tych, którzy mogą coś wiedzieć. Którzy są tu od lat.

Danny podrapał się po głowie, dając do zrozumienia, że myśli.

— Zrobię, co w mojej mocy. Problem w tym, Harry, że prawie wszyscy, którzy mogliby ci pomóc, są na Bermudach albo Bóg wie gdzie. Gdyby nie to, że tkwię po uszy w rachunkach, też smażyłbym się teraz na plaży. Ale ja się nie skarżę, po pace Brighton Beach jest równie dobra jak Bermudy.

— Ktoś przecież musi tu być. Nie tylko ty otworzyłeś swój kramik.

— Owszem, chyba masz rację. Chyba jest ktoś, do kogo mogę cię odesłać. Przy 10, blisko Boardwalk, jest Gabinet Osobliwości. Zazwyczaj o tej porze roku pracowali w cyrku, ale to już są starzy ludzie. Oni nie mają wakacji. Nie lubią pokazywać się publicznie, z obawy przed wyśmianiem.

— Jak nazywa się ten Gabinet?

— Cuda i Dziwy Waltera. Ale prowadzi je gość imieniem Haggarty. Na pewno go znajdziesz. Jest wytatuowany jak mapa samochodowa.

— Dzięki, Danny. Jesteś nieocenionym źródłem informacji.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Gabinet Cuda i Dziwy Waltera znajdował się przy 10, przy wyjściu na Boardwalk. Bardziej niż cokolwiek innego wokół przypominał dawne wesołe miasteczka. Fronton niskiego budyneczku udekorowany był flagami, pod którymi wisiały prymitywne wizerunki znajdujących się wewnątrz atrakcji. Jak proste rysunki, i te płócienne malowidła niewinnie odzwierciedlały deformacje ludzkich ciał, zadając kłam ich nieodłącznemu okrucieństwu.

ALEŻ ONA JEST GRUBA! Brzmiał podpis pod wizerunkiem kobiety wielkiej jak góra, trzymającej nad głową o rozmiarach dyni maleńką parasolkę. Wytatuowany mężczyzna — PIĘKNO JEST TYLKO PODSKÓRNE w towarzystwie portretów Jo-Jo psiogłowego chłopca i Kobiety z Brodą — Księżniczki Sophii. Inne toporne rysunki przedstawiały hermafrodytę, młodą dziewczynę oplecioną przez węże, człowieka-fokę i olbrzyma we fraku.

OTWARTE WYŁĄCZNIE W SOBOTY I NIEDZIELE — głosił napis na kartce w pustej kasie. W poprzek otwartego wejścia wisiał łańcuch jak aksamitna lina w drzwiach night clubu, ale prześlizgnąłem się pod nim i wszedłem.

Światło wpływało do środka przez brudny świetlik, zdołałem jednak dostrzec rząd nakrytych flagami platform po obu stronach opuszczonego pomieszczenia. W powietrzu unosiła się woń smutku i potu. Na drugim końcu znajdowały się drzwi, spod których wydobywała się wąska smużka światła. Podeszedłem i zapukałem.

— Otwarte! — zawołał ktoś.

Przekręciłem klamkę i zajrzałem do wielkiego, pustego

pomieszczenia, na którego przytulny wystrój złożyły się zapadnięte kanapy z wyprzedaży i wesołe cyrkowe plakaty rozwieszane na zagrzybionych ścianach. Grubaska zajmowała kanapę, jakby to był fotel. Drobna kobieta z czarną, kręconą brodą opadającą aż na jej różowy stanik z przejęciem głowiła się nad złożoną do połowy układanką. Pod zakurzonym, zaopatrzonym we frędzle abażurem sufitowej lampy, czterej osobliwie zdeformowani osobnicy różni w dobieranego pokera. Facet bez rąk i nóg spoczywał jak Humpty-Dumpty na wielkiej poduszce, trzymając karty w dłoniach wyrastających wprost z jego ramion jak płetwy. Obok niego siedział olbrzym — w jego łapskach karty wydawały się maleńkie jak znaczki pocztowe. Skóra rozdającego była stwardniała i popękana jak u aligatora.

— Wchodzisz czy wychodzisz? — spytał gracz po lewej, pomarszczony karzeł w podkoszulku. Szyję, ramiona i barki miał wytatuowane tak, że wzory te wyglądały jak egzotyczny, obcisły strój. W przeciwieństwie do wizerunku na płóciennym plakacie reklamowym, tatuaże na jego ciele wydawały się wyblakłe i nieefektywne, rozczarowujące.

Karzeł zerknął na moją aktówkę.

— Niezależnie od tego, co sprzedajesz, niczego nie kupujemy — warknął.

— Nie jestem akwizytorem — odparłem. — Nie handluję polisami ubezpieczeniowymi ani piorunochronami.

— W takim razie na co liczysz, na darmową wejściówkę?

— Pan musi być Haggarty. Pewien mój przyjaciel sądził, że może mi pan pomóc i udzielić pewnej informacji.

— A cóż to znowu za przyjaciel? — dopytywał się wielobarwny pan Haggarty.

— Danny Dreeman. Prowadzi muzeum figur woskowych za

rogiem.

— Taa, znam go, były więzień po odsiadce. Zaliczył dwójkę. — Haggarty chrząknął i splunął flegmą do kosza na śmieci stojącego u jego stóp. Potem uśmiechnął się, jakby przepraszająco.

— Każdy kumpel Danny'ego jest moim kumplem. Powiedz, co chcesz wiedzieć. Spróbuję ci pomóc.

— Mogę usiąść?

— Proszę bardzo. — Haggarty stopą przesunął od stołu w moją stronę składane krzeselko.

— Zaparkuj, stary.

Usiadłem między Haggartym a olbrzymem, górującym nad nami jak Guliwer wśród Liliputów.

— Szukam Cyganki, wróżki zwanej Madame Zora — wyjaśniłem, stawiając aktówkę pomiędzy stopami. — Przed wojną była bardzo popularna.

— Nie kojarzę jej — rzekł Haggarty. — A wy?

— Pamiętam Moon — wychrypiał mężczyzna z płetwami zamiast rąk.

— Była Chinką — warknął olbrzym. — Wyszła za mąż za licytatora i przeprowadziła się do Toledo.

— Po co jej szukasz? — dopytywał się ten o skórze aligatora.

— Znała faceta, którego staram się odnaleźć. Miałem nadzieję, że mi pomoże.

— Jesteś prywaciarz?

Skinąłem głową. Zaprzeczenie pogorszyłoby całą sprawę.

— Tani łaps, co? — Haggarty znów splunął do kosza. — Nie żebym miał coś przeciw temu. Musimy z czegoś żyć.

— Ja tam nie miałbym zdrowia robić za prywaciarza — burknął olbrzym.

— Zjadanie detektywów przyprawia cię o niestrawność? —

odciąłem się.

Olbrzym burknął coś pod nosem. Haggarty wybuchnął śmiechem i walnął w stół pięścią, ozdobioną czerwono — niebieskim wzorkiem, przewracając ustawione na nim stosiki żetonów.

— Znałam Zorę — odezwała się grubaska, głosem delikatnym jak chińska porcelana. W jej melodyjnym akcencie kwitły magnolie i kapryfolium. — Taka z niej Cyganka, jak z ciebie Cygan — dodała.

— Jesteś pewna?

— Jasne. Al Jolson miał czarną twarz, ale to nie czyniło zeń czarnucha.

— Gdzie mógłbym ją znaleźć?

— Nie mam pojęcia. Straciłam z nią kontakt, odkąd zwinęła kramik.

— Kiedy to było?

— Wiosną czterdziestego drugiego. Pewnego dnia po prostu już jej nie było.

Zniknęła, nie mówiąc nikomu ani słowa.

— Co mogłabyś mi o niej powiedzieć?

— Niewiele. Gawędziłyśmy kilka razy, ale o niczym szczególnym. Głównie o pogodzie i o rozmaitych pierdołach.

— Wspominała o wokaliście nazwiskiem Johnny Favorite?

Grubaska uśmiechnęła się. Gdzieś pod tymi warstwami łoju kryła się mała dziewczynka w nowej, wyjściowej sukience.

— Czy to nie ten ze złotymi migdałkami? — Rozpromieniła się i zanuciła starą piosenkę. — Uwielbiałam go. Raz w jednym szmatławcu wyczytałam, że konsultował się z Zora, ale gdy ją o to zapytałam, zaprzeczyła. To chyba tak jak ze spowiedzią u księdza.

— Czy mogłabyś powiedzieć mi coś więcej?

— Przykro mi. Nie byliśmy sobie aż tak bliskie. A wiesz, kto

mógłby ci pomóc?

— Kto?

— Stary Paul Boltz. Kręcił z nią w tamtych czasach. I wciąż możesz go tu znaleźć.

— Tylko gdzie?

— Przy Steeplechase. Pracuje jako strażnik. Grubaska zaczęła wachlować się czasopismem zawierającym plotki ze świata kina.

— Haggarty, nie mógłbyś czegoś zrobić? Przecież tu jest jak w łaźni parowej. Roztopię się!

Haggarty wybuchnął śmiechem.

— Gdyby tak się stało, byłaby z ciebie największa kałuża świata.

Rozdział dwudziesty drugi

Na Broadwalk i Brighton Beach nie było żywego ducha. Gdzie latem tłumy plażowiczów smażyły się jak stada spasionych morsów, kilkoro zdeterminowanych bezdomnych grzebało w piachu w poszukiwaniu porzuconych butelek zwrotnych. Atlantyk w tle miał barwę kutego żelaza, ołowiane fale rozbijały się o falochron. Wieża spadochronowa, pozostałość z Targów Światowych rocznik trzydziesty dziewiąty górowała nad przeszklonym, okrągłym pawilonem wielkości magazynu, wyglądającym jak odarty z płótna dwustumetrowy parasol. Nad uśmiechniętą, pomalowaną twarzą założyciela George'a C. Tilyou widniał napis: GABINET ŚMIECHU. O tej porze roku Steeplechase była zabawna jak dowcip bez puenty; spojrzałem na rozbawionego pana Tilyou i zacząłem się zastanawiać, co go tak cieszyło?

Odnalazłem w siatce dziurę wielkości człowieka i zastukałem w mleczną szybę obok zamkniętych na głucho drzwi wejściowych. Hałas odbił się potężnym echem w całym wesołym miasteczku, jakby rozszalały się tu na całego ze dwa tuziny poltergeistów. A gdyby szajka złodziei zechciała obrobić wieżę spadochronową? Ruszyłem dokoła ogromnej budowli, uderzając w szkło odpowiednio płasko ułożoną ręką. Skręciwszy za róg, zetknąłem się oko w oko z lufą rewolweru. Był to policyjny kolt 38-ka, ale z mojej perspektywy wyglądał jak Gruba Berta. Dzierżył go w pewnej dłoni staruszek ubrany na brązowo. Para zmrużonych świńskich oczek lustrowała mnie bacznie znad kartoflowatego nosa.

— Stój! — powiedział. Jego głos zdawał się płynąć spod wody. Znieruchomiałem.

— Pan musi być Boltz — rzekłem. — Paul Boltz?

— Nieważne, kim jestem. A kim ty jesteś, u diabła?

— Nazywam się Angel. Jestem prywatnym detektywem. Chciałbym porozmawiać z panem w związku ze sprawą, nad którą pracuję.

— Pokaż mi coś, co potwierdzi tę twoją gładką gadkę.

Kiedy sięgnąłem po portfel, Boltz dobitnie dźgnął mnie lufą rewolweru w klamerkę paska. — Lewą ręką — warknął.

Przełożyłem aktówkę do prawej ręki, a lewą wyłuskałem portfel.

— Upuść go i cofnij się o dwa kroki.

— Tylko się nie rozpędź i nie świśnij dwóch paczek.

— Że co?. . . — Boltz pochylił się i podniósł portfel. Jego rewolwer wciąż mierzył w mój pępek.

— Nic. Tak tylko głośno myślałem. Otwórz klapkę, a zobaczysz mój fotostat.

— Ta blacha nic dla mnie nie znaczy — burknął. — Mam w domu identyczną.

— Nie twierdzą, że moja blacha ma ci wystarczyć, spójrz tylko na legitymację.

Świńskooki strażnik bez słowa komentarza przejrzał laminowane przegródki wizytówkowe mojego portfela. Pomyślałem sobie, że mógłbym się na niego rzucić, ale odpuściłem to sobie.

— No dobra, jesteś prywatny kutas — stwierdził. — Czego ode mnie chcesz?

— Ty jesteś Paul Boltz?

— A jeżeli nawet, to co? — Rzucił mi portfel pod nogi.

Podniosłem go lewą ręką. — Posłuchaj, miałem ciężki dzień.

Odlóż to kopyto. Potrzebuję twojej pomocy. Nie rozumiesz, że czasami ktoś może prosić kogoś o przysługę?

Patrzył przez chwilę na rewolwer, jakby się zastanawiał, czy nie zjeść go na kolację. Wreszcie wzruszył ramionami i włożył broń na powrót do kabury, znacząco nie zapinając klapki.

— Jestem Boltz — potaknął. — Gadaj, co masz gadać.

— Musimy tak sterczeć na tym wietrze? Nie znasz jakiegoś przytulniejszego miejsca?

Boltz skinął zniekształconą głową, dając do zrozumienia, że poprowadzi. Trzymałem się pół kroku za nim. Pokonawszy niewielką kondygnację schodów, dotarliśmy do drzwi z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. — Do środka — powiedział. — Otwarte.

W pustym budynku nasze kroki brzmiały jak huk dział. Miejsce to było dostatecznie duże, by mogło pomieścić ze dwa hangary samolotowe, a i tak zostałyby jeszcze miejsca na jakieś pół tuzina boisk do koszykówki. Większość tutejszych atrakcji pochodziła z wcześniejszej, nie zmechanizowanej epoki. Wielka, wygięta drewniana zjeżdżalnia błyszczała w oddali jak mahoniowy wodospad. Druga o nazwie Wir opadała z sufitu w dół zapierającą dech w piersiach spiralą, by połączyć się z ludzkim bilardem, serią wypolerowanych obrotowych dysków wpuszczonych w drewniany parkiet. Nietrudno było wyobrazić sobie wytworne damy w mufkach i sztywnych dżentelmenów uchylających przed nimi kapeluszy, kiedy muzyka grała *Take Me Out to the Ball Game*.

Przystanęliśmy przed rzędem krzywych zwierciadeł; zniekształcone odbicia zmieniły nas obu w dziwołagi.

— Dobra, prywaciarzu — rzekł Boltz. — Wal.

— Szukam cygańskiej wróżki, zwanej Madame Zora — powiedziałem. — O ile wiem, pracowałeś dla niej, w latach czterdziestych.

Zestalony flegmą rechot Boltza uniósł się aż po obwieszone żarówkami legary, przypominając szczekanie szkolonej cyrkowej

foki.

— Stary — wychrypiał. — Grając w ten sposób, nie dotrzesz nawet do pierwszej bazy.

— Czemu nie?

— Czemu nie? Powiem ci. Po pierwsze, ona nie była żadną Cyganką.

— Słyszałem o tym, ale nie byłem pewien, czy to wiarygodna informacja.

— Mnie możesz wierzyć. Znam ją na wylot.

— Domyślam się.

— Dobra, wężący kutasie. Powiem prosto z mostu. Ona nie była żadną Cyganką i nie nazywała się Zora. Tak się składa, że wiem, iż była debiutantką z Park Avenue.

W porównaniu z tą bombą kopnięcie muła uznałbym chyba za pocałunek anioła. Odzyskanie kontroli nad językiem zajęło mi trochę czasu.

— Znałeś jej prawdziwe nazwisko?

— Masz mnie za idiotę? Wiedziałem o niej wszystko. Nazywała się Maggie Krusemark. Jej ojciec miał więcej statków niż Marynarka Brytyjska.

Moje wydłużone odbicie rozciągało się jak Plastic Mań na pofalowanej powierzchni krzywego zwierciadła.

— Kiedy ją ostatnio widziałeś? — spytałem, z trudem poruszając gumowatymi wargami.

— Wiosną czterdziestego drugiego. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Można powiedzieć, że zostawiła mnie ze szklaną kulą w dłoni.

— Widywałeś ją kiedykolwiek z wokalistą nazwiskiem Johnny Favorite?

— Pewno. Wiele razy. Kręciła z nim.

— A mówiła o nim coś, co przypadkiem zapamiętałeś?

— Moc.

— Że co?

— Powiedziała, że miał w sobie moc.

— I to wszystko?

— Posłuchaj, nigdy nie zwracałem na to większej uwagi. Puszczając to mimo uszu, jak zwykłą zawodową gadkę. Nigdy nie traktowałem tego poważnie.

Boltz chrząknął i przełknął ślinę. — W jej przypadku było inaczej. Naprawdę wierzyła w ten cały szajs.

— A Favorite?

— On też wierzył. Było to widać w jego oczach.

— Widziałeś go jeszcze później?

— Nigdy. O ile wiem, mógł wsiąść na miotłę i polecieć choćby na księżyc. Ona również.

— Wspominała kiedykolwiek o czarnym paniu nazwiskiem Toots Sweet?

— Nie.

— Mógłbyś przypomnieć sobie coś jeszcze?

Boltz splunął na podłogę. — A niby po kiego? Oboje nie żyją i wachają już kwiatki od spodu.

Na tym nasza rozmowa się skończyła, bo i nie było o czym więcej gadać. Boltz wyprowadził mnie na zewnątrz i otworzył bramę. Po chwili wahania podałem mu jedną z moich wizytówek, z prośbą, by zadzwonił, jeśli przypomni sobie coś istotnego. Nie powiedział, że to zrobi, ale i nie podał wizytówki.

Z pierwszej napotkanej budki spróbowałem zadzwonić do Millicent Krusemark, ale nikt nie odebrał. No i dobrze. To był długi dzień i nawet detektywi muszą czasem chwilkę odsapnąć. W drodze powrotnej na Manhattan zatrzymałem się w Heights i

przekąsiłem rybkę u Gage'a i Tollnera. Po łososiu z rusztu i butelce schłodzonego chablis życie przestało mi się wydawać rejsem statkiem wycieczkowym z przeszklonym dnem po najmroczniejszych kanałach ściekowych miasta.

Rozdział dwudziesty trzeci

Toots Sweet załapał się na trzecią stronę „Daily News”. W artykule zatytułowanym RYTUALNY MORD VOODOO nie wspomniano o narzędziu zbrodni. Wydrukowano jedno zdjęcie krwawych napisów na ścianie nad łóżkiem i drugie — Tootsa grającego na fortepianie. Ciało odkrył gitarzysta z zespołu, który wpadł po szefa, aby go zawieźć do klubu. Zwolniono go po krótkim przesłuchaniu. Podejrzanych nie było, choć powszechnie w Harlemie wiedziano, iż Toots był długoletnim członkiem tajnej sekty wyznawców voodoo.

Jadąc metrem do północnej dzielnicy, po uprzednim pozostawieniu chevroleta na parkingu, rzut kamieniem od Chelsea, przeczytałem poranną gazetę. Najpierw zajrzałem do Biblioteki Publicznej, gdzie po uzyskaniu kilku błędnych informacji zadałem wreszcie właściwe pytanie i otrzymałem uaktualnioną książkę teleadresową Paryża. W spisie odnalazłem jedną M. Krusemark na Rue Notre Dames des Champs. Zapiisałem adres i telefon w notesie..

W drodze do biura przysiadłem na ławce w parku Bryanta, aby wypalić jeden po drugim trzy papierosy i przemyśleć wydarzenia z ostatnich paru dni. Czułem się tak, jakbym ścigał cień. Johnny Favorite był związany z dziwnym podziemnym światkiem voodoo i czarnej magii. Prowadził poza sceną sekretne życie, obfitujące w atrakcje w rodzaju czaszek noszonych w aktówce i narzeczonych trudniących się zawodowo wróżeniem. Był inicjatem, hunsi-bosalem. Toots Sweet został sprzątnięty, bo nie umiał trzymać języka za zębami. Doktor Fowler też brał w tym udział. Johnny

Favorite rzucał cień, długi cień.

Dochodziło południe, gdy otworzyłem drzwi wewnętrznego gabinetu w moim biurze. Przejrzałem pocztę, w której znalazłem czek na pięćset dolarów z firmy McIntosh, Winesap i Spy. Resztę stanowiły śmieci, którymi wypełniłem kosz, po czym sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych wiadomości, choć rano trzy razy dzwoniła jakaś kobieta, która nie podała swego nazwiska ani numeru telefonu.

Następnie zatelefonowałem do Margaret Krusemark w Paryżu, ale po dwudziestu minutach prób nie zdołano mnie z nią połączyć. Zadzwoiłem na Wall Street, do Hermana Winesapa i podziękowałem mu za czek. Spytał, jak mi idzie ze sprawą. Powiedziałem, że świetnie i że chciałbym się spotkać z panem Cyphrem. Winesap stwierdził, że ma się z nim zobaczyć w sprawie służbowej po południu i przekaże mu moją prośbę. Podziękowałem, pożegnaliśmy się i równocześnie odwiesiliśmy słuchawki.

Właśnie mozolnie wkładałem płaszcz, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę przy trzecim sygnale. To była Epiphany Proudfoot. Wydawało mi się, że była zdyszana.

— Muszę natychmiast się z tobą zobaczyć — powiedziała.

— O co chodzi?

— Nie hecę o tym mówić przez telefon.

— Gdzie teraz jesteś?

— W sklepie.

— Nie spiesz się — powiedziałem. — Wyjdę teraz coś przekąsić i spotkamy się w moim biurze o pierwszej piętnaście. Trafisz?

— Mam twoją wizytówkę.

— Świetnie. To do zobaczenia za godzinę.

Odwiesiła słuchawkę bez pożegnania.

Przed wyjściem zamknąłem czek Winesapa w biurowym sejfie.

Kłęczałem przy nim, kiedy usłyszałem pneumatyczny syk ogranicznika przy drzwiach w zewnętrznym pomieszczeniu mego biura. Klienci jednak zwykle pukają do drzwi gabinetu wewnętrznego. Kiedy ktoś pakuje się do środka bez słowa, to jest to albo glina, albo kłopoty. Czasami jedno łączy się z drugim.

Tym razem był to glina po cywilnemu, w zmiętym, szarym płaszczu, narzuconym na brązowy moherowy garnitur, którego nogawki były na tyle krótkie, że można było dostrzec wystające ze służbowych czarnych butów białe, sportowe skarpety.

— Ty jesteś Angel? — warknął.

— Zgadza się.

— Jestem detektyw porucznik Sterne. A to mój partner, sierżant Deimos.

Skinął w stronę otwartych harmonijkowych drzwi, gdzie stał, łypiąc niemile, facet o klatce piersiowej wielkości baryłki piwa, ubrany jak robotnik portowy. Deimos nosił wełnianą czapkę i czarno — białą, kraciastą, pikowaną kurtkę. Był gładko ogolony, ale miał tak ciemny zarost, że wyglądał, jakby pod skórą znajdowały się drobinki prochu.

— Co mogę dla was zrobić, panowie? — spytałem.

— Odpowiedzieć na kilka pytań. — Sterne był wysoki, silnoszczęki, z nosem jak dziób lodołamacza. Jego oblicze wysuwało się agresywnie do przodu ponad przygarbionymi ramionami. Kiedy mówił, jego usta prawie się nie poruszały.

— Z przyjemnością. Chciałem właśnie wyjść, aby coś przekąsić. Przyłączycie się do mnie?

— Może lepiej porozmawiamy tutaj — rzekł Sterne. Jego partner zasunął drzwi.

— Może być. — Obszedłem biurko i wyjąłem mocno naruszoną

butelkę kanadyjskiej whisky i świąteczne cygara.

— To wszystko, czym mogę was poczęstować. Papierowe kubki są przy chłodziarce.

— Nie pijemy na służbie — rzekł Sterne, częstując się garścią cygar.

— Ale ja nie muszę tego przestrzegać. Mam teraz przerwę na lunch. — Zniosłem butelkę do chłodziarki, napełniłem kubek do połowy i dolałem trochę wody. — Zdrówko.

Sterne włożył cygaro do kieszonki na piersi.

— Gdzie pan był wczoraj rano, około jedenastej?

— W domu. Spałem.

— Naturalnie to fajna rzecz prowadzić własny interes. — Sterne skrzywił się półgębkiem do Deimosa. Sierżant tylko chrząknął.

— Mógłby pan wyjaśnić, panie Angel, dlaczego śpi pan sobie smacznie, podczas gdy reszta świata pracuje?

— Bo poprzedniej nocy pracowałem do późna.

— Można wiedzieć gdzie?

— W Harlemie. A właściwie do czego pan zmierza, poruczniku?

Sterne wyjął coś z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego i uniósł w dłoni, aby mi pokazać. — Poznaje pan to?

Skinąłem głową. — To moja wizytówka.

— Zechciałby pan wyjaśnić, jakim cudem znalazła się w mieszkaniu ofiary morderstwa?

— Tootsa Sweeta?

— Co może mi pan o tym powiedzieć? — Sterne przysiadł na rogu mego biurka i nasunął kapelusz głębiej na czoło.

— Niewiele. To z powodu Sweeta wybrałem się do Harlemu. Chciałem z nim pomówić w sprawie pewnej roboty, którą mi

zlecono. Trop okazał się zimny, skądinąd spodziewałem się tego. Dałem mu wizytówkę, na wypadek, gdyby coś sobie przypomniał.

— Kiepsciutko, Angel. Spróbuj jeszcze raz.

— Dobra. Prowadzę sprawę dotyczącą pewnych zaginionych osób. Ludzie, o których mowa, zniknęli ponad dwanaście lat temu. Jednym z moich tropów była stara fotografia faceta pozującego do zdjęcia z Tootsem Sweetem. Ubiegłego wieczoru odwiedziłem go, gdyż sądziłem, że mógłby mi pomóc. Spławił mnie, gdy rozmawialiśmy pod Czerwonym Kogutem, dlatego po zamknięciu knajpy poszedłem za nim. Trafiłem na jakąś dziwną ceremonię voodoo, odprawianą przy Meer. Oni tam tańczyli i przy okazji zabili koguta.

Poczułem się jak turysta.

— Kim są ci oni? — spytał Sterne.

— Około piętnastu osób — mężczyźni i kobiety. Kolorowi. Nigdy nie widziałem żadnego z nich, z wyjątkiem Tootsa.

— I co pan zrobił?

— Nic. Toots wyszedł z parku sam. Pojechałem za nim do domu i tam wyłożyłem kawę na ławę. Zmusiłem go do mówienia. On powiedział, że nie widział faceta, którego szukam, od lat, czyli od czasu, gdy zrobiono to zdjęcie. Dałem mu wizytówkę i powiedziałem, żeby do mnie zadzwonił, gdyby coś sobie przypomniał. Czy teraz lepiej?

— Nie bardzo. — Sterne obojętnie przyglądał się swoim grubym paznokciom. — Jak nakłonił go pan do mówienia?

— Dzięki psychologii — odparłem.

Sterne uniósł brwi i spojrzał na mnie równie obojętnie, jak patrzył na swoje paznokcie.

— A kim są ci zaginieni ludzie? Ci, których pan szuka?

— Nie mogę udzielić panu tej informacji bez porozumienia z

moim klientem.

— Pieprzysz, Angel. Nie wypełnisz swojego zlecenia, siedząc w areszcie w śródmiejskim komisariacie, a Bóg mi świadkiem, trafisz tam, jeśli ze mną zadrzesz.

— A to czemu, poruczniku? Przecież niczego nie ukrywam. Pracuję dla mecenasa nazwiskiem Winesap. To uprawnia mnie do zachowania pewnych szczegółów prowadzonej sprawy w tajemnicy, podobnie jak i jego osoby. Jeśli mnie pan zapuszkuje, wyjdę z aresztu w ciągu godziny. Niech pan oszczędzi podatnikom wydatków na paliwo.

— Jaki jest numer tego mecenasa?

Zapisałem, wraz z pełnym imieniem i nazwiskiem, wyrwałem kartkę z notesu i podałem Sterne'owi.

— Powiedziałem panu wszystko, co wiem. Z tego, co wyczytałem w gazecie, wygląda na to, że Tootsa wykończył jeden z jego współwyznawców. Jeśli ucapie pan jakiegoś podejrzanego, z przyjemnością wezmę udział w rozpoznaniu.

— Bardzo szlachetne z twojej strony, Angel — prychnął Sterne.

— Co to takiego? — spytał sierżant Deimos. Myszkował po całym biurze z rękami w kieszeniach, szperając to tu, to tam. Pytał o dyplom magistra prawa uniwersytetu Yale Erniego Cavalero. Dyplom oprawny w ramki wisiał nad szafką z aktami.

— To dyplom — wyjaśniłem. — Należał do faceta, który założył to biuro. On już nie żyje.

— Sentymenty? — syknął Sterne przez zaciśnięte wargi z wprawą godną brzuchołowcy.

— Dodaje temu biurze odpowiedniej klasy.

— Co tu jest napisane? — dopytywał się sierżant Deimos.

— Nie mam pojęcia. Nie znam łaciny.

— A więc te napisy są po łacinie.

— Uhm.

— A gdyby ten napis był po hebrajsku? Czy to cokolwiek by zmieniło? — burknął Sterne.

Deimos wzruszył ramionami.

— Jeszcze jakieś pytania, poruczniku? — spytałem.

Sterne znów rzucił mi spojrzenie martwego gliniarza. Po oczach było widać, że nigdy się nie uśmiechał. Nawet podczas rozpraw sądowych. Po prostu wykonywał swoją pracę.

— Nie. Teraz pan, wraz z pańskim prawem odmowy zeznań, może wreszcie iść na lunch. Może jeszcze tu zadzwonimy, ale nie czekałbym na to z zapartym tchem. To po prostu jeszcze jeden martwy czarnuch. Nikt specjalnie się tym nie przejmie.

— Proszę dzwonić, gdybyście czegoś potrzebowali.

— Jasne. To prawdziwy książę, no nie, Deimos? Wsiedliśmy wspólnie do windy i zjechaliśmy na dół, nie zamieniwszy ani słowa.

Rozdział dwudziesty czwarty

Bar restauracyjny Gougha znajdował się przy 43 Ulicy, naprzeciw budynku „Timesa”. Było tam dość tłoczno, kiedy wszedłem, ale wcisnąłem się w mały kącik przy barze. Nie miałem dużo czasu, więc zamówiłem wołowinę z ryżem i butelkę ale. Mimo natłoku gości obsługa szła sprawnie i właśnie przepłukiwałem gardło, kiedy dostrzegł mnie wychodzący z baru Walt Rigler, który natychmiast podszedł, aby zamienić ze mną parę słów.

— Co cię sprowadza do tego gniazda pismaków, Harry? — zawołał, usiłując przekrzyczeć hałas wywołany rozmowami dziennikarzy. — Sądziłem, że jadasz u Downeya.

— Staram się nie popadać w nawyki — wyjaśniłem.

— Ciekawy punkt widzenia. No i jak tam?

— Kiepsko. Dzięki za możliwość nawiedzenia kostnicy. Jestem twoim dłużnikiem.

— Zapomnij. Jak twoje małe zagadki? Wygrzebałeś coś ciekawego?

— Więcej, niż mogę udźwignąć. Wczoraj sądziłem, że natrafiłem na silny trop. Odwiedziłem córkę Krusemarka — wróżbitkę, ale wybrałem nie tę, co trzeba.

— Co rozumiesz przez słowa — nie tę, co trzeba?

— Są dwie wiedźmy — biała i czarna. Ta, o którą mi chodzi mieszka w Paryżu.

— Nie nadążam za tobą, Harry.

— One są bliźniaczkami — Maggie i Millie, nadzwyczajne córeczki Ethana Krusemarka.

Walt potarł nasadę karku i zmarszczył brwi.

— Ktoś zrobił cię w konia, stary. Margaret Krusemark jest jedynaczką.

Zakrztusiłem się piwem. — Jesteś pewien?

— Jasne. Sprawdziłem to wczoraj. Przez całe popołudnie miałem na biurku historię tej rodziny. Krusemarkowie mieli tylko jedno dziecko. Dziewczynkę, Harry. W tego typu sprawach „Times” się nie myli.

— Ale ze mnie bałwan!

— Nie przeczę.

— Powinienem był się domyślić, że robi ze mnie wała. To było zbyt śliskie, aby mogło być prawdziwe.

— Zwolnij, stary, strasznie się zagalopowałeś.

— Przepraszam, Walt. Tak tylko głośno myślałem. Na moim zegarku jest pięć po pierwszej, zgadza się?

— Prawie.

Wstałem, zostawiając garść drobnych na kontuarze. — Muszę lecieć.

— Nie pozwól, abym cię zatrzymał. — Walt Rigler rzucił mi jeden ze swych przewrotnych uśmiechów.

Epiphany Proudfoot czekała już w zewnętrznym pomieszczeniu mojego biura, kiedy dotarłem tam w kilka minut później. Miała na sobie spódnicę w szkocką kratę i kaszmirowy sweter; wyglądała jak studentka.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziałem.

— Nie musisz. Przyszłam przed czasem. Odłożyła mocno sczytany egzemplarz „Sports Illustrated” i rozkrzyżowała nogi. Nawet na starym fotelu z wyprzedaży wyglądała wyjątkowo ponętnie. Otworzyłem kluczem drzwi w ścianie działowej, przeszklonej mleczną szybą, i przytrzymałem je, by mogła wejść.

— Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

— Marne to biuro. — Zabrała swoją torebkę i złożony płaszcz ze stolika, na którym leżała sterta starych czasopism.

— Nie jesteś chyba specjalnie wziętym detektywem.

— Nie wychyłam się — odparłem, przepuszczając ją do środka.

— Albo płacisz za wykonanie zlecenia, albo za dekorację wnętrza.

Zamknąłem drzwi i powiesiłem płaszcz na wieszaku. Stała przy oknie na ulicę, ozdobionym ośmiocalowymi złotymi literami, z którego roztaczał się widok na ulicę.

— Kto ci płaci za odnalezienie Johnny'ego Favorite'a? — zapytała swoje odbicie w szkle.

— Nie mogę ci powiedzieć. Dyskrecja to jeden z podstawowych warunków w tym interesie. Usiądziesz?

Wziąłem od niej płaszcz i powiesiłem obok mojego, podczas gdy dziewczyna z gracją usadowiła się w miękkim skórzanym fotelu naprzeciw mojego biurka. Było to jedyne wygodne siedzenie w tym gabinecie.

— Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie — stwierdziłem, odchylając się w moim obrotowym fotelu. — Co cię tu sprowadza?

— Edison Sweet został zamordowany.

— Uhm. Czytałem o tym w gazecie. Ale przecież nie powinno cię to dziwić. Sama go wystawiłaś!

Przycisnęła torebkę do podołka. — Chyba jesteś nienormalny.

— Możliwe. Ale nie jestem głupi. Tylko ty wiedziałaś, że rozmawiałem z Tootsem. To ty musiałaś zapłacić chłopakom, aby podrzucili mu kurzą łapkę.

— Mylisz się.

— Czyżby?

— Nie było nikogo innego. Kiedy wyszedłeś ze sklepu, zadzwoniłam do mojego bratanka. Mieszka blisko Czerwonego

Koguta, właściwie tuż za rogiem. To on podłożył kurzą łapkę na klawiaturę fortepianu. Toots był zbyt gadatliwy. Należało mu przypomnieć, aby trzymał język za zębami.

— Dobrze się spisałaś. Facet zamilkł na zawsze.

— Wydaje ci się, że przyszedłbym do ciebie, gdybym miała z tym coś wspólnego?

— Jesteś bardzo utalentowaną dziewczyną, Epiphany. Twój występ w parku był całkiem przekonujący.

Epiphany zagryzła kłykcie i zmarszczywszy brwi, skuliła się w fotelu. Wyglądała jak szkolny urwis, którego dyrektor szkoły zaprosił na dywanik. Jeżeli udawała, to doprawdy była wyśmienitą aktorką.

— Nie miałeś prawa mnie szpiegować — powiedziała Epiphany, unikając mego spojrzenia.

— Departament Parków i TOZ byłiby innego zdania. To dość ponura religia.

Tym razem Epiphany spojrzała mi prosto w oczy, a jej wzrok wręcz ociekał wściekłością.

— Obeah nie potrzebuje wieszać człowieka na krzyżu. Nigdy nie było Świętej Wojny Obeah, ani Inkwizycji Obeah!

— Taa, święta racja, musiałaś zabić kurczaka, bo miałaś ochotę na rosół, zgadza się? — Zapaliłem papierosa i wydmuchnąłem kłęb dymu pod sufit. — Ale mnie nie martwią zabite koguty, tylko murzyńscy pianiści.

— Wydaje ci się, że ja nie jestem tym zmartwiona? — Epiphany wychyliła się nieco do przodu, sutki jej dziewczęcych piersi napierały na cienką tkaninę niebieskiego sweterka. Była dużą szklaneczką wody, jak powiadają w północnej dzielnicy, i łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak zaspokajam pragnienie jej młodym, jędrnym ciałem.

— Nie wiem, co mam myśleć — powiedziałem. — Dzwonisz i mówisz, że natychmiast musisz się ze mną zobaczyć. A teraz, kiedy tu jesteś, zachowujesz się, jakbyś robiła mi wielką łaskę.

— To całkiem możliwe. — Ponownie rozparła się na fotelu i założyła nogę na nogę, gestem, którego nie sposób było nie zauważyć.

— Pojawiasz się w poszukiwaniu Johnny'ego Favorite'a, a następnego dnia zostaje zamordowany człowiek. To nie jest zbieg okoliczności.

— A w takim razie co?

— Posłuchaj, gazety trąbią na prawo i lewo: voodoo to, voodoo tamto, ale uwierz mi na słowo, śmierć Tootsa Sweeta nie miała nic wspólnego z Obeah.

Naprawdę.

— Skąd wiesz?

— Widziałeś te zdjęcia w gazetach?

Skinąłem głowę.

— A zatem wiesz, że krwawe symbole nakreślone na ścianach nazwano znakami voodoo?

Kolejne skinienie.

— Widzisz, gliny znają się na voodoo jak świnia na pieprzu! Te znaki miały wyglądać jak vévé, ale wcale nimi nie są.

— Co to są vévé?

— To symbole magiczne. Nie potrafię wyjaśnić ich znaczenia komuś, kto nie jest inicjatem, ale cała ta krwawa bazgranina ma tyle wspólnego z prawdziwą religią, co święty Mikołaj z Jezusem. Jestem mambo od wielu lat. Wiem, o czym mówię.

Zgasiłem niedopałek w popielniczce Stork Club, pamiętając pewnym dawno już zapomnianym romansie.

— Nie wątpię, Epiphany. A więc mówisz, że te znaki to lipa?

— Nie tyle lipa, powiedziałabym raczej, że nie są takie, jakie być powinny. Są niewłaściwe. Nie potrafię określić tego inaczej. To tak jakbyś podczas meczu baseballa nazwał home run przyłożeniem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Otworzyłem „Newsa” na trzeciej stronie. Podsuwając gazetę w stronę Epiphany, wskazałem na przypominające węże zygzaki, spirale i złamane krzyże widoczne na fotografii.

— Twierdzisz, że to wszystko wygląda jak prawdziwe rysunki voodoo, vévé czy jak je tam nazwałaś, ale zostało niewłaściwie użyte?

— Otóż to. Widzisz ten krąg tutaj, ten z węzłem pożerającym własny ogon? To Damballah, oczywiste vévé, symbol geometrycznej doskonałości wszechświata. Żaden wyznawca jednak nie narysowałby tego symbolu tak blisko Babako.

— A zatem ten, kto to wszystko narysował, musiał znać się na voodoo przynajmniej na tyle, że wiedział, jak wyglądają symbole Damballaha i Babako.

— To właśnie przez cały czas staram się ci uzmysłowić — powiedziała. — Wiedziałaś, że Johnny Favorite przez pewien czas parał się Obeah?

— Wiem, że był hunsi-bosalem.

— Toots naprawdę za dużo gadał. Co jeszcze wiesz?

— Tylko to, że Johnny Favorite kręcił kiedyś z twoją matką. Epiphany skrzywiła się, jakby przełknęła plasterek cytryny.

— To prawda. — Pokręciła głową, jakby chciała temu zaprzeczyć. — Johnny Favorite był moim ojcem.

Znieruchomiałem, zaciskając obie dłonie na oparciu fotela, ponieważ jej słowa uderzyły we mnie jak potężna morska fala.

— Kto jeszcze o tym wie?

— Nikt, tylko ty i mama, a ona nie żyje.

— A co z Johnnym Favorite'em?

— Mama nigdy mu nie powiedziała. Zanim skończyłam roczek, on już od dawna był w wojsku. Powiedziałam ci prawdę, kiedy stwierdziłam, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

— Skąd teraz w tobie taka otwartość względem mnie?

— Jestem przerażona. W śmierci Tootsa jest coś, co ma bezpośredni związek ze mną. Nie wiem jak ani dlaczego, ale czuję to w kościach.

— I uważasz, że ma to jakiś związek z Johnnym Favorite'em?

— Sama nie wiem. To ty jesteś od myślenia. Ty powinieneś wiedzieć. Tak mi się wydawało. Może to jakoś pomoże.

— Kto wie? Jeżeli masz mi coś jeszcze do powiedzenia, to teraz jest ku temu najlepsza okazja. Mów, słucham uważnie.

Epiphany patrzyła na swoje splecione dłonie.

— Nie mam już nic więcej do powiedzenia. — I podniosła się z fotela żwawo i zwinnie jak kotka.

— Muszę już iść. Na pewno masz mnóstwo pracy.

— Jestem w pracy — mruknąłem, wstając od biurka.

Zdjęła swój płaszcz z wieszaka.

— Trzymam cię za słowo, jeżeli chodzi o to, o czym mówiłeś wcześniej. No, wiesz, mam na myśli dyskrecję zawodową.

— Wszystko, co powiedziałaś, zostaje wyłącznie między nami.

— Mam nadzieję. — Uśmiechnęła się do mnie. Był to prawdziwy, szczerzy uśmiech, a nie taki, który pojawia się tylko wtedy, gdy na coś się liczy.

— Nie wiem dlaczego, chyba nawet trochę wbrew sobie, ale jednak ci ufam.

— Dzięki. — Obszedłem biurko, ale Epiphany sama otworzyła sobie drzwi.

— Nie fatyguj się — powiedziała. — Trafię do wyjścia.

— Masz mój numer?

Skinęła głową. — Zadzwoń, gdybym dowiedziała się czegoś istotnego.

— Nawet jeżeli nie, to też zadzwoń.

Przytaknęła bezgłośnie i już jej nie było. Stałem przy biurku, w kompletnym bezruchu, dopóki nie usłyszałem trzasku zamykających się za nią drzwi. W trzech susach zgarnąłem swoją aktówkę, zdjąłem z wieszaka płaszcz i zamknąłem gabinet na klucz.

Odczekałem z uchem przytkniętym do zewnętrznych drzwi, aż samoobsługowa winda otworzyła się i zamknęła, po czym wyszedłem z biura. Korytarz był pusty. Słysząc było jedynie, jak Ira Kipnis mozolnie zlicza podatki, a Madame Olga usuwa z ciała niepożądane owłosienie. Popędziłem ku schodom pożarowym i zbiegłem po nich, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Rozdział dwudziesty piąty

Przegoniłem windę o dobre piętnaście sekund i czekałem na klatce schodowej, uchylając delikatnie drzwi pożarowe. Epiphany minęła mnie i wyszła na ulicę. Byłem tuż za nią, kiedy skręciła w boczną ulicę i zeszła do metra.

Wsiadła do lokalnego IRT, jadącego do północnej części miasta. Wskoczyłem do sąsiedniego wagonu, a kiedy skład ruszył, wyszedłem na zewnątrz i stanąłem na kołyszącej się metalowej platformie nad złączem, skąd mogłem obserwować ją przez szybę. Siedziała skromnie, ze złączonymi kolanami, wpatrując się w rząd reklam nad oknami. Wsiadła dwa przystanki dalej, przy Columbus Circle. Ruszyła na wschód, wzdłuż Central Park South, mijając Maine Memoriał, ozdobiony u szczytu rydwanem ciągnionym przez koniki morskie, który odlano z działa wydobytego z zatopionego okrętu wojennego. Na ulicach było mało ludzi, dlatego trzymałem się w odległości, skąd nie słyszałem tupotu jej szpilek na sześciokątnych, asfaltowych płytach chodnikowych otaczających park.

Przy 7 skręciła w stronę śródmieścia. Widziałem, jak przechodząc obok Athletic Club i ozdobionych płaskorzeźbami Alwyn Court Apartments, zerka na numery. Na rogu 57 zatrzymała ją jakaś starsza kobieta, objuczona ciężką torbą z zakupami, więc przystanąłem przy wystawie sklepu z bielizną i zaczekałem, aż udzieliwszy jej żądanych informacji, ruszy dalej, nie zauważając, że jest śledzona. Prawie ją zgubiłem, kiedy na chwilę przed zmianą świateł przebiegła na drugą stronę dwukierunkowej ulicy. Ugrzęzłem w miejscu, ale tymczasem ona zwolniła kroku,

sprawdzając numery po tej stronie ulicy, wzdłuż Carnegie Hali. Zanim jeszcze światło zmieniło się na zielone, ujrzałem, jak przystaje na drugim końcu ulicy i wchodzi do budynku. Znałem ten adres, 7 Ulica 881. Pod tym adresem mieszkała Margaret Krusemark.

Znalazłszy się w holu, dostrzegłem, jak mosiężna strzałka nad windą po prawej zatrzymuje się na „jedenastce”, podczas gdy jej posępna bliźniaczka zjeżdża w dół. Kiedy drzwi się otworzyły, z kabiny wyszedł kwartet smyczkowy, trzymający w dłoniach pudła na instrumenty. Oprócz mnie na górę wjeżdżał tylko doręczyciel od Güstede’a z kartonowym pudłem artykułów spożywczych na ramieniu. Chłopak wysiadł na czwartym.

— Na ósme — zwróciłem się do operatora.

Wszedłem schodami pożarowymi na piętro, gdzie mieszkała Margaret Krusemark, zostawiając za sobą odgłosy młodych adeptów tańca, uczących się stepowania. Z oddali wciąż dobiegało donośne jodłowanie, podczas gdy ja wolnym krokiem przemierzałem pusty korytarz, zmierzając ku drzwiom ozdobionym podobizną Skorpiona.

Postawiłem aktówkę na wyświechtanej wykładzinie i otworzyłem. Sterta lipnych formularzy i dokumentów w pękatej teczce sprawiała, iż jej zawartość wyglądała nader oficjalnie, ale narzędzia pracy trzymałem przezornie w przegródce pod fałszywym dnem. Były powkładane w zaopatrzoną w stosowne wgłębienia poliuretanową wkładkę. Znajdował się wśród nich zestaw wymyślnych narzędzi, który zadowolilby najwybredniejszego włamywacza: mikrofon kontaktowy, mini magnetofon, lornetka Lentza o dziesięciokrotnym powiększeniu, aparat Minox ze statywem do fotografowania dokumentów, komplet wytrychów, który kosztował mnie równo pięć paczek,

niklowane stalowe kajdanki i 38 Special Smith and Wesson Centennial z obudową typu Airweight.

Wyjąłem mikrofon i podłączyłem słuchawkę. To był wspaniały sprzęt. Przykładając mikrofon do drzwi, mogłem usłyszeć wszystko, co działo się w pokoju. Gdyby ktoś nadszedł, wystarczyło wrzucić go do kieszonki koszuli, słuchawka wyglądała bowiem jak aparacik, którego używają niedosłyszący. Nikt się jednak nie pojawił. W pustym korytarzu zawodzące echo sopranu zlewało się z odległymi dźwiękami fortepianu, na którym ktoś nieudolnie uczył się brzdąkać. Usłyszałem, jak w mieszkaniu Margaret Krusemark mówi:

— Nie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, ale zawsze darzyłam twoją matkę ogromnym szacunkiem. — Odpowiedź Epiphany była nieco bełkotliwa i niezrozumiała. Znana mi już pani astrolog mówiła dalej:

— Przed twoimi narodzinami często się spotykałyśmy. Była kobietą mocy.

Epiphany zapytała: — Jak długo była pani zaręczona z Johnnym?

— Dwa i pół roku. Z cytryną czy ze śmietanką, kochanie? Najwyraźniej znów nadeszła pora herbatki. Epiphany wybrała cytrynę i powiedziała:

— Moja matka była jego kochanką przez cały okres waszego narzeczeństwa.

— Drogie dziecko, sądzisz, że nie zdawałam sobie z tego sprawy? Johnny i ja nie mieliśmy względem siebie żadnych tajemnic.

— To dlatego zerwaliście?

— Nasze rozstanie zostało spreparowane wyłącznie na użytek prasy. Mieliśmy prywatne powody, dla których się rozstaliśmy i

zerwaliśmy zaręczyny. Prawdę mówiąc, nigdy nie byliśmy sobie bliżsi niż w tych ostatnich miesiącach, poprzedzających jego pójście na front. Nie przeczę, że nasz związek był nieco dziwny. Mam nadzieję, że jesteś na tyle roztropna, aby nie dać się skrzywić burżuazyjnym konwenansom. W każdym razie twoja matka skutecznie się im opierała.

— Cóż może być bardziej burżuazyjnego od *ménage á trois*.

— To nie była zabawa we troje! Co ty sobie myślisz? Wydaje ci się, że w czym braliśmy udział, w jakichś paskudnych burżuazyjnych orgiach? Że należeliśmy do jakiegoś obrzydliwego klubu miłośników seksu zbiorowego?

— Nie mam pojęcia, w czym braliście udział ani do jakiego należeliście klubu. Mama w ogóle mi o pani nie wspomniała.

— A niby po co? W jej mniemaniu Jonathan nie żył. A to przecież on był ogniwem, które nas łączyło.

— Ale on nie umarł.

— Skąd wiesz?

— Wiem.

— Czy ktoś wypytywał cię o Jonathana? Odpowiedz, moje dziecko, od tego może zależeć nasze życie.

— Jak to?

— Nieważne. A więc ktoś o niego wypytywał, zgadza się? Jak wyglądał?

— Jak facet. Zwyczajnie.

— Był potężnie zbudowany? Nie gruby, ale z drobną nadwagą? Niechlujny? To znaczy, czy miał na sobie pomięty granatowy garnitur i nie wyczyszczone buty? Gęsty, czarny wąsik i krótko przycięte, lekko szpakowate włosy?

— Łagodne, niebieskie oczy — odrzekła Epiphany. — Czyżby nie zwróciła pani na nie uwagi?

— Czy mówił, że nazywa się Angel? — W głosie Margaret Krusemark pojawiła się nerwowa, pełna napięcia, ponagląca nuta.

— Tak. Harry Angel.

— Czego chciał?

— Szuka Johnny'ego Favorite'a.

— Po co?

— Nie mówił. To detektyw.

— Glina?

— Nie. Prywatny detektyw. O co w tym wszystkim chodzi? Rozległ się cichy brzęk porcelany i Margaret Krusemark powiedziała:

— Nie jestem pewna. Był tu. Nie mówił, że jest detektywem, udawał zwykłego klienta. Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony, ale muszę poprosić, abys już stąd wyszła. Muszę zaraz udać się w pewne miejsce. Obawiam się, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

— Uważa pani, że coś nam grozi? — Przy ostatnim słowie głos Epiphany wyraźnie się załamał.

— Nie wiem, co mam myśleć. Jeśli Jonathan wrócił, wszystko może się zdarzyć.

— Wczoraj w Harlemie zabito człowieka — wykrztusiła Epiphany. — Mojego przyjaciela. On też znał mamę i Johnny'ego. Pan Angel jego również wypytywał.

Skrzypnęło przesuwane po parkiecie krzesło.

— Muszę już iść — powiedziała Margaret Krusemark. — Chodź, wezmę twój płaszcz, zjedziemy na dół razem.

Usłyszałem zbliżające się kroki. Odsunąłem mikrofon od drzwi i zdjąłem słuchawkę, by schować całe urządzenie do kieszeni płaszcza. Z aktówką pod pachą przebiegłem całą długość korytarza jak sprinter na finiszu. Przytrzymując się poręczy, zbiegłem na dół

schodami pożarowymi, przeskakując po cztery, a nawet pięć stopni.

Zbyt wielkim ryzykiem było czekać na windę na ósmym piętrze, mogło się okazać, że w kabinie natknę się na obie panie, czego za wszelką cenę pragnąłem uniknąć, dlatego skorzystałem ze schodów, pokonując całą drogę na dół, aż do głównego holu. Zdyszany, przystanąłem jeszcze, by zerknąć na strzałki nad obiema windami. Ta po lewej jechała pod górę, jej sąsiadka zjeżdżała w dół. Tak czy inaczej, będą tu lada chwila.

Wybiegłem na ulicę i nie zważając na samochody, potykając się o własne stopy, przebiegłem na drugą stronę 7 Alei. Dotarwszy tam, przystanąłem przy wejściu do Osborn Apartments, sapiąc i dysząc jak chory na rozedmę płuc. Opiekunka pchająca wózek dziecięcy, mijając mnie, zacmokała współczująco.

Rozdział dwudziesty szósty

Epiphany i pani Krusemark wyszły z budynku razem i przeszły pół przecznicy, do 57. Szedłem równolegle do nich, po drugiej stronie, nieco je tylko wyprzedzając.

Na rogu ulicy Margaret Krusemark cmoknęła Epiphany w policzek, jak dobra ciocia żegnająca się z ukochaną bratanicą.

Kiedy zmieniły się światła, Epiphany przecięła 7 Aleję, ruszając w moim kierunku. Margaret Krusemark zamachała energicznie ręką, aby zatrzymać którąś z przejeżdżających taksówek. W moim polu widzenia pojawił się nowy checker z zapalonym kogutem. Zatrzymałem go i wsiadłem, zanim zauważyła mnie Epiphany.

— Dokąd ma być? — spytał okrągłolicy taksjarsz, opuszczając chorągiewkę licznika.

— Chciałbyś zarobić dwa razy tyle, ile będzie na liczniku?

— Za co?

— Posłodzilibyśmy kogoś. Zatrzymasz się na chwilę przed rosyjską herbaciarnią.

Wykonał polecenie i obrócił się na siedzeniu, aby mi się przyjrzeć. Pokazałem mu blachę w moim portfelu, po czym dodałem:

— Widzisz tę kobietę w tweedowym płaszczu, wsiadającą do taryfy przed Carnegie Hali? Nie zgub jej.

— To kaszka z mleczkiem.

Druga taksówka zawróciła gwałtownie w 57. Wykonaliśmy ten sam manewr, ale dyskretnie, aby nie rzucić się w oczy, trzymając się pół przecznicy za śledzonym wozem, który tymczasem wjechał

w 7.

Okrągłolicy wychwycił moje spojrzenie w lusterku wstecznym i uśmiechnął się. — Obiecałeś pan napiwek, proszę o tym nie zapominać.

— Zgadza się, jeżeli tylko nie dasz się przyłapać. Oni nie mogą się zorientować, że ich śledzimy.

— Zbyt długo grywam w te gierki, koleś.

Dotarliśmy 7 do Times Square, przejeżdżając przed moim biurem, po czym druga taryfa skręciła w lewo i ruszyła na wschód, wzdłuż 42. Przez cały czas trzymaliśmy się w odpowiedniej odległości, nie za daleko, aby nie stracić drugiego wozu z oczu i nie za blisko, aby nie wzbudzić podejrzeń, tylko raz mój kierowca musiał przydeptać ostrzej na gaz i prawie na czerwonym przeciąć skrzyżowanie przy 5. Była to jedyna sytuacja, kiedy mogliśmy ich zgubić.

Między 5 a Grand Central na długości dwóch przecznic zrobił się korek; jechaliśmy w żółtym tempie.

— Powinieneś pan być tu wczoraj — rzekł, gwoli wyjaśnienia okrągłolicy. — Parada z okazji Dnia św. Patryka. Całe popołudnie przerąbane.

Taksówka Margaret Krusemark skręciła przy rogu Lexington na północ i ujrzałem, jak zatrzymuje się przed Chrysler Building. Kogut się zapalił. Kobieta wysiadła.

— Dobra, niech będzie tutaj — powiedziałem, a okrągłolicy zatrzymał auto przed Chanin Building. Na taksometrze wyszło półtora dolara. Dałem mu siedem i powiedziałem, żeby zatrzymał resztę. Zasłużył na nią, nawet jeśli miał podrasowany licznik.

Ruszyłem na drugą stronę Lexington Avenue. Druga taksówka już odjechała. Margaret Krusemark również nigdzie nie było widać. Nieważne. Wiedziałem, dokąd się udawała. Przeszedłszy przez

obrotowe drzwi, sprawdziłem napis na tablicy informacyjnej wiszącej w wyłożonym marmurem i chromem holu. Biura Krusemark Maritime Inc. mieściły się na czterdziestym trzecim piętrze.

Dopiero kiedy wyszedłem z windy, zmieniłem zdanie co do konfrontacji z Krusemarkami. Było jeszcze za wcześnie, aby obstawiać stawkę, mimo że naprawdę miałem co postawić. Córeczka dowiedziała się, że szukam Johnny'ego Favorite'a i w te pędy pobiegła do tatusia. Cokolwiek miała mu do powiedzenia, nie nadawało się do przekazania przez telefon, w przeciwnym razie przecież zadzwoniłaby do niego. Zastanawiałem się, ile bym dał, aby móc podsłuchać rozmowę przy rodzinnym stole konferencyjnym, gdy ujrzałem zmierzającego do pracy czyszciciela okien.

Był to łysy facecik w średnim wieku z kalafiorowatym nochalem boksera na emeryturze. Maszerował lśniącem korytarzem, pogwizdując z cicha największy przebój ubiegłego lata — Volare. Miał na sobie brudnozielony kombinezon, a uprząż zabezpieczająca zwisała na nim luźno, jak nie zapięte szelki.

— Czekał no chwilę, koleś — zawołałem, a on przestał gwizdać w pół tonu i spojrzał na mnie z wciąż wydętymi wargami, jakby czekał, że dam mu całusa.

— Założę się, że nie wiesz, czyja podobizna widnieje na pięćdziesięciodolarowym banknocie.

— Co to ma być? Ukryta kamera?

— Nic z tych rzeczy. Chcę się tylko założyć, że nie wiesz, kto widnieje na pięćdziesiątku.

— Dobra, cwaniaczkę. Thomas Jefferson.

— Źle.

— I co z tego? Wielka mi rzecz. A o co ci w ogóle chodzi?

Wyjąłem z portfela złożony banknot pięćdziesięciodolarowy, który tkwił tam awaryjnie na wypadek, gdybym musiał z nieoczekiwanych przyczyn posmarować czyjaś lepką rękę albo posiłkować się w negocjacjach grubszą forszą. Uniosłem go w dłoni, pokazując nominał.

— Pomyślałem, że może chciałbyś się dowiedzieć, kim był ten szczęśliwy prezydent.

Czyściciel okien chrząknął i zamrugał powiekami.

— Coś ty, masz nierówno pod sufitem czy jak?

— Ile ci płacą? — zapytałem. — No, dalej, powiedz. To przecież nie jest utajniona informacja, no nie?

— Cztery pięćdziesiąt na godzinę, dzięki związkom.

— A chciałbyś zarobić dziesięć razy tyle? Dzięki mnie.

— Taa? A co miałbym zrobić za ten szmal?

— Wypożyczyć mi na godzinę swój kombinezon i wybrać się na spacer. Idź na piwo.

Potańczał czubek głowy, który bynajmniej nie wymagał nowego polerowania.

— Jesteś jakiś świr, zgadza się?

W jego głosie pobrzmiwała nuta prawdziwego podziwu.

— A co to ma do rzeczy? Chcę tylko pożyczyć twoje ciuchy i sprzęt. Bez zadawania żadnych pytań. Możesz zarobić pół paczki, siedząc przez godzinę na tyłku. Jak ci się to podoba?

— Dobra. Interes stoi, koleś. Zgadzam się, tylko musisz mi to wszystko oddać.

— Mądra decyzja.

Czyściciel okien ruchem głowy dał mi znak, abym poszedł za nim, i poprowadził mnie korytarzem do wąskich drzwi przy wyjściu pożarowym. Była to szafka dla sprzątaczy.

— Kiedy zrobisz swoje, zostaw tu moje kłamoty — rzekł,

odpinając uprzęż i zdejmując brudny kombinezon.

Powiesiłem płaszcz i marynarkę na kiju mopa, po czym włożyłem kombinezon. Był sztywny i lekko zalatywał amoniakiem, jak piżama po orgii.

— Lepiej zdejmij śledzia — poradził czyściciel. — Nie idziesz chyba na przyjęcie pod krawatem.

Wetknąłem krawat do kieszeni płaszcza, a on pokazał mi, jak używać uprzęży. — Chyba nie zamierzasz wyłazić w tym na zewnątrz, co? — zapytał.

— Żartujesz? Chcę tylko zrobić kawał mojej panience. Pracuje na tym piętrze jako recepcjonistka.

— Może być — rzekł czyściciel. — Tylko włóż potem wszystko do szafki.

Wcisnąłem złożoną pięćdziesiątkę do kieszeni jego koszuli.

— A teraz ty i Ulisses Grant możecie iść gdzieś zabalować. — Mężczyzna wyglądał, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Powiedziałem, żeby zerknął na wizerunek na banknocie. Facet oddalił się, pogwizdując.

Zanim wsunąłem moją aktówkę pod betonowy zlew, wyjąłem zeń 38. Smith and Wesson Centennial to poręczne kopyto. Ze swą dwucalową lufą mieści się bez trudu w kieszeni, a ponieważ nie ma kurka, nie trzeba się obawiać, że wyszarpując go w nagłej potrzebie, zahaczy się o materiał. Raz musiałem użyć broni, nie wyjmując jej z kieszeni. Zniszczyłem sobie przez to ubranie, lecz lepsze to, niż zamienić je na garniturek rozcięty z tyłu, który obstalowują ci w podrzędnym domu pogrzebowym. Wsunąłem do jednej kieszeni mikrofon kontaktowy, a do drugiej poręczną pięciostrzałówkę. Z kubłem i szczotką w dłoni ruszyłem dziarsko korytarzem w stronę robiącego wrażenie, oszłamiającego szkłem i spiżem wejścia do budynku, gdzie mieściły się biura Krusemark

Maritime Inc.

Rozdział dwudziesty siódmy

Recepcjonistka nawet mnie nie zauważyła, kiedy przeszedłem przez wyłożony dywanem hol pomiędzy przeszklonymi gablotami, zawierającymi modele tankowców i ryciny starych kliprów. Mrugnąłem do niej, a ona odwróciła się na swoim obrotowym krześle. Drzwi z mlecznego szkła prowadzące do wewnętrznego sanktuarium miały zamiast klamek brzydkie spizowe kotwice; pchnąłem je, nucąc pod nosem szantę: Jo — ho — ho i butelka rumu. . .

Za nimi znajdował się długi korytarz z biurami po obu stronach. Ruszyłem dalej, wymachując kubłem i czytając nazwiska na drzwiach. Żadne nie było tym, o które mi chodziło. Na końcu korytarza mieścił się wielki pokój, w którym dwa dalekopisy szczękały, zgrzytały i kłaskały jak para protokolarnych androidów. Pod jedną ze ścian stało drewniane koło sterowe, inne zaś zdobiły kolejne obrazki, przedstawiające statki na pełnym morzu. Było tu kilka wygodnych, miękkich foteli, stolik ze szklanym blatem, usłanym czasopismami i dumna blondynka, siedząca za biurkiem w kształcie litery L, otwierająca koperty krótkim, ozdobnym nożykiem. Z boku dostrzegłem wypolerowane mahoniowe drzwi. Na wysokości oczu spizowe litery układały się w napis — ETHAN KRUSEMARK.

Blondynka uniosła wzrok i uśmiechnęła się, rozcinając kopertę jak lady d'Artagnan. Stosik poczty obok niej mierzył dobre trzydzieści centymetrów. Nadzieje, że zostanę sam z moim mikrofonem, prysły jak jakiś złoty sen.

Blondynka zignorowała mnie, zajęta swoją prostą czynnością.

Przypinając kubek do upręży, otworzyłem okno i zamknąłem oczy. Zęby szczękały mi jak kastaniety, i to bynajmniej nie z powodu silnego, lodowatego wiatru.

— Ej, pospiesz się pan! — zawołała blondynka. — Ten wiatr porozrzuca mi papiery po całym biurze.

Usiłując nie stracić nad sobą panowania, pochyliłem się, przelazłem pod framugą i usiadłem tyłem na parapecie. Nogi wciąż miałem po drugiej stronie, w bezpiecznym pomieszczeniu biurowym. Sięgnąłem ręką i przypiąłem karabińczyk upręży do uchwyty na zewnątrz. Teraz już tylko tafla szkła oddzielała mnie od blondynki w środku, ale równie dobrze dziewczyna mogła się znajdować na drugim końcu świata. Przełożyłem ręce i przypiąłem się do drugiego uchwyty. Wziąłem się w garść i wstałem. Próbowałem przypomnieć sobie kumpli — lotników z okresu wojny, którzy zaliczyli setki skoków spadochronowych bez choćby jednego draśnięcia, ale niezbyt mi to pomogło. Myśl o spadochronach jeszcze pogorszyła sprawę.

Na wąskim parapecie ledwie starczało miejsca dla moich stóp. Opuściłem okno i podnoszący na duchu dźwięk dalekopisów dochodzący z wewnątrz rozplynął się w poszumie wiatru. Powiedziałem sobie, że nie wolno mi patrzeć w dół. Ale natychmiast spojrzałem właśnie w tę stronę.

Pode mną ział przepastny kanion 42 Ulicy, przechodnie i samochody z tej wysokości zostali zredukowani do rozmiarów mrówek i pełzających leniwie metalicznych chrząszczy. Spojrzałem na wschód, ku rzece, ponad pionowymi brązowo — białymi pasami gmachu „Daily News” i lśniącą zieloną płytą Sekretariatu ONZ. Ujrzałem płynący rzeką maleńki jak dziecięca zabawka holownik, w którego kilwaterze ciągnął się sznur barek.

Zimny, lodowaty wiatr schłostał moją twarz i ręce, szarpiąc

ubranie i sprawiając, że szerokie mankiety kombinezonu załopotwały jak bliźniacze bandery wojenne.

Wicher chciał oderwać mnie od fasady budynku i cisnąć w dół, pośród krążące gołębie, dachy domów i dymiące kominy. Nogi trzęsły mi się z zimna i ze strachu. Jeśli nie załatwi mnie wiatr, to już wkrótce wskutek własnych wibracji odpadnę z tego bocianiego gniazda. W biurze blondynka, obojętna na cały świat, otwierała kolejną kopertę. Równie dobrze mógłbym dla niej w ogóle nie istnieć.

Nagle to wszystko wydało mi się strasznie zabawne — Harry Angel, człowiek Mucha. Przypomniałem sobie donośny, napuszony głos dyrektora cyrku — tam, gdzie lękają się stąpać nawet aniołowie. . . i wybuchnąłem głośnym śmiechem. Odchylając się do tyłu w swojej uprzęży, z nie skrywanym zadowoleniem stwierdziłem, że pasy trzymają całkiem nieźle. No i świetnie. Czyściciele okien mogą to robić całymi dniami.

Poczułem się jak alpinista podczas niewiarygodnej, pierwszej wspinaczki. Kilka pięter nad ziemią gargulce obudowy gzymsów zdobiące naroża drapacza chmur, a za nimi stalowa iglica, skrząca się w promieniach słońca, błyszcząca jak skuty lodem wierzchołek nie zdobytego szczytu.

Najwyższa pora na mój ruch. Odpiąłem prawy pas uprzęży, cofnąłem rękę i przymocowałem do tego samego uchwytu co lewy. Następnie, przesuwając się cal po calu wzdłuż parapetu, odpiąłem drugi zaczep i sięgnąłem poprzez pustkę w stronę pierścienia przy sąsiednim oknie. Wyczuwałem na oślep kontury cegieł, aż w końcu odnalazłem stalowy uchwyt i przypiąłem się.

Zabezpieczony w ten sposób, zrobiłem krok lewą nogą. Stałem na drugim parapecie. Teraz odpięcie, przypięcie, przeniesienie prawej stopy i gotowe. Całe przejście nie trwało

dłużej niż kilka sekund, ale ja miałem wrażenie, że zajęło mi z dziesięć lat.

Zajrzałem w głąb biura Ethana Krusemarka, przypinając równocześnie karabińczyk lewego pasa uprząży do drugiego uchwytu przy jego oknie. Był to okazały narożny pokój, mający na tej ścianie jeszcze dwa okna i trzy kolejne od strony Alei Lexington. Stało tu biurko z owalnym marmurowym blatem, notabene pustym, jeśli nie liczyć służbowego sześcioklawiszowego telefonu i spatynowanej spizowej statuetki Neptuna, wymachującego trójzębem nad wzburzonymi falami. W barku przy drzwiach lśniły kryształ. Na ścianach wisiały obrazy impresjonistów. Szef nie sycił wzroku marynistyką.

Krusemark i jego córka siedzieli na długiej beżowej kanapie pod przeciwległą ścianą. Przed nimi na niskim, marmurowym stoliku lśniły dwie szklaneczki wypełnione brandy. Krusemark wyglądał kubek w kubek jak na portrecie: ogorzała twarz, ot, podstarzały pirat z bujną czupryną starannie ułożonych srebrnych włosów. Według mnie bardziej przypominał Daddy'ego Warbucksa niż Clarka Gable'a. Margaret Krusemark zmieniła ubiór z patetycznej czerni na prostą wiejską bluzkę i haftowaną tyrolską sukienkę, ale wciąż nosiła odwrócony złoty pentakl. Od czasu do czasu jedno z nich spoglądało przez pokój w moją stronę. Spryskałem szybę na wprost mojej twarzy wodą z mydlinami.

Wyjąłem z kieszeni mikrofon kontaktowy i podłączyłem słuchawkę. Owijając urządzenie szmatą, przyłożyłem je do szyby, udając, że ją wycieram.

Głosy były tak wyraźne, że miałem wrażenie, jakbym siedział obok nich na kanapie.

Krusemark mówił — . . . i on znał datę urodzin Jonathana?

Margaret bawiła się nerwowo złotą gwiazdą. — Właśnie —

odrzekła.

— Nietrudno będzie go odnaleźć. Jesteś pewna, że to detektyw?

— Tak powiedziała córka Evangeline Proudfoot. Wie o Jonathanie dostatecznie dużo, skoro dotarł aż do niej i zaczął ją wypytywać.

— A co z doktorkiem z Poughkeepsie?

— Nie żyje. Samobójstwo. Dzwoniłam do kliniki. To się stało na początku tego tygodnia.

— A zatem nigdy się nie dowiemy, czy rozmawiał z tym detektywem.

— To mi się nie podoba, ojczy. Minęło tyle lat. Angel i tak już wie zbyt dużo.

— Angel?

— Ten detektyw. Tato, proszę, słuchaj, co mówię do ciebie.

— Staram się przetrwać to wszystko, Meg. Potrzebuję na to trochę czasu. — Krusemark upił łyk brandy.

— Czemu by nie pozbyć się tego Angela?

— A co by to dało? W tym mieście roi się od tanich prywaciarzy. Nie powinniśmy przejmować się Angelem, a raczej tym, kto go wynajął.

Margaret Krusemark ścisnęła obiema dłońmi rękę ojca.

— Angel wróci. Po horoskop.

— Sporządź mu go.

— Już to zrobiłam. Był podobny do horoskopu Jonathana, różniło ich jedynie miejsce urodzenia. Mogłabym odtworzyć go w każdej chwili.

— Świetnie. — Krusemark wypił swoją brandy. — Jeżeli jest dobry, kiedy zjawi się ponownie, będzie już wiedział, że nie masz siostry we Francji. Zabaw się z nim. Zwodź go. Jesteś sprytną

dziewczynką. Jeżeli nie uda ci się wyciągnąć od niego informacji podstępem, dosyp mu czegoś do herbaty. Jest wiele sposobów, aby skłonić mężczyznę domówienia. Musimy znać nazwisko jego klienta. Nie możemy pozwolić, aby Angel umarł, dopóki nie dowiemy się, dla kogo pracuje.

Krusemark wstał. — Widzisz, Meg, mam dziś po południu kilka ważnych spotkań, dlatego jeśli nie masz mi już nic więcej. . .

— Nie, to wszystko. — Margaret Krusemark podniosła się i wygładziła spódnice.

— Doskonale. — Objął ją ramieniem. — Zadzwoń, kiedy tylko odezwie się ten detektyw. Nauczyłem się sztuki perswazji w krajach Dalekiego Wschodu. Zobaczymy, czy nie straciłem dawnego kunsztu.

— Dziękuję, ojcze.

— Chodź, odprowadzę cię. Jakie masz plany na resztę dnia?

— Jeszcze nie wiem. Myślałam, że wybiorę się na zakupy do Saksa. Ale po tym. . . — To było wszystko, co usłyszałem, gdyż w tej samej chwili zamknęły się za nimi ciężkie, mahoniowe drzwi.

Wcisnąłem owinięty szmatą mikrofon do kieszeni kombinezonu i pociągnąłem za okno. Nie było zamknięte na zasuwkę i aby je otworzyć, nie musiałem nawet specjalnie się wysilać. Odpiąłem jeden pas mojej uprząży i wsunąłem rozdygotane nogi do wnętrza pokoju. W chwilę później odpiąłem drugi zaczep i znalazłem się względnie bezpieczny w prywatnym gabinecie Ethana Krusemarka. Ryzyko opłaciło się, odgrywanie czyściciela okien było niczym w porównaniu z doświadczeniem na sobie Ethanowskiej maestrii w dziedzinie orientalnych tortur.

Zamknąłem okno i rozejrzałem się wokoło. Mimo iż korciło mnie, aby trochę tu pomyszkować, wiedziałem, że nie jest to odpowiednia pora. Na marmurowym stoliku stała prawie nie

tknięta szklaneczka brandy Margaret. Do tego na pewno niczego nie dolewano. Syciłem się przez chwilę wspaniałym bukietem, po czym wypilem mały łyk. Koniak jak aksamitny ogień przepłynął po moim języku. Wypilem wszystko trzema łykami. Brandy było stare, drogie i zasługiwało na lepsze potraktowanie, ale bardzo mi się spieszyło.

Rozdział dwudziesty ósmy

Sekretarka o blond włosach zignorowała mnie, kiedy trzasnąłem polerowanymi, mahoniowymi drzwiami. Być może przywykła, że czyściciele okien wychodzą bezceremonialnie z biura jej szefa. Na korytarzu wpadłem nawet na samego Ethana Krusemarka, wracającego do swego gabinetu. Facet wypinał się tak, jakby pierś jego szarego, flanelowego garnituru obwieszona była rzędem medali. Mijając mnie, chrząknął głośno. Zapewne przypuszczał, że będę mu się kłaniał.

Zamiast tego warknąłem krótko: — Pierdol się — ale spłynęło to po nim jak woda po kaczce.

Wychodząc, posłałem głośno całusa recepcjonistce, siedzącej na swoim krześle sztywno, jakby połknęła kij. Skrzywiła się w taki sposób, że można było pomyśleć, iż ma w ustach pełno paskudnych robali, ale dwóch komiwojażerów chłodzących zelówki w dwóch identycznych fotelach uznało mój gest za całkiem miły. Przebrałem się w składziku w takim tempie, że sam Superman mógłby mi pozazdrościć. Nie miałem czasu na przepakowanie aktówki, dlatego wsunąłem rewolwer i mikrofon kontaktowy do kieszeni płaszcza, pozostawiając kombinezon i uprząż zabezpieczającą wciśnięte do pogiętego wiaderka. W windzie przypominałem sobie o krawacie i zawiązałem go „na pamięć”, bo nie było tu lustra.

Wszedłem na ulicę, ale nigdzie nie dostrzegłem Margaret Krusemark. Wspomniała o odwiedzeniu Saksa, dlatego uznałem, że musiała złapać taksówkę. Postanowiwszy dać jej czas na ewentualną zmianę decyzji, przeszedłem wzdłuż Lexington do Grand Centrali wszedłem bocznym wejściem. Zszedłem do Baru

pod Ostrygą i zamówiłem tuzin na połówkach skorup. Uwinąłem się z nimi szybko. Wypiłem sok z pustych skorup i zamówiłem jeszcze pół tuzina. Z tymi już się nie spieszyłem. Dwadzieścia minut później odsunąłem od siebie talerz i podszedłem do aparatu telefonicznego. Wybrałem numer Margaret Krusemark i odłożyłem słuchawkę dopiero po dziesiątym sygnale. Była bezpieczna, u Saksa. Może przed powrotem do domu zahaczy jeszcze o Bonwita i Bergdorfa.

Pociągami, który niemiłosiernie wytrząsał moje napęczniałe od ostryg ciało, dojechałem na Times Square, a stamtąd lokalnym BMT dotarłem na 57. Z budki na rogu zadzwoniłem do Margaret Krusemark, ale i tym razem nikt nie odebrał. Mijając wejście do budynku przy 7 Alei 881, zauważyłem trzy osoby czekające na windę. Dotarłem do rogu 56, zapaliłem papierosa i ruszyłem w przeciwnym kierunku. Tym razem hol był pusty. Ruszyłem na górę schodami pożarowymi. Nie chciałem ryzykować, że zapamiętają mnie operatorzy windy.

Wspinaczka na dziesiąte piętro nie jest zła, jeżeli trenuje się przed maratonem, ale to naprawdę nic przyjemnego, gdy w żołądku objaja się i kozłuje osiemnaście zjedzonych ostryg.

Szedłem powoli, odpoczywając co parę pięter, otoczony kakofoniczną mieszanką dźwięków z tuzina prowadzonych w kilku różnych salach lekcji muzyki.

Dotarwszy do mieszkania Margaret Krusemark, byłem zdyszany, a serce tłukło mi się w piersi jak ustawiony na maksymalną prędkość metronom. W korytarzu nie było nikogo. Otworzyłem aktówkę i założyłem rękawiczki chirurgiczne. Zamek należał do standardowych. Kilkakrotnie nacisnąłem dzwonek, zanim wybrałem spośród bogatego zestawu spekluczy te, które mogły mi się przydać.

Trzeci z podrobionych okazał się właściwy. Zabrałem swoją aktówkę, wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. W powietrzu unosiła się wszechogarniająca woń eteru. Ten zapach przywołał we mnie wspomnienia z pobytu w szpitalu. Wyjąłem z kieszeni rewolwer i ruszyłem wzdłuż ściany do mrocznego foyer. Nie potrzebowałem Sherlocka Holmesa, aby się zorientować, że coś tu jest nie tak.

Margaret Krusemark nie pojechała na zakupy. Leżała na wznak w nasłonecznionym saloniku, rozciągnięta na niskim stoliku do kawy pod rozłożystymi palmami. Kanapka, gdzie piliśmy herbatę, przesunięta była pod ścianę, tak że kobieta znajdowała się obecnie pośrodku dywanu, jak postać złożona na ołtarzu. Jej prosta, wiejska bluzka była rozdarta, a drobne, blade piersi stanowiłyby całkiem miły widok dla oka, gdyby nie postrzępiona paskudna, rana, ziejący otwór ciągnący się od przepony aż do połowy mostka. Rana była obramowana krwią, czerwone strużki ściekły po żebrach kobiety, by rozlać się pod stolikiem w wielką kałużę. Dobrze przynajmniej, że miała zamknięte oczy.

Schowałem rewolwer i dotknąłem koniuszkami palców szyi kobiety. Przez cienki lateks wciąż czułem słabe ciepło. Rysy jej twarzy były spokojne, zupełnie jakby wróżka tylko spała, a na jej ustach błąkał się cień uśmiechu. Zegar kominkowy na drugim końcu pokoju wybił godzinę. Była już piąta. Narzędzie zbrodni znalazłem pod kawowym stoliczkiem. Był to aztecki sztylet rytualny z prywatnego zbioru Margaret Krusemark. Obsydianowe ostrze zmatowiało od zaschniętej krwi. Nie dotknąłem go. Nie zauważyłem żadnych śladów walki. Kanapę przesunięto bardzo starannie. Nietrudno było zrekonstruować przebieg morderstwa.

Margaret Krusemark zmieniła zdanie co do zakupów. Wróciła prosto do domu. Morderca czekał już na nią w mieszkaniu. On lub

ona zaskoczyła ofiarę od tyłu i uspiła, przykładając do ust szmatkę nasączoną eterem. Maggie straciła przytomność, zanim zdążyła stawić opór napastnikowi. Zmięty dywanik modlitewny w pobliżu wejścia wskazywał wyraźnie, skąd zaciągnięto ją do pokoju. Starannie, niemal z namaszczeniem zabójca ułożył ją na stoliku i poodsuwał meble, aby mieć dostatecznie dużo miejsca do działania. Rozejrzałem się uważnie dookoła. Miałem na to dość czasu. Chyba niczego nie brakowało. Zbiór okultystycznych artefaktów Margaret Krusemark wydawał się nie tknięty. Tylko obsydianowy sztylet nie leżał na swoim miejscu, a ja wiedziałem, gdzie mogę go znaleźć. Żadna z szuflad nie była otwarta, nie przetrząśnięto ani jednej szafy. Nie usiłowano nadać temu morderstwu charakteru napadu rabunkowego. I nagle coś odnalazłem, przy wysokim oknie między rododendronem a delfinią. U podstawy wysokiego, spiżowego helleńskiego trójnogu błyszcząca bryła okrwawionych mięśni wielkości zniekształconej piłki tenisowej. Wyglądała jak coś, co mógł przy wlec tu jakiś pies i dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, co to było. Od tej pory Walentynki nigdy nie będą dla mnie tym samym. To było serce Margaret Krusemark.

Taka prosta rzecz — ludzkie serce. Działa dzień w dzień, rok po roku, aż pojawi się ktoś i wyrwie je z piersi, a wtedy wygląda jak kawał mięsa dla psów. Odwróciłem się od pompy Margaret Krusemark, czując, jak zjedzone ostrygi podchodzą mi do gardła.

Pomyszkowałem tu i tam, aż w plecionym koszu na śmieci stojącym w holu odnalazłem nasączoną eterem szmatkę. Zostawiłem ją tam dla chłopaków z wydziału zabójstw. Niech ją sobie zabiorą na śródmiejski komisariat wraz z tym kawałem martwego mięsa i sprawdzą w laboratorium. Potem czeka ich wypełnianie raportów. W trzech egzemplarzach. To była ich praca, nie moja.

W kuchni nic nie przykuło mojej uwagi. Wyglądała pospolicie — książki kucharskie, garnki i patelnie, rząderek pojemników z przyprawami, w zamrażalniku jakieś resztki. Torba reklamowa od Bloomingdale'a wypełniona śmieciami, ale nic w nich nie było — fusy po kawie i kości kurczaka.

Sypialnia wydała mi się dużo ciekawsza. Łóżko było nie posłane, zmięte prześcieradła wydzielały ostrą woń potu i seksu. Wiedźma miała swoich czarowników. W małej przyległej łazience znalazłem plastikowe opakowanie po jej diafragmie. Skoro dziś rano uprawiała seks, wciąż musiała mieć ją w sobie. Chłopcy z komisariatu odnajdą ją również.

Apteczka miała tak obszerną zawartość, że najrozmaitsze buteleczki stały również na półkach po obu stronach lustra nad zlewem. Aspiryna, proszki przeciwbólowe, mleczko magnezjowe i małe fiolki lekarstw na recepty walczyły o kawałek przestrzeni ze słojami wypełnionymi cuchnącymi proszkami, zaopatrzonymi w tajemnicze, alchemiczne symbole. W metalowych puszkach przechowywane były różne aromatyczne zioła. Po zapachu rozpoznałem jedynie miętę. Na paczce chusteczek higienicznych leżała żółta, szczerząca się do mnie czaszka. Obok tampaksów na szafce stał móździerz i tłuczek. Na pokrywie rezerwuaru toalety leżały: obosieczny sztylet, egzemplarz „Vogue”, szczotka do włosów i cztery grube, czarne świece. Za stoikiem kremu do twarzy natrafiłem na odciętą ludzką rękę. Ciemna i pomarszczona, leżała tam jak porzucona rękawiczka. Okazała się tak lekka, że w pierwszej chwili prawie ją upuściłem. Nigdzie nie dostrzegłem oka traszki, ale to nie znaczy, że go tam nie było. Po prostu nie szukałem zbyt skrupulatnie. W sypialni znajdowała się niewielka nisza, jej gabinet pracy. Horoskopy klientów wypełniające jedną z katalogowych szafek na nic nie mogły mi się przydać. Zajrzałem

pod F, szukając nazwiska Favorite, i pod L, licząc na odnalezienie Lieblinga. Bez powodzenia. Odnalazłem tu również mały rząderek fachowych książek i tekstów oraz szklaną kulę. Książki oparte były o zamkniętą alabastrową szkatułkę wielkości pudełka cygar. Na pokrywie wyrzeźbiony był trzygłowy wąż.

Przekartkowałem książki, w nadziei że odnajdę coś ukrytego między ich stronicami, ale i tym razem nie dopisało mi szczęście. Kiedy przeglądałem papiery rozrzucone na blacie biurka, moją uwagę przykuł mały, zadrukowany listownik z czarną obwódką. U góry widniał krąg z odwróconą, pięcioramienną gwiazdą. W pentagram wpisany był łeb kozła. Poniżej ozdobne litery układały się w słowa MISSA NIGER. Tekst był po łacinie. U dołu widniały cyfry III. XXII. MCMLIX. To była data. Niedziela Palmowa. Zostały do niej jeszcze cztery dni. Koperta z takim samym nadrukiem zaadresowana była do Margaret Krusemark. Wsunąłem kartonik do środka i włożyłem do aktówki. Większość papierów na biurku stanowiły przygotowywane gwiazdne obliczenia i horoskopy. Przejrzałem je obojętnie i nagle wpadł mi w ręce horoskop z moim nazwiskiem. Czy porucznik Sterne nie chciałby dostać go w swoje ręce? Powinienem był go spalić albo spuścić w toalecie, ale ja, zamiast tego, jak głupiec włożyłem go do aktówki. Znaleziony horoskop zasugerował mi, że powinienem sprawdzić kalendarz spotkań Margaret Krusemark. I rzeczywiście — poniedziałek, szesnastego — godz. 13.30 H. Angel. Wyrwałem tę kartkę i dołożyłem ją do zawartości aktówki. Zgodnie z zapisem w kalendarzu, jeden z umówionych klientów Maggie miał odwiedzić ją dziś o wpół do szóstej. Mój zegarek spieszył się o parę minut, ale dochodziło już dwadzieścia po piątej. Uznałem, że najwyższa pora zwinąć żagle. Wychodząc, zostawiłem drzwi mieszkania lekko uchylone. Niech ktoś inny znajdzie ciało i zawiadomi policję. Nie

chciałem przyłożyć do tego ręki. Nie chciałem mieszać się w całe to bagno. Nic z tego. Przecież i tak siedziałem już w nim po uszy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nie musiałem się spieszyć, idąc po schodach pożarowych. Miałem już dość ćwiczeń jak na jeden dzień. Znalazłszy się w holu, nie wyszedłem na ulicę, ale wybrałem wąskie przejście prowadzące do Carnegie Tavern. Po znalezieniu trupa zawsze strzelam sobie kielicha. To stara rodzinna tradycja.

Było tam tłoczno, trwała jednak „szczęśliwa godzinka”. Przy użyciu łokci doczłapałem do baru i zamówiłem podwójny Manhattan z lodem. Kiedy go dostałem, pociągnąłem długi łyk i zacząłem na paluszkach przedzierać się z powrotem, a ściślej mówiąc, kierowałem się w stronę aparatu telefonicznego.

Wybrałem numer Epiphany Proudfoot i dopiłem drinka, wsłuchując się w powtarzający się sygnał. Było coś złowieszczonego w tym, że do nikogo nie mogłem się dodzwonić. Odłożyłem słuchawkę, myśląc o Margaret Krusemark rozplątanej jak świąteczny indyk dziesięć pięter wyżej. Jej numer był ostatnim, który nie odpowiadał. Zostawiłem szklaneczkę na półce pod aparatem i przebiełem się na ulicę.

Pół przecznicy dalej ktoś wysiadał z taksówki przed przypominającym meczet City Center Theatre. Zawołałem i taryfa zaczęła z otwartymi drzwiczkami, choć musiałem podbiec, aby wyprzedzić gotową na wszystko kobietę pędzącą z przeciwnej strony ulicy, wymachującą fikuśną parasolką.

Taksiarz był Murzynem, który nawet nie mrugnął okiem, kiedy kazałem mu zawieźć się na róg 123 i Lenox. Pewno myślał, że to mój pogrzeb, i cieszył się, że dostanie ode mnie ostatni napiwek. Z radia tranzystorowego na przednim siedzeniu płynął szczekot

jąkającego się dyskdzokeja stacji WOV: „to przekaźnikowa super stacja, super stacja jak ta nacja. . .”.

W dwadzieścia minut później taksjarsz wysadził mnie przed sklepem Proudfootów i czym prędzej odjechał w upojnym rytmie rhythm and bluesa. Sklep wciąż był zamknięty, długa zielona stora zaciągnięta za przeszklonymi drzwiami zwieszała się jak opuszczona na znak porażki flaga. Zapukałem i poruszałem klamkę. Bezskutecznie.

Epiphany wspomniała o mieszkaniu nad sklepem, dlatego poszedłem do wejścia i sprawdziłem nazwiska na skrzynkach listowych w holu. Proudfoot 1 D — trzecia po lewej. Drzwi w holu nie były zamknięte na klucz. Wszedłem do środka.

Wąsko okafelkowany korytarz cuchnął uryną i gotowanymi świńskimi nóżkami. Wspiąłem się po nadgryzionych zębem czasu marmurowych stopniach na piętro i usłyszałem, jak ktoś na górze spuszcza wodę w toalecie. Mieszkanie 1 D znajdowało się po drugiej stronie podestu. Nadusiłem na wszelki wypadek przycisk dzwonka, ale nikt mi nie otworzył.

Zamek nie stanowił dla mnie przeszkody. Miałem pół tuzina speckluczy, aby się z nim uporać. Naciągnąłem lateksowe rękawiczki i otworzyłem drzwi, węsząc instynktownie w poszukiwaniu eteru. Okna narożnego pokoju wychodziły na Aleję Lenox i 123. Meble były eleganckie i funkcjonalne. Mieszkanie zdobiły afrykańskie rzeźby w drewnie.

Łóżko w sypialni było starannie posłane. Po obu stronach klonowej toaletki wisały powykrzywiane maski. Przetrzęsnałem szuflady komódki i szafę, ale nie znalazłem niczego oprócz ubrań i rzeczy osobistych. Na nocnym stoliku stało kilka oprawnych w srebrne ramki zdjęć, przedstawiających tę samą wyniosłą kobietę o wspaniałych rysach. Miała coś z Epiphany w lirycznym skrzywieniu

ust, ale jej nos był bardziej spłaszczony, a oczy rozszerzone i dzikie jak u osoby opętanej przez złe moce. Patrzyłem na Evangeline Proudfoot. Nauczyła córkę schludności. W kuchni panował ład i porządek, nie było talerzy w zlewie ani okruchów na stole. O tym, że ktoś tu mieszkał świadczyły tylko świeże produkty żywnościowe w lodówce. W ostatnim pokoju było ciemno jak w jaskini. Włącznik światła nie działał, więc skorzystałem z latarki. Nie chciałem znowu potknąć się o zwłoki, dlatego sprawdziłem najpierw podłogę. Kiedyś musiała tu być urządzona druga sypialnia, ale to było dawno. Szyba w oknie pomalowana była na taki sam ciemnognatowy kolor jak ściany i sufit. Ponad nią widniała neonowa tęcza graffiti. Wzdłuż jednej ściany namalowane były liście i kwiaty. Po drugiej stronie ujrzałem prymitywnie wykonane syreny i ryby. Sufit zdobiły gwiazdy i półksiężycy. Pokój był świątynią voodoo. Pod jedną ze ścian umieszczono ceglany ołtarzyk. Stały na nim rzędy glinianych dzbanków, ułożone równo jak na sklepowej wystawie. Tuziny ogarków świec stały w niewielkich talerzykach poniżej kolorowych litografii katolickich świętych, przypiętych pinezkami do ściany. Przed ołtarzem w parkiet wbita była zardzewiała szabla. Po jednej stronie, nieco z boku, wisiała drewniana kula inwalidzka. O stary jedwabny cylinder oparty był wymyślny krzyż z kutego żelaza.

Na półce dostrzegłem kilka żelaznych czyneli i grzechotek z tykw. Obok nich stała cała bateria kolorowych buteleczek i słoików. Ścianę ponad ołtarzem zajmował jakby namalowany ręką dziecka wizerunek parostatku.

Pomyślałem o Epiphany w jej białej sukience, o tej dziewczynie śpiewającej i zawodzącej, podczas gdy bębny grzmiały, a marakasy, kołatki i grzechotki nuciły mroczną melodię jak węże, które sycząc, prześlizgują się wśród wysokich traw.

Przypomniałem sobie zręczny ruch jej nadgarstka i jasną fontannę koguciej krwi wytryskującą w noc. Opuszczając humfo, wetknąłem głowę w parę ozdobnych skórzano — drewnianych bębnow kongra podwieszonych u sufitu.

W szafie w przedpokoju nie znalazłem niczego ciekawego, lecz poszcęściło mi się w kuchni — natrafiłem tam na kondygnację wąskich schodów wiodących do sklepu poniżej. Rozejrzałem się trochę po zapleczu, szperając wśród zapasów suszonych korzeni, liści i proszków. Nie wiedziałem, czego właściwie mam szukać. Front sklepu był pusty i mroczny. Na szklanym kontuarze leżała sterta nie otwartej poczty. Przejrzałem ją przy świetle latarki — rachunek za telefon, kilka listów z hurtowni zielarskich, powielana depesza od kongresmana Adama Claytona i ulotka z March of Dimes. Na samym dole leżał również sztywny kartonowy plakat. Na jego widok serce zamarło mi w piersi. Na plakacie widniało oblicze Louisa Cyphre'a! Nosił biały turban. Jego skóra była zbrązowiała, jakby ogorzała od chłoszczącego ją latami pustynnego wiatru. U góry plakatu wydrukowano napis EL ÇIFR, MISTRZ NIEZNANEGO.

Informacja u dołu była dłuższa — „Niesamowity i wszechwiedzący El Çifr wygłosi jedyny wykład w Nowej Świątyni Nadziei mieszczącej się pod nr 144 przy 139 Zach., w sobotę, tj. 21 marca 1959 r., o godzinie 20.30. Serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych. WST ĘP WOLNY”. Włożyłem plakat do aktówki. Darmowy wykład. Wstęp wolny. Czyż można się temu oprzeć?

Rozdział trzydziesty

Zamknąwszy starannie mieszkanie Epiphany, ruszyłem wzdłuż 125 i przed Palm Cafe zatrzymałem taksówkę. Jazda do śródmieścia przez West Side Highway dała mi mnóstwo czasu do namysłu. Patrzyłem na Hudson, mroczniejszy niż nocne niebo i jasno oświetlone kominy luksusowych statków pasażerskich, przypominających nawodne wesołe miasteczka stojące w porcie.

Wesołe miasteczko śmierci. Przyjdź i zobacz ceremonię śmierci voodoo. Szybko, szybko, szybko, nie przeocz azteckiego rytuału ofiarnego! Tego jeszcze nie było! Cała sprawa przypominała jeden wielki jarmark. Wiedźmy i wróżki, klient z uszmińkowaną twarzą jak szejk z Arabii. Byłem frajerem zagubionym w tym makabrycznym lunaparku, oślepionym światłami i zręcznymi ruchami rąk sprytnych naganiaczy. Osobliwe mroczne wypadki tuszowały wszelkie ślady manipulacji, których i tak prawie nie dostrzegałem.

Przydałby mi się teraz bar blisko domu. Silver Raul przy 23 i 7 był rzut kamieniem ode mnie. Mogłem się tam nawet doczołgać. Nawet jeśli tuż przed zamknięciem wylądowałem na czworakach na podłodze, to tego nie pamiętam. Tajemnicą jest dla mnie również, jakim cudem znalazłem się w moim łóżku w Chelsea. Tylko sny wydawały mi się realne.

Śniło mi się, że budzą mnie dobiegające z ulicy krzyki. Podszedłem do okna i rozchyliłem zasłony. Od krawężnika do krawężnika ulicą sunął tłum ludzi, wyjących i zawodzących coś niezrozumiale jak jedna wielka wijąca się bestia. Przez ten tłum jechał wolno dwukołowy wóz, ciągnięty przez starą szkapę z

siodłowato wygiętym grzbietem. Na wozie znajdowali się mężczyzna i kobieta. Wyjąłem lornetkę z aktówki, aby się im przyjrzeć. Kobieta była Margaret Krusemark. Mężczyzną byłem ja. I nagle dzięki jakiejś magii snów znalazłem się na tym wozie, zaciskałem dłonie na szorstkich, drewnianych poręczach, podczas gdy bezosobowa cizba przepływała wokół nas jak fale rozjuszonego morza. Margaret Krusemark uśmiechnęła się kusząco z drugiego końca wozu. Byliśmy tak blisko, że prawie się dotykaliśmy. Czy była czarownicą, którą wieziono na stos? Czyja byłem katem?

Wóz toczył się dalej. Ponad głowami tłumu ujrzałem wznoszącą się nad stopniami gmachu YMCA Mc Burneya, niemożliwą do pomylenia z niczym innym — gilotynę. Rządy terroru. niesprawiedliwie skazani. Wóz stanął u stóp szafotu. Brutalne dłonie bezceremonialnie zwlokły z niego Margaret. Tłum zaszemrał i pozwolono jej wejść samej po stopniach na szafot.

Mój wzrok przykuł jeden z rewolucjonistów znajdujący się w pierwszym rzędzie widzów. Był ubrany na czarno i uzbrojony w pikę. Był to Louis Cyphre. Jego czapka wolności była przekrzywiona pod dziwacznym kątem i ozdobiona dumną trójkolorową kokardą. Kiedy mnie dostrzegł, machnął piką i uklonił się ironicznie. Nie obserwowałem tego, co działo się na szafocie. Grzmiały werble, ostrze spadło ze świstem, a kiedy uniosłem wzrok, kat stanął plecami do mnie, prezentując głowę Margaret Krusemark rozentuzjasmowanemu tłumowi. Usłyszałem swoje nazwisko i zszedłem z wozu, aby zrobić miejsce na trumnę. Louis Cyphre uśmiechnął się. Bawił się setnie. Szafot był śliski od krwi. O mało się nie poślizgnąłem, kiedy odwróciłem się w stronę rzucającego obelgi tłumu. Żołnierz schwycił mnie za ramię i delikatnie skierował w stronę deski:

— Musisz się położyć, synu — rzekł kapłan.

Ukląłem do ostatniej modlitwy. Kat stanął obok mnie. Podmuch wiatru uniósł przód jego czarnego kaptura. Rozpoznałem te wypomadowane włosy i drwiący uśmiech. Katem był Johnny Favorite!

Obudziłem się, krzycząc głośniej, niż dzwonił telefon. Rzuciłem się w jego stronę jak tonący do rzuconego mu koła ratunkowego.

— Halo? Halo? Czy to Angel? Harry Angel? — To był Herman Winesap, mój ulubiony adwokat.

— Przy telefonie. — Miałem wrażenie, że moje usta są o kilka numerów za małe w stosunku do języka.

— Boże, człowieku, gdzieżeś się podziewał? Wydzwaniam do pańskiego biura od paru godzin.

— Spałem.

— Spał pan? Już prawie jedenasta.

— Pracowałem do późna — odrzekłem. — Detektywi nie mają tych samych godzin pracy co mecenas z Wall Street.

Nawet jeżeli się zjeżył, był dostatecznie dobrym aktorem, by nie dać tego po sobie poznać.

— Szanuję to. Musi pan wykonywać swoje zadanie tak, jak sam uzna to za stosowne.

— Co jest tak ważne, że nie mógł pan zostawić mi wiadomości?

— Wczoraj wspomniał pan, że chce spotkać się z panem Cyphrem.

— Zgadza się.

— Zaproponował, aby zjadł pan z nim dzisiaj lunch.

— W tym samym miejscu co poprzednio?

— Nie. Pan Cyphre uznał, że powinien panu smakować obiad w Le Voisin. Przy Park 575.

— O której?

— O pierwszej. Zdąży pan, jeśli tylko znów nie położy się spać.

— Przyjdę.

Winesap odłożył słuchawkę bez typowego dlań, wymyślnego pożegnania. Zwlokłem obolałe członki z łóżka i podreptałem pod prysznic. Dwadzieścia minut pod gorącym prysznicem i trzy filiżanki czarnej kawy sprawiły, że poczułem się prawie jak istota ludzka. Ubrany w odprasowany brązowy, samodziałowy garnitur, świeżą białą koszulę prosto z pralni i nie zaplamiony krawat, byłem gotów pojawić się w progu najbardziej snobistycznej francuskiej restauracji.

Pojechałem do północnej dzielnicy przez Park, stary tunel kolejowy pod Murray Hill i wiadukt samochodowy, opasujący z obu stron Grand Central jak rozszczepiona górską autostrada. Cztery przecznice dalej szczytowa kopuła New York Central Building kończyła Park Avenue, przypominając gotycko — kroksztynowy wykrzyknik. Z tamtejszego wyjazdu wylewał się sznur samochodów na górną część Park, aleję, która z posępnego wąwozu o ceglano — betonowych ścianach stawała się aseptycznym pasmem przeszklonych drapaczy chmur.

Znalazłem wolne miejsce na parkingu przy Christian Science Church na rogu 63 i Park, i ruszyłem na wschód, przecinając aleję. Le Voisin mieściła się pod adresem na Park Avenue, ale wejście do restauracji było od strony 63. Wszedłem i oddałem mój płaszcz oraz aktówkę. Wszystko w tym miejscu wydawało się sztywne, egzaltowane i dystyngowane.

Główny kelner powitał mnie z dyplomatyczną rezerwą. Podałem mu nazwisko Louisa Cyphre'a, a on poprowadził mnie obok stołu z pasztecikami do stolika w sali bankietowej. Cyphre wstał, kiedy zobaczył, że się zbliżamy. Miał na sobie szare

flanelowe spodnie, niebieski marynarski blezer i czerwono — zielony jedwabny fular. Kieszonkę na jego piersi zdobił haftowany symbol klubu tenisowego. W klapie nosił małą złotą gwiazdę. Odwróconą.

— Miło mi znów pana widzieć, Angel — rzekł, podając mi dłoń.

Usiedliśmy i zamówiliśmy coś do picia. Ja wybrałem na kaca butelkę importowanego piwa, Cyphre poprosił o campari z wodą sodową. Czekając, rozmawialiśmy o tym i owym. Cyphre opowiedział mi o swoich planach podróży zagranicznej w okresie Wielkiego Tygodnia.

Paryż, Rzym, Watykan. Stwierdził, że obchody Niedzieli Wielkanocnej w katedrze św. Piotra były doprawdy wspaniałą ceremonią. Miał nawet w planach spotkać się z papieżem. Spojrzałem na niego bez wyrazu i wyobraziłem sobie jego patrycjuszowskie oblicze ozdobione turbanem. El Çifr, Mistrz Nieznanego, spotyka Jego Świątobliwość, najwyższego dostojnika Kościoła katolickiego.

Kiedy podano drinki, zamówiliśmy lunch. Cyphre zwracał się do kelnera po francusku i nie rozumiałem, co mówił. Znałem ten język tylko na tyle, by przewertować kartę, i zamówiłem tournedos Rossini oraz sałatkę z cykorii. Kiedy zostaliśmy sami, Cyphre rzekł:

— A teraz, panie Angel, chciałbym usłyszeć pełny raport o pańskich dotychczasowych dokonaniach. Uśmiechnął się i upił łyk rubinowoczerwonego drinka.

— Dużo by mówić. To był długi tydzień i jeszcze się nie skończył. Doktor Fowler nie żyje. Oficjalnie popełnił samobójstwo, ale nie postawiłbym na to złamanego szeląga.

— A to czemu? Facet został zdemaskowany, jego kariera była zagrożona.

— Miały miejsce jeszcze dwa inne zgony, a raczej dwa

morderstwa, oba są związane z tą sprawą.

— Zakładam, że nie odnalazł pan Jonathana?

— Jeszcze nie. Sporo się o nim dowiedziałem, choć nie są to zbyt zachęcające informacje.

Cyphre zamieszał swego drinka.

— Uważa pan, że on wciąż żyje?

— Na to wygląda. W poniedziałek wieczorem wybrałem się do Harlemu, aby zadać kilka pytań staremu pianiście jazzowemu nazwiskiem Edison Sweet. Widziałem go razem z Favorite'em na starym zdjęciu sprzed lat i to mnie zaciekało. Powęszyłem trochę i okazało się, że Sweet był członkiem tajnej sekty wyznawców voodoo. To nie były żadne bajery, widziałem i słyszałem wszystko — tam — tamy, ofiara z koguta i cała reszta. W latach czterdziestych Johnny Favorite też uczestniczył w takich spotkaniach. Kręcił z pewną kapłanką voodoo nazwiskiem Evangeline Proudfoot, która była naprawdę w tym dobra. Dowiedziałem się tego wszystkiego od Tootsa Sweeta. Następnego dnia został zamordowany. Wyglądało to na zabójstwo rytualne, ale ktoś, kto tego dokonał, pomieszał vévé.

— Vévé? — Cyphre uniósł brew.

— Mistyczne symbole voodoo. Nabazgrał je krwią zabitego na wszystkich ścianach. Ekspert stwierdził, że były fałszywe. To była zmyłka. Na dodatek dość nieudolna.

— Wspomniał pan o drugim morderstwie.

— Zaraz do tego dojdę — to był mój drugi trop. Zainteresowałem się przyjaciółką Favorite'a z towarzystwa i ruszyłem tym właśnie tropem. Odnalezienie jej zajęło mi trochę czasu, mimo iż miałem ją stale w zasięgu ręki. Zajmowała się astrologią. Nazywała się Margaret Krusemark.

Cyphre wychylił się do przodu, jak ciekawski, spragniony

nowych plotek. — Córka tego potentata żeglugowego?

— Właśnie.

— Niech pan opowie mi, co się stało.

— Jestem prawie pewien, że to ona z ojcem zabrali Favorite'a z kliniki w Poughkeepsie. Wybrałem się do niej jako klient, udając, że chcę zamówić sobie horoskop, ale ona przez cały czas sprytnie mnie zwodziła. W końcu jednak ją przejrzałem, a kiedy poukładałem sobie wszystko jak należy i wróciłem do jej mieszkania, żeby poszperać i być może znaleźć jakiś istotny ślad. . .

— Włamał się pan?

— Wszedłem na pasówkę.

— Że co?

— Użyłem specklucza.

— Rozumiem — rzekł Cyphre. — Proszę kontynuować.

— Dobra. Wszedłem do jej mieszkania z zamiarem przeczesania go, ale moje plany równo wzięły w łeb. Ona leżała w saloniku, sztywna jak deska. Była martwa. Ktoś wyciął jej serce. Nawiasem mówiąc, później je znalazłem.

— To odrażające. — Cyphre otarł usta serwetką. — W dzisiejszej gazecie nie było nawet wzmianki o jakimś sercu.

— Chłopcy z wydziału zabójstw utajniają pewne szczegóły, aby wyrugować z kręgu podejrzanych przyznających się do popełnionych morderstw świrów i rozmaitych oszustów.

— Wezwał pan policję? W artykule nie natrafiłem na informację o panu.

— Nikt nie wie, że tam byłem. Dałem nogę. Może to i niezbyt rozsądne, ale gliny łączą mnie już z zabójstwem Tootsa Sweeta i nie chciałem zwałać sobie na głowę drugiego sztywniaka. Mogliby się nagle stać dziwnie nad opiekuńczy.

Cyphre zasępił się. — A jak właściwie powiązano pańską osobę

z zabójstwem Sweeta?

— Dałem mu moją wizytówkę. Gliniarze znaleźli ją w jego mieszkaniu.

Cyphre nie wydawał się uszczęśliwiony.

— A ta Krusemark? Jej również dał pan wizytówkę?

— Nie. Tu jestem czysty. Zapisała, co prawda, moje nazwisko w swoim kalendarzu i nawet sporządziła horoskop, ale już je stamtąd zwinąłem.

— Gdzie one są teraz?

— W bezpiecznym miejscu. Niech się pan nie martwi.

— Czemu ich pan nie zniszczył?

— W pewnej chwili miałem taki zamiar. Ale ten horoskop może jeszcze dokądś mnie zaprowadzić. Kiedy Krusemark zapytała mnie o datę urodzenia, podałem jej dane Favorite'a.

W tej samej chwili zjawiał się kelner z zamówieniami. Jak zręczny prestidigitator rozkładał nakrycia, pojawił się również kelner z winem, przynosząc butelkę Bordeaux. Cyphre powtórzył rytuał z obwąchiwaniem korka i jak kiper upił najpierw mały łyk, na próbę, i dopiero potem z aprobatą pokiwał głową. Napełniono dwa kieliszki, po czym kelnerzy wycofali się bezszelestnie jak doliniarze, pracujący w tłumie „frajerów”.

— Château Margaux rocznik czterdziesty siódmy — rzekł Cyphre. Wspaniały rok dla Haut — Medoc. Pozwoliłem sobie dość swobodnie skądinąd zamówić wino, które w moim mniemaniu będzie pasować do dań wybranych przez nas obu.

— Dzięki — mruknąłem. — Nie jestem koneserem wina.

— To będzie panu smakować. — Uniósł kieliszek. — Za pańskie dalsze sukcesy. Mam nadzieję, iż kiedy skontaktowała się z panem policja, zdołał pan dyskretnie pominąć moje nazwisko?

— Kiedy usiłowali je ze mnie wycisnąć, podałem im nazwisko

Winesapa i powiedziałem, że pracuję dla niego. W ten sposób, jak adwokat, mogłem odwołać się do prawa odmowy wyjaśnienia szczegółów objętych tajemnicą zawodową.

— Bystry pan jest, panie Angel. I jakie wyciągnął pan wnioski?

— Wnioski? Nie wyciągnąłem żadnych wniosków.

— Sądzi pan, że to Jonathan zabił tych wszystkich ludzi?

— Bynajmniej.

— Dlaczego nie? — Cyphre nabił na widelec kawałek pasztetu.

— Ponieważ to wszystko wygląda mi na robotę na zlecenie.

Wydaje mi się, że ktoś zwyczajnie wystawia tego Favorite'a.

— Ciekawa hipoteza.

Upiłem łyk wina i napotkałem lodowate spojrzenie mego rozmówcy.

— Kłopot w tym, że nie wiem dlaczego. Odpowiedzi są pogrzebane w przeszłości.

— Proszę je odgrzebać. Kop pan, śmiało.

— Moje zadanie byłoby dużo łatwiejsze, panie Cyphre, gdyby przestał pan w końcu ukrywać prawdę.

— Że co proszę?

— Niewiele mi pan pomógł. Wszystkiego, co wiem o Johnnym Favoricie, musiałem mozolnie dowiedzieć się na własną rękę. Nie dał mi pan choćby jednej wskazówki, choćby jednego marnego tropu. A przecież trzymał pan z nim. Mieliście jakiś układ. Pan i ten prosty chłopak, sierota, który nosi w aktówce czaszkę i grzebie w gołębich flakach. Sporo pan przede mną zataił. I wciąż pan zataja.

Cyphre skrzyżował sztucce na swoim talerzu.

— Kiedy pierwszy raz spotkałem Jonathana, pracował jako posługacz. Nic mi nie wiadomo o czaszce, którą rzekomo miał nosić w walizce. Z przyjemnością odpowiedziałbym panu na każde pytanie, ale najpierw musiałyby je pan zadać.

— Dobrze. W takim razie dlaczego nosi pan symbol odwróconej gwiazdy?

— To? — Cyphre spojrział na złoty emblemat. Odwrócił ją starannie.

— To znaczek Synów Republiki, jednej z tych zagorzałych organizacji patriotycznych. Uczynili mnie honorowym członkiem, ponieważ zdarzyło mi się kiedyś złożyć szczodry datek na ich kampanię propagandową. Nigdy nie zaszkodzi wykazać się szczerym patriotyzmem. Cyphre wychylił się do przodu, uśmiech miał bielszy niż aktorzy z telewizyjnych reklam pasty do zębów.

— We Francji zawsze noszę trójkolorową kokardę. Spojrzałem na jego oszłamiający uśmiech, a Cyphre mrugnął do mnie. W tej samej chwili lodowaty dreszcz zgrozy przeszył mnie od stóp do głów jak prąd elektryczny. Zamarłem, nie mogłem się nawet poruszyć, zahipnotyzowany nieskalanym uśmiechem Cyphre'a. To był uśmiech spod szafotu.

„We Francji zawsze noszę trójkolorową kokardę”.

— Nic panu nie jest, panie Angel? Jakby trochę pan pobladł.

Bawił się ze mną, uśmiechając się jak Kot z Cheshire. Splotłem dłonie na podołku, żeby nie zobaczył ich drżenia.

— Chyba coś źle przełknąłem — powiedziałem. — Utkwiło mi w gardle.

— Musi pan być ostrożniejszy. W ten sposób można się udusić.

— Nic mi nie jest. Nie ma się czym przejmować. Nic mnie nie powstrzyma przed dotarciem do prawdy.

Cyphre odsunął swój talerz z nie dojedzonym pasztetem.

— Prawda, panie Angel, to nieuchwytna zdobycz.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Odpuściliśmy sobie deser na rzecz brandy i cygar. Panatele Cyphre'a były tak dobre jak ich aromat. Nie rozmawialiśmy więcej o sprawie. Staralem się zakończyć nasze spotkanie w możliwie najlepszym nastroju, choć strach zaległ się w moich trzewiach jak cysta. Czy drwiące mrugnięcie było tylko wytworem mojej wyobraźni? Jasnowidzenie to najstarsza z cyrkowych sztuczek, ale świadomość tego nie uspokajała moich drżących palców.

Wspólnie opuściliśmy restaurację. Srebrnoszary rolls czekał przy chodniku. Szofer w uniformie otworzył Louisowi Cyphre'owi tylne drzwiczki.

— Będziemy w kontakcie — rzekł, uściskawszy moją dłoń, zanim zniknął w rozległym wnętrzu limuzyny. Było ono urządzone jak salon ekskluzywnego klubu — w skórze i polerowanym drewnie. Stałem na chodniku, patrząc, jak znikają za rogiem.

Chevy wydał mi się obskurny i zdezelowany, kiedy uruchomiłem silnik i ruszyłem z powrotem do śródmieścia. Cuchnął jak wnętrze taniego kina przy 42 — stęchłym tytoniem i zapomnianymi wspomnieniami. Jechałem wzdłuż 5, za zielonym pasem pozostałym po paradzie sprzed dwóch dni. Przy 45 skręciłem na zachód. W połowie ulicy między 6 a 7 był parking. Znalazłem tam sobie miejsce.

W wewnętrznym gabinecie mego biura zastałem śpiącą na brązowej kanapie Epiphany Proudfoot. Miała na sobie szarą satynową bluzkę z szerokim kołnierzem i wiśniowy wełniany komplecik. Na podłodze stała droga skórzana torebka. Czoło dziewczyny było ponętnie zmarszczone, nogi podkuliła pod siebie,

ramiona miała skrzyżowane. Wyglądała przepięknie, jak drewniana figura zdobiąca dziób starego żaglowca. Dotknąłem delikatnie jej ramienia i zatrzepotała powiekami.

— Epiphany?

Otworzyła szeroko oczy, błyszczące jak polerowany bursztyn.

Uniosła głowę:

— Która godzina? — zapytała.

— Prawie trzecia.

— Już tak późno? Byłam strasznie zmęczona.

— Jak długo tu czekasz?

— Od drugiej. Nie przestrzegasz regularnych godzin pracy.

— Miałem spotkanie z klientem. Gdzie byłeś wczoraj po południu? Zajrzałem do sklepu, ale nikogo tam nie było.

Usiadła i opuściła stopy na podłogę. — Byłam u kogoś. U przyjaciela. Bałam się zostać w domu.

— Dlaczego?

Epiphany spojrzała na mnie jak na opóźnione w rozwoju dziecko.

— A jak ci się zdaje? — spytała. — Najpierw ktoś zabił Tootsa. Potem dowiedziałam się z wiadomości, że zamordowano kobietę, która była zaręczona z Johnnym Favorite'em. Z tego co wiem, ja jestem następna.

— Czemu nazwałaś ją kobietą, która była zaręczona z Johnnym Favorite'em? Nie wiesz, jak się nazywała?

— A skąd miałabym wiedzieć?

— Nie igraj ze mną, Epiphany. Szedłem za tobą aż do mieszkania Margaret Krusemark, kiedy wyszłaś stąd nie dalej niż wczoraj. Podśledzałem waszą rozmowę. Robisz ze mnie idiotę.

Jej nozdrza rozděły się, a w oczach odbiło się światło, tak że rozbłysły niczym drogie klejnoty.

— Próbuję ocalić swoje życie!

— Gra po obu końcach przeciwko środkowi to niezbyt dobry pomysł, aby tego dokonać. A nawiasem mówiąc, co udało ci się wykombinować do spółki z Margaret Krusemark?

— Nic. Do wczoraj nie wiedziałam nawet, kim była.

— Wymyśl coś lepszego, Epiphany.

— Co? Wymyśl? — Epiphany obeszła niskie biurko. — Po tym, jak wczoraj zadzwoniłam do ciebie, odebrałam telefon od tej kobiety, jak jej tam, Margaret Krusemark. Powiedziała, że była dawną przyjaciółką mojej matki. Chciała przyjechać i spotkać się ze mną, ale ja powiedziałam, że muszę wybrać się do śródmieścia, dlatego zaprosiła mnie, żebym wpadła do niej w wolnej chwili. Dopiero na miejscu usłyszałam o Johnnym Favoricie. To wszystko prawda.

— W porządku — mruknąłem. — Wierzę ci na słowo. Nikt zresztą nie stara się temu zaprzeczyć. Gdzie spędziłaś ubiegłą noc?

— W Plaza. Pomyślałam sobie, że szpanerski hotel będzie ostatnim miejscem, gdzie ktoś mógłby szukać czarnej dziewczyny z Harlemu.

— Wciąż tam mieszkasz?

Epiphany pokręciła głową. — Nie stać mnie. Poza tym nawet tam nie czułam się bezpieczna. Nie zmrużyłam oka.

— Musisz czuć się tu bezpiecznie — stwierdziłem. — Kiedy wszedłem, spałaś jak niemowlę.

Sięgnęła delikatną dłonią i wygładziła kołnierz mojego płaszcza.

— Teraz, kiedy wróciłeś, czuję się dużo bezpieczniej.

— Jestem twoim wielkim, odważnym detektywem?

— Nie schlebiaj sobie. — Epiphany ujęła obiema dłońmi połę mego płaszcza i przysunęła się do mnie. Jej włosy pachniały

czystością i świeżością jak wyprana pościel.

— Musisz mi pomóc — szepnęła. Uniosłem jej podbródek, aż nasze spojrzenia się spotkały. Przesunąłem koniuszkami palców po jej policzku. — Możesz zostać w moim mieszkaniu. Śpi się tam dużo wygodniej niż tutaj, w biurze.

Podziękowała mi z powagą, jakbym był nauczycielem muzyki, który właśnie pochwalił ją za postępy w nauce.

— Zawiozę cię tam natychmiast — powiedziałem.

Rozdział trzydziesty drugi

Zaparkowałem chevroleta przy rogu 8 Alei i 23 Ulicy, przed gmachem Opery Wielkiej, ongiś głównej siedziby Erie Railroad. W tej to cytadeli Jim „Jubilee” Fisk zabarykadował się w obawie przed rozjuszonymi udziałowcami i tu później wystawiono na widok publiczny jego zwłoki, po tym jak Ned Stokes zastrzelił go na tylnych schodach Grand Central Hotel. Obecnie mieściły się tu biura R.K.O.

— Gdzie jest hotel Grand Central? — spytała Epiphany, kiedy zamknąłem samochód.

— Nieco dalej, na dolnym Broadwayu, nad Bleacher Street. Nazywa się teraz Broadway Central. A kiedyś to był La Farge House.

— Sporo wiesz o tym mieście — powiedziała, ujmując mnie pod rękę, gdy przechodziliśmy ulicą.

— Detektywi są jak taksówkarze, ta praca łączy się z geografią. Urządziłem Epiphany wycieczkę po centrum z przewodnikiem. Była z tego bardzo zadowolona i od czasu do czasu zachęcała mnie do dalszych wywodów rzuconymi niby przypadkiem pytaniami. Jej uwagę przykuła żelazna fasada starego budynku handlowego przy 23 Ulicy.

— Chyba nigdy nie byłam w tej części miasta.

Minęliśmy restaurację Cavanagha.

— Brylant Jim Brady zalecał się tu do Lillian Russell. W latach dziewięćdziesiątych była to bardzo modna dzielnica. Madison Square znajdował się w centrum miasta, a przy 6 Alei cała masa najbardziej modnych sklepów — braci Stern, Altmana, Siegela

Coopera, Hugh O’Neilla. Stare budynki są przeznaczone teraz na piętra domów towarowych, ale wciąż wyglądają tak samo. A tu właśnie mieszkam.

Epiphany wyciągnęła szyję i uniosła wzrok, spoglądając na czerwoną, ceglana wiktoriańską ekstrawagancję Chelsea. Jej uśmiech wyjawiał mi, że urzekły ją delikatne żelazne balkony na każdym z pięter.

— Na którym piętrze?

Pokazałem jej. — Na piątym. Pod tym łukiem.

— Chodźmy — ponagliła.

Pomijając kominek z rzeźbionymi czarnymi gryfami, hol nie był szczególnie czarujący. Epiphany nie zwróciła na niego większej uwagi niż na spizowe płyty na zewnątrz. Natomiast stanęła jak wryta na widok białowłosej kobiety, która wyszła z samoobsługowej windy, prowadząc na smyczy lamparta.

Moje mieszkanko składało się z dwóch pokoi, kuchni i małego balkoniku od ulicy. Niezbyt to dużo, jak na nowojorskie standardy, ale kiedy otworzyłem drzwi, wyraz twarzy Epiphany świadczył, iż równie dobrze mogłoby ono należeć do J.P. Morgana.

— Uwielbiam wysokie sufity — powiedziała, kładąc płaszcz na oparciu kanapy. — Sprawiają, że czujesz się ważny.

Wziąłem jej płaszcz i powiesiłem razem z moim w szafie.

— Wyższy niż w Plazie?

— Mniej więcej taki sam. Ale twoje pokoje są większe.

— Tylko że nie mam stąd widoku na Palm Court. Napijesz się?

Stwierdziła, że z przyjemnością, dlatego też wyszedłem do kuchni i zrobiłem dla nas dwojga przyzwoite fikołki. Kiedy wróciłem ze szklaneczkami w dłoniach, stała, i opierając się o framugę, wpatrywała się w podwójne łóżko w sąsiednim pokoju.

— Takie są warunki — powiedziałem, podając jej drinka. —

Jakoś się tu urządzimy.

— Na pewno — potaknęła ochryplym, obiecującym i pełnym aluzji głosem.

Upiła łyk, pochwaliła, że bardzo dobry, i usiadła na kanapie przy kominku.

— Działa?

— Owszem, jeżeli nie zapomnę kupić drewna.

— Przypomnę ci. Używanie kominka to nie grzech.

Otworzyłem walizeczkę i pokazałem jej plakat El Çifra.

— Wiesz może coś o tym typie?

— El Çifr? To jakiś swami. Jest w Harlemie, odkąd pamiętam, od lat, gdy byłem jeszcze małą dziewczynką. Ma własną małą sektę, ale wygłasza prelekcje i kazania dla wszystkich, którzy zechcą go zaprosić, nie należy do wybrednych. Mogą to być muzułmanie. Raz prowadził kazanie nawet u abisyńskich baptystów. Kilka razy do roku przysyłają mi pocztą jego plakat, a ja przyklejam go na wystawie sklepiku, tak samo jak plakaty Siostry Kenny i Czerwonego Krzyża. Wiesz, służba publiczna, sam rozumiesz.

— Widziałaś go osobiście?

— Nigdy. Po co ci te informacje na temat Çifra? Czy on ma coś wspólnego z Johnnym Favorite'em?

— Może. Nie wiem jeszcze na pewno.

— To znaczy, że nie chcesz.

— Ustalmy coś na początek — powiedziałem. — Nie próbuj wycisnąć ze mnie żadnych informacji.

— Przepraszam. Byłam tylko ciekawa. Domyślałam się, że ja też odgrywam w tym wszystkim jakąś rolę.

— Tkwisz w tym po uszy, a może nawet głębiej. Właśnie dlatego lepiej jest nie wiedzieć o pewnych rzeczach.

— Boisz się, że mogłabym komuś wypaplać?

— Nie — odparłem. — Obawiam się, że ktoś mógłby uznać, że coś wiesz, i chciałby potem to od ciebie wydobyć.

Kostki lodu zagrzechotały o ścianki pustej szklanki Epiphany. Zrobiłem jej nowego drinka, sobie zresztą też i usiadłem przy niej na kanapie.

— Zdrówko — powiedziała i stuknęliśmy się szklaneczkami.

— Będę z tobą szczery, Epiphany — oznajmiłem. — Nie jestem bliższy odnalezienia Johnny'ego Favorite'a niż pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy. On był twoim ojcem. Twoja matka musiała o nim mówić. Przypomnij sobie, czy nie wspominała ci czegoś na jego temat, choćby miał to być drobny i z pozoru nic nie znaczący szczegół.

— Rzadko o nim mówiła. Prawie wcale.

— Ale musiała ci coś powiedzieć.

Epiphany bawiła się kolczykiem, małą kameą oprawną w złoto.

— Mama mówiła, że był obdarzony potężną mocą i siłą. Nazywała go magiem. Obeah była tylko jedną ze ścieżek, którą podążał. Mama powiedziała także, że dał jej ogromną wiedzę z zakresu czarnej magii, dużo więcej, niż chciała.

— To znaczy?

— Jeżeli igrasz z ogniem, możesz się poparzyć.

— Twoja matka nie interesowała się czarną magią?

— Mama była dobrą kobietą, jej dusza była czysta. Któregoś razu wspomniała, że Johnny Favorite był bliżej prawdziwego zła, aniżeli ona kiedykolwiek mogłaby się odważyć.

— Pewnie to najbardziej ją w nim pociągało — napomknąłem.

— To możliwe. Często bywa tak, że serca młodych dziewcząt biją żwawiej na widok typa spod ciemnej gwiazdy.

Czy twoje bije teraz szybciej — zastanawiałem się.

— Czy matka mówiła ci coś jeszcze?

Epiphany uśmiechnęła się, jej oczy były nieruchome jak u kota.

— No, jeszcze tylko jedno. Powiedziała, że był bajecznym kochankiem. Chrząknąłem. Oparła się o poduszki kanapy, oczekując, co zrobię. Przeprosiłem i wyszedłem do łazienki. Sprzątaczką zostawiła kubek z mopem przy ciągnącym się przez długość całej ściany lustrze, oszczędzając sobie przed fajrantem kolejnej wizyty w schowku. Jej wiotki, szary fartuch zwisał z kija mopa jak porzucony cień.

Zapinając rozporek, spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Powtarzałem sobie w duchu, że jestem idiotą, zadając się z podejrzaną. To było niemądre, nieetyczne 127 i niebezpieczne. Skup się na zadaniu i śpij na kanapie. Odbicie wyszczerzyło się do mnie kretyńsko.

Epiphany uśmiechnęła się, kiedy wróciłem do pokoju. Zdjęła już buty i żakiet. Jej smukła szyja wpływała pod rozpięty kołnierz bluzki z gracją, która przywodziła mi na myśl śmigające po niebie sokoły.

— Jeszcze jednego? — spytałem, sięgając po jej pustą szklaneczkę.

— Czemu by nie?

Tym razem zrobiłem naprawdę zabójcze fikołki, opróżniając butelkę, a kiedy podałem jej szklaneczkę, zauważyłem, że dwa górne guziki jej bluzki były rozpięte. Powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła i poluzowałem krawat. Lśniące jak topazy oczy Epiphany śledziły każdy mój ruch. Cisza zamknęła się wokół nas jak wielki sój. W skroniach mi pulsowało, kiedy przysiadłem na kanapie obok Epiphany. Wziąłem od niej szklaneczkę z nie dopitym drinkiem i postawiłem przy mojej na stoliku do kawy. Wargi

Epiphany rozchyliły się leciutko. Usłyszałem szept zaczerpniętego gwałtownie oddechu, kiedy sięgnąłem ręką i ujmując delikatnie za szyję, przyciągnąłem ją do siebie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, przypominało to szalejącą plataninę ubrań i wyginających się kończyn. Trzy tygodnie celibatu nie poprawiły mych umiejętności w dziedzinie sztuki miłosnej. Obiecałem, że przy drugiej szansie spiszę się lepiej.

— Nie ma mowy o żadnej szansie. — Epiphany zsunęła z ramion rozpiętą bluzkę. — Poprzez seks rozmawiamy z bogami.

— Czy moglibyśmy kontynuować rozmowę w sypialni? — Zrzuciłem szybko opuszczone spodnie i szorty.

— Mówię serio — szepnęła, zdejmując mi krawat i rozpinając koszulę.

— To historia starsza od Adama i Ewy. Chodzi o to, że świat zaczął się wskutek kopulacji bogów. My połączeni jesteśmy jakby zwierciadlanym odbiciem Stworzenia.

— Nie bądź zbyt poważna.

— To nie powaga, to mnie cieszy. — Rzuciła biustonosz na ziemię i rozpięła suwak pomiętej spódnicy.

— Kobieta jest tęczą, mężczyzna grzmotem i błyskawicą. Spójrz. O tak.

Mając na sobie tylko pas i pończochy, Epiphany wygięła się w tył z wprawą mistrzyni jogi. Ciało miała gibkie i silne. Pod jej śniadą skórą falowały delikatne mięśnie. Była płynna, przypominała jaskółkę w locie albo tęczę, jak w tej chwili. Dotknęła dłońmi podłogi za sobą, wyginając się w idealny łuk. Jej łagodny, powolny ruch był jak jeden z naturalnych cudów, cząstka doskonałości. Obniżyła całe ciało i teraz podpierała się tylko na ramionach,

łokciach i podeszwach stóp. Była to najbardziej zmysłowa pozycja, jaką w moim mniemaniu mogła przyjąć kobieta.

— Jestem tęczą — szepnęła.

— Błyskawica uderza dwa razy. — Ukląłem przed nią, jak gorliwy akolita ująłem ołtarz jej rozwartych ud, ale nastrój prysnął, kiedy zmniejszyła dystans jak tancerka brzucha i wciągnęła mnie w siebie.

Tęcza stała się tygrysią. Jej naprężony brzuch ocierał się o mnie.

— Nie ruszaj się — wyszeptała, zwierając niewidoczne mięśnie w rytmicznych skurczach. Kiedy doszedłem, o mało nie krzyknąłem.

Epiphany oparła się o moją pierś. Musnąłem wargami jej wilgotne czoło. — Z bębnami jest lepiej — powiedziała.

— Robisz to publicznie?

— Bywają takie chwile, kiedy opętają cię duchy. Podczas banda albo bambouche, kiedy możesz tańczyć, pić, a także, o tak, pieprzyć się do białego rana.

— Co to jest banda i bambouche?

Epiphany uśmiechnęła się i zaczęła bawić moimi sutkami.

— Banda to taniec ku czci Guede. Bardzo dziki, szalony, święty i zawsze odbywa się w hounforcie towarzystwa. Ty nazwałbyś to świątynią voodoo.

— Toots mówił na to humfo.

— Inny dialekt, ale to to samo.

— A bambouche?

— To zwyczajna zabawa. Członkowie towarzystwa upuszczają podczas nich trochę pary.

— Tak jak nasze sobotnie potańcówki?

— Uhm, ale dużo zabawniejsze.

Spędziliśmy całe popołudnie jak nagie dzieci, śmiejąc się, biorąc prysznic, odwiedzając lodówkę i rozmawiając z bogami. Epiphany znalazła w radiu portorykańską stację i tańczyliśmy, aż nasze ciała od stóp do głów zlane były potem. Kiedy zaproponowałem, abyśmy wyszli coś zjeść, moja mała rozchichotana mambo zaprowadziła mnie do kuchni i nasmarowała nasze intymne części ciała bitą śmietaną. Była to najślodsza uczta, jaką można by sobie wyobrazić. O zmierzchu pozbieraliśmy z podłogi rzeczy i wycofaliśmy się do sypialni, zapalając kilka tanich świec znalezionych w szufladzie. W ich bladym świetle jej ciało błyszczało jak drzewo, uginające się pod ciężarem dojrzałych owoców. Miałeś ochotę schrupać ją żywcem. Posmakować na wszystkie sposoby. Pomiedzy smakowaniem rozmawialiśmy. Zapytałem Epiphany, gdzie się urodziła.

— W Women's Hospital przy 110. Do szóstego roku życia wychowywała mnie babcia z Bridgetown, na Barbados. A ty?

— W małej miejscinie w Wisconsin, o której na pewno nie słyszałaś. Zaraz za Madison. Do tego czasu pewnie miasto już ją wchłonęło.

— Mówisz tak, jakbyś nie lubił tam wracać.

— Bo nie byłem tam, odkąd wstąpiłem do wojska. To było w tydzień po Pearl Harbor.

— Ale dlaczego? To chyba nie byłoby aż takie złe?

— Nie ma tam niczego, co łączyłoby mnie z tym miejscem. Oboje moi rodzice zginęli, kiedy przebywałem w szpitalu wojskowym. Gdybym był w stanie podróżować, pewnie pojechałbym na ich pogrzeb. Kiedy zaś zwolniono mnie ze szpitala, to wszystko było jedynie zbitką na wpół zapomnianych, przyblakłych wspomnień.

— Byłeś jedynakiem?

Skinąłem głową. — Adoptowanym. Ale dzięki temu jeszcze bardziej mnie kochali. — Powiedziałem to jak harcerz składający uroczystą przysięgę. Wiara w ich miłość zastąpiła we mnie uczucie patriotyzmu. Dopiero po latach zdołałem zapomnieć ich twarze. Nawet teraz, kiedy usilnie się starałem, widziałem jedynie zamazane migawki z przeszłości.

— Wisconsin — rzekła Epiphany. — Stąd te sobotnie potańcówki,

— I nie tylko. Również balety.

— Balety?

— Tak nazywaliśmy licealne bambouche.

Zasnęła w moich ramionach, a ja czuwałem potem jeszcze długo, przyglądając się jej. Patrzyłem, jak jej małe piersi o kształcie filiżanek wznoszą się i opadają w rytmie oddechu; sutki w pocałunkach świec wyglądały jak czekoladowe cukierki. Zatrzepotała powiekami, kiedy przemknęły pod nimi czarne sny. Wyglądała jak mała dziewczynka. Niewinny wyraz jej twarzy nie przypominał w niczym ekstatycznego grymasu, który malował się na niej, kiedy skowycząc, wyginała się pode mną jak tygrysica. Wiązanie się z nią było szaleństwem. Te smukłe palce umiały wprawnie trzymać rękojeść noża. Bez mrugnięcia okiem umiała poderznąć kogutowi gardło. Jeżeli zabiła Tootsa Sweeta i Margaret Krusemark, byłem w poważnych tarapatach. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Odpłynąłem w niebyt, usiłując odegnać od siebie głębsze uczucia wobec dziewczyny, którą nie bez powodu uznawałem za niebezpieczną. Powiedziałbym nawet za wyjątkowo niebezpieczną, tak jak piszą na policyjnych listach gończych.

Moje sny były mozaiką najokropniejszych koszmarów. Brutalne, zniekształcone obrazy przemieszane ze scenami absolutnego spustoszenia i ruiny. Byłem zagubiony w mieście,

którego nazwy nie znałem. Ulice były puste, a kiedy dotarłem do skrzyżowania, na znakach nie było żadnego napisu. Ani jeden budynek nie wyglądał znajomo. Wszystkie były wysokie i pozbawione okien.

W oddali ujrzałem jakąś postać przymocowującą plakat na wielkim ściennym billboardzie. W miarę jak na tablicy reklamowej pojawiały się kolejne, wybrane na chybił trafił fragmenty, zaczęło wyłaniać się z nich oblicze. Podszedłem bliżej. Z reklamy wyszczerzyła się do mnie twarz Louisa Cyphre'a, a jego uśmiech był trzy razy szerszy niż pana Tilyou ze Steeplechese Park. Zawołałem do robotnika, a ten odwrócił się, ściskając w dłoniach szczotkę na długim kij. To był Cyphre. Śmiał się.

Tablica rozszczepiła się i uniosła na boki jak teatralna kurtyna, ukazując nie kończący się pejzaż niskich, zalesionych pagórków. Cyphre upuścił szczotkę i kubek z klejem i wbiegł do środka. Deptałem mu po piętach, gnając przez gąszcz zwinnie jak pantera. Ostatecznie zniknął mi z oczu, a ja uświadomiłem sobie, że zgubiłem się także.

Ścieżka, którą podążyłem, wiła się kretko przez parki i łąki. Przystanąłem, by napić się ze strumienia i w mchu nad brzegiem ujrzałem odcisk kopyta. Parę chwil 131 później ciszę przeszył dojmujący, przeraźliwy krzyk. Usłyszałem go ponownie i pospieszyłem w stronę, skąd dobiegał. Trzeci krzyk doprowadził mnie na skraj małej polanki. Po jej drugiej stronie niedźwiedź atakował kobietę. Pobiegnąłem ku nim. Wielki drapieżca potrząsnął swą bezwładną ofiarą jak szmacianą lalką. Ujrzałem okrwawione oblicze dziewczyny. To była Epiphany. Bez namysłu rzuciłem się na niedźwiedzia. Bestia stanęła dęba i walnęła mnie tak, że wywinąłem w powietrzu koziołka. Niedźwiedź kogoś mi jednak przypominał. Mimo wilgotnego pyska i oślinionych kłów wyglądał

dokładnie jak Louis Cyphre. I był to Cyphre. Kiedy spojrzałem na niego ponownie z odległości kilku metrów, leżał nagi wśród wysokich traw i nie napastował, lecz kochał się z Epiphany. Skoczyłem naprzód i schwyciłem go za gardło, ściągając go z jęczącej dziewczyny. Walczyliśmy obok niej, na trawie. Mimo iż był silniejszy, ucapilem go za gardło. Dusilem, aż jego twarz poczerniała od krwi. Z tyłu za mną Epiphany krzyknęła. To mnie obudziło. Siedziałem na łóżku, owinięty prześcieradłem jak całunem. Nogami oplatałem Epiphany w pasie. Jej oczy były rozszerzone ze strachu i z bólu. Trzymałem ją za gardło, moje dłonie dusiły ją w śmiertelnym uścisku. Już nie krzyczała.

— O Boże! Nic ci się nie stało?

Epiphany zaczęła dyszeć, usiłując zaczerpnąć tchu, a gdy ją puściłem, wycofała się w przeciwny kąt łóżka.

— Chyba jesteś nienormalny — zakasłała.

— Czasami obawiam się, że niestety tak.

— Co w ciebie wstąpiło? Epiphany potarła nieskazitelną skórę szyi, na której pojawiły się ciemne sińce — ślady moich palców.

— Nie wiem. Napijesz się wody?

— Tak, poproszę.

Poszedłem do kuchni i wróciłem ze szklanką zimnej wody.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się, kiedy podałem jej szklaneczkę.

— Zawsze tak traktujesz swoje dziewczyny?

— Nie jest to regułą. Coś mi się przyśniło.

— Co?

— Ktoś cię krzywdził.

— Ktoś, kogo znasz?

— Tak. Śni mi się każdej nocy. To szalone, brutalne koszmary. Ten facet wciąż ze mną igrza, drażni mnie, drwi ze mnie, sprawia ból. Dziś śniło mi się, że robił ci krzywdę.

Epiphany odstawiła szklaneczkę i ujęła moją dłoń. — Wygląda na to, że jakiś boko nałożył na ciebie bardzo silną wanga.

— Mów bardziej zrozumiałym językiem, laleczko.

Epiphany roześmiała się.

— Lepiej szybko cię podszkolę. Boko to zły hungan. Taki, który para się tylko czarną magią.

— Hungan?

— Kapłan Obeah. Taki mambo jak ja, tylko mężczyzna. Wanga to coś w rodzaju uroku albo klątwy. No, wiesz, zły czar. Z tego, co mówisz o swoich snach, wynika, że możesz znajdować się w mocy jakiegoś złego czarownika.

Poczułem, że moje serce zaczyna bić szybciej.

— Ktoś używa wobec mnie czarów?

— Na to wygląda.

— Czy to może być człowiek z moich snów?

— Najprawdopodobniej. Znasz go?

— Mniej więcej. Powiedzmy, że ostatnio mam z nim do czynienia.

— Czy to Johnny Favorite?

— Nie, ale ciepło.

Epiphany ścisnęła mnie za rękę.

— Mój ojciec też był zamieszany w tego typu ciemne sprawy. Był wyznawcą diabła.

— A ty nie? — Pogładziłem ją po włosach.

Epiphany odsunęła się ode mnie, urażona.

— Tak uważasz?

— Wiem, że jesteś mambo, kapłanką voodoo.

— Jestem wielką mambo. Czynię dobro, ale to nie znaczy, że nie znam zła. Jeśli twój przeciwnik jest naprawdę silny, lepiej jest mieć się na baczności. Objąłem ją ramieniem. — Czy mogłabyś

sporządzić amulet, który strzegłby mnie w moich snach?

— Gdybyś uwierzył, to może tak.

— Z każdą minutą moja wiara staje się silniejsza.

Przepraszam, jeżeli cię uraziłem.

— Nic się nie stało. — Pocałowała mnie w ucho. — Znam sposób, żeby usunąć w cień każdy ból.

I faktycznie знаła.

Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem drobinki kurzu tańczące w wąskim pasemku wczesnoporannych promieni słońca. Epiphany leżała obok mnie, rąbek narzuty zakrywał jej smukłą rękę i cynamonowe ramię. Usiadłem i sięgnąłem po papierosa, opierając się o poduszkę. Promienie słońca dzieliły łóżko na dwoje, ciągnąc się poprzez topografie naszych ciał jak cienka, złota autostrada.

Nachyliłem się i pocałowałem Epiphany w powieki, kiedy ktoś ostro załomotał do frontowych drzwi. Tylko glina anonsuje się tak głośnym pukaniem.

— No, dalej! Otwieraj, Angel! — To był Sterne. Oczy Epiphany rozszerzyły się ze zgrozy. Uniosłem palec do ust.

— Kto tam? — zapytałem, udając zaspanego.

— Porucznik Sterne. Jazda, Angel, nie mamy całego dnia.

— Już otwieram.

Epiphany usiadła, wystraszona, i bezgłośnie, ogarnięta paniką domagała się jakichś wyjaśnień.

— To policja — szepnąłem. — Nie wiem, czego chcą. Pewnie tylko pogadać. Możesz tu zostać.

— Pospiesz się, Angel! — zawołał Sterne.

Epiphany pokręciła głową, opuszczając pokój długimi, miękkimi krokami. Usłyszałem cichy trzask zamykanych drzwi łazienki, wstałem i kopnąłem większość rozrzuconych rzeczy pod łóżko. Łomotanie nie cichło ani na chwilę. Przeniosłem jej otwartą walizkę do szafy i wepchnąłem na górną półkę pod mój pusty neseser.

— Idę, idę — zawołałem, narzucając na siebie zmięty szlafrok.

— Nie musicie wyważać drzwi.

W pokoju znalazłem jedną z pończoch Epiphany przerzuconą przez oparcie kanapy. Przewiązałem się nią pod szlafrokiem i otworzyłem frontowe drzwi.

— Najwyższa pora — parsknął Sterne, wparowując do mieszkania. Sierżant Deimos był tuż za nim, ubrany w ciemnooliwkowy garniturek i słomkowy kapelusz z wstążką. Sterne miał na sobie ten sam moherowy garnitur co poprzednio, brakowało tylko szarego płaszcza przeciwdeszczowego.

— Jesteście jak zwiastuny wiosny, chłopaki — powiedziałem.

— Znow późno położyłeś się spać, co, Angel? — Sterne przesunął zapocony kapelusz na tył głowy i zlustrował wnętrze pokoju. Panował tu niełichy bałagan.

— Bomba tu strzeliła czy co?

— Spotkałem starego kumpla z czasów wojny i trocheśmy zabalowali.

— Życie jest piękne, no nie, Deimos? — burknął Sterne. — Balangi przez całą noc, popijawy w biurze, wysypianie się do bólu. Ale z nas idioci, że wstąpiliśmy do policji. Jak się nazywa ten twój kumpel?

— Pound — rzuciłem z głupia frant. — Ezra Pound.

— Ezra? Jak imię jakiegoś farmera.

— Bynajmniej. Prowadzi warsztat z częściami samochodowymi w Hailey w Idaho. Odleciał dziś rano z Idlewild. Wyjechał stąd prosto na lotnisko, punktualnie o piątej.

— Czy to prawda?

— Czy ja mógłbym pana oszukać, poruczniku? Posłuchajcie, mam ogromną ochotę na kawę. Może zaparzę dzbanek i napijecie się ze mną?

Sterne przysiadł na oparciu kanapy.

— Śmiało. Jeśli nie będzie nam smakować, to wylejemy ją do kibla.

W tej samej chwili w łazience coś głośno stuknęło.

— Czy ktoś tam jest? — Sierżant Deimos wskazał kciukiem na zamknięte drzwi.

Ledwie wykonał ten gest, kiedy drzwi otworzyły się i w progu stanęła Epiphany, uzbrojona w szczotkę i kubeł. Miała na sobie szary kostium sprzątaczkii, włosy upięła pod brudną szmatą i weszła do pokoju, powłócząc nogami jak pokręcona artretyczna starucha.

— Jużem skończyła ze z łazienkom na dzisiaj, panie Angel — zachrypiała z nosowym akcentem z południa. — Widzem, co ma pan towarzystwo, znaczy wrócem się później, coby dokończyć, jeśli nie ma pan nic naprzeciw.

— W porządku, Ethel — przełknąłem lekki uśmieszek, kiedy mnie mijiała. — Niedługo wychodzą, więc możesz przyjść, kiedy zechcesz.

— Przyjdem. Pewno co przyjdem. — Cmoknęła wargami, jakby wypadały jej protezy zębowe i poczłapała ku drzwiom. — Dziń dybry panom. Mam nadzieje, co wieldze wam nie przeszkodziłam.

Sterne patrzył na nią z otwartymi ustami. Deimos stał w bezruchu, drapiąc się w tył głowy. Zastanawiałem się, czy zauważyli, że była boso i wstrzymałem oddech, póki frontowe drzwi nie zamknęły się za nią.

— Czarne mały — burknął Sterne. — Nie powinni byli wypuszczać ich z plantacji.

— Och, Ethel jest w porządku — powiedziałem, napełniając maszynkę do kawy w kuchennej wnęce. — Trochę przygłupia, ale utrzymuje tę norę w czystości. Sierżant Deimos zachichotał. — Taa, porucznikowi ktoś musi posprzuntać we w kiblu. Trza umyć klozyt.

Sterne spiorunował partnera wzrokiem, jakby czyszczenie kibla było najbardziej adekwatnym zajęciem dla sierżanta.

— Czemu mam zawdzięczać waszą wizytę? — Włożyłem kromkę chleba do tosterka. Wyregulowałem płomień na dwupalnikowej kuchence.

Sterne wstał z kanapy i wszedł do przedpokoju, opierając się o ścianę przy lodówce.

— Mówi ci coś nazwisko Margaret Krusemark?

— Niewiele.

— Co o niej wiesz?

— Tylko to, co przeczytałem w gazecie.

— Znacząco?

— Że była córką milionera i właśnie została zamordowana.

— Coś jeszcze?

— Nie potrafię być na bieżąco ze wszystkimi morderstwami w tym mieście.

Muszę pilnować swoich zleceń.

Sterne zakołysał się na piętach i wbił wzrok w płamę na suficie nad moją głową. — A kiedy je wykonujesz, jesteś trzeźwy?

— Co to takiego? — zawołał z drugiego pokoju sierżant Deimos.

Spojrzałem w jego stronę. Stał przy mojej otwartej aktówce, trzymając w dłoni kartonik znaleziony przeze mnie na biurku u Margaret Krusemark.

Uśmiechnąłem się. — To? To zaproszenie na bierzmowanie mojego bratanka.

Deimos spojrzał na kartonik. — A dlaczego w obcym języku?

— To po łacinie — odparłem.

— Dla niego wszystko jest łaciną — burknął Sterne z ustami ściągniętymi w wąską kreskę. — A co to za bohomaz u góry? —

Deimos wskazał na odwrócony pentagram.

— Widzę, chłopaki, że nie jesteście katolikami — powiedziałem. — To symbol Zakonu św. Antoniego. Mój bratanek jest ministrantem.

— Wygląda identycznie jak na ozdobie, którą nosiła ta Krusemark.

Mój tost wyskoczył z maszynki. Posmarowałem go masłem.

— Może też była katoliczką.

— Nie była — uciął Sterne. — Raczej chyba poganką.

Zacząłem zajadać tost.

— A co ma to wszystko wspólnego z ceną salami? Wydawało mi się, że prowadzicie dochodzenie w sprawie śmierci Tootsa Sweeta?

Martwe oczy Sterne'a odnalazły moje spojrzenie.

— Zgadza się, Angel. Tylko tak się dziwnie składa, że *modus operandi* w obu przypadkach jest bardzo podobny.

— Uważacie, że te zabójstwa są jakoś ze sobą powiązane?

— Może to ja powinienem zapytać o to ciebie.

Kawa zaczęła pyrkotać i zmniejszyłem płomień.

— A co by to dało? Równie dobrze moglibyście zapytać faceta siedzącego w recepcji na dole.

— Nie bądź taki cwany, Angel. Ten czarny pianista był zamieszany w praktyki voodoo. Ta Krusemark ślepiła w gwiazdy i wszystko wskazuje, że na boku bawiła się jeszcze w czarną magię. Oboje zostali sprzątnięci w tym samym tygodniu, ich zabójstwa dzieli różnica jednego dnia, okoliczności są w obu przypadkach bardzo zbliżone. Sprawca lub sprawcy pozostają nieznani.

— Na jakiej podstawie twierdzi pan, że okoliczności obu zabójstw są zbliżone?

— To informacja zastrzeżona tylko do wiadomości policji.

— Jak mam wam pomóc, skoro nie wiem, czego właściwie chcecie? — Wyjąłem z kredensu trzy kubki i ustawiłem na blacie.

— Odwracasz się do nas plecami, co, Angel?

— A niby czemu nie? — zakręciłem gaz i nalałem kawę do kubków. — Nie pracuję dla miasta.

— Posłuchaj, cwaniaczku. Ściągnąłem twojego porąbanego rzecznika na komisariat. Wygląda na to, żeś się wymigał. Możesz nabrać wody w usta, a nam nie wolno cię tknąć. Ale jeśli przyłapię cię na czymś, choćby na parkowaniu w niedozwolonym miejscu, twój tyłek będzie należeć do mnie. I nie dostaniesz w tym mieście zezwolenia nawet na sprzedaż orzeszków ze straganu.

Upiłem łyk kawy, wdychając wonną parę. — Zawsze przestrzegam prawa, poruczniku — powiedziałem.

— Gówno prawda! Faceci tacy jak ty bawią się z prawem w kotka i myszkę. Chodzą po paragrafach jak linoskoczkowie. Ale któregoś pięknego dnia wreszcie powinie ci się noga, a ja będę już czekał na ciebie z otwartymi ramionami.

— Kawa wam stygnie.

— Do diabła z kawą! — warknął Sterne. Jego górna warga odchyliła się, ukazując krzywe, pożółkłe zęby i gliniarz silnym machnięciem ręki strącił kubki z blatu. Uderzyły w przeciwległą ścianę i potoczyły się po podłodze. Sterne, zamyślony, spojrzał na brązową plamę jak koneser sztuki odwiedzający galerię przy 57, podziwiający dzieło jednego z wielkich mistrzów pędzla.

— Chyba nabrudziłem — burknął. — Nie ma sprawy. Czarnucha pościera to wszystko, kiedy już stąd pójdę.

— To znaczy kiedy konkretnie? — zapytałem.

— Kiedy mi się zechce.

— W porządku. Mnie to pasuje. — Zaniósłem swój kubek do pokoju i usiadłem na kanapie. Sterne spojrzał na mnie, jakbym był

czymś obrzydliwym, w co niechcący wdepnął. Deimos gapił się w sufit. Trzymałem kubek obiema dłońmi i jawnie ich ignorowałem. Deimos zaczął pogwizdywać, ale po czterech atonalnych dźwiękach dał sobie spokój. — Kiedy wpadną do mnie koledzy, powiem, że zawsze trzymam w mieszkaniu parkę udomowionych gliniarzy. Są lepszymi kompanami niż papużki i mogą się przydać w razie ewentualnego włamania.

— Dobra. Spadamy — warknął Sterne. Deimos minął go wolnym krokiem, jakby to on wpadł pierwszy na ten pomysł.

— Wpadnijcie znowu — zaprosiłem.

Sterne opuścił kapelusz na czoło. — Będę na ciebie czekał, kiedy w końcu na czymś się poślizniesz, dupku. — I trzasnął drzwiami tak mocno, że aż przekrzywiła się litografia Curriera & Ivesa wisząca na ścianie w przedpokoju.

Rozdział trzydziesty piąty

Szkło w ramach było pęknięte, przypominający zastygły piorun zygzak ciągnął się pomiędzy gołymi pięściami wielkiego Johna Li Jake'a Kilraina. Odwiesiłem litografię na ścianę i usłyszałem ciche pukanie do frontowych drzwi.

— Wejź, Ethel. Otwarte.

Do środka zajrzała Epiphany. Na głowie wciąż miała brudną szmacianą bandanę.

— Poszli sobie nareszcie?

— Poszli. Ale wrócą. Choć już dziś nie powinni nas więcej niepokoić.

Wniosła szczotkę i kubek do przedpokoju, po czym zamknęła drzwi. Odchyliwszy się do tyłu, zachichotała. W jej śmiechu pobrzmiwała nuta hysterii i kiedy wziąłem ją w ramiona, poczułem drżenie jej ciała pod cienkim bawełnianym kaftanikiem.

— Byłaś wspaniała — powiedziałem.

— Zaczekaj, aż zobaczysz, jak wysprzątałam łazienkę.

— Gdzie byłaś?

— Schowałam się na schodach pożarowych i odczekałam, aż sobie pójdą.

— Jesteś głodna? Jest kawa, a w lodówce są jajka.

Zrobiliśmy śniadanie — posiłek, który z reguły sobie odpuszczam — i zanieśliśmy talerze do pokoju. Epiphany zanurzyła swój tost w jajku.

— Znaleźli jakieś moje rzeczy?

— Niezbyt się rozglądali. Jeden zajrzał do mojej aktówki. Znalazł coś, co zabrałem z mieszkania pani Krusemark, ale nie

wiedział, co to takiego. Zresztą ja też nie wiem.

— Mogę zobaczyć?

— Dlaczego nie? — wstałem i podałem jej kartonik.

— MISSA NIGER — przeczytała. — *Invito te venire ad clan — destinum ritum. . .*

Ujęła kartonik jak asa pik.

— To zaproszenie na Czarną Mszę.

— Na co?

— Na Czarną Mszę. To rodzaj magicznego obrzędu, podczas którego oddaje się cześć Diabłu. Nie wiem zbyt wiele na ten temat.

— Skąd zatem ta pewność?

— Bo tu jest tak napisane. MISSA NIGER to po łacinie Czarna Msza.

— Znasz łacinę?

Epiphany uśmiechnęła się z zadowoleniem. — A niby co mam umieć po dziesięciu latach w szkole parafialnej.

— Chodziłaś do szkoły parafialnej?

— Tak. Do Najświętszego Serca Jezusowego. Mama nie miała najlepszego zdania o systemie szkół publicznych. Wierzyła w dyscyplinę.

— Te zakonnice wbiją ci przynajmniej odrobinę rozumu do twojego tępego łba — mówiła.

Roześmiałem się — księżniczka voodoo w szkole parafialnej.

— Chciałbym zobaczyć zdjęcia z twojego rocznika.

— Kiedyś ci pokażę. Byłam przewodniczącą klasy.

— Nie wątpię. Mogłabyś przetłumaczyć mi to wszystko?

— To dla mnie betka. — Epiphany uśmiechnęła się. — Tu jest napisane: „Niniejszym zapraszamy ciebie do uczestnictwa w sekretnym obrzędzie ku chwale księcia szatana i jego potęgi”. To wszystko. I jest jeszcze data — 22 marca, a także godzina — 21.00.

U dołu jest jeszcze dopisek — Eastside Interborough Rapid Transit. Stacja przy 18 Ulicy.

— A ten symbol u góry? Odwrócona gwiazda z wpisaną weń głową kozła? Masz pojęcie, co to może oznaczać?

— Gwiazdy są ważnym symbolem w każdej znanej mi religii: gwiazda islamu, gwiazda betlejemaska, gwiazda Dawida. W talizmanie Agove Royo też są gwiazdy.

— Agove Royo?

— Obeah.

— Czy to zaproszenie ma coś wspólnego z voodoo?

— Nie, nie. To kult czcicieli Szatana. — Epiphany była wyraźnie urażona moją niewiedzą.

— Kozioł jest symbolem Diabła. Odwrócona gwiazda oznacza pecha. Prawdopodobnie jest to również symbol satanistyczny.

Wziąłem Epiphany w ramiona.

— Jesteś warta tyle złota, ile wazysz, dziecinko. Czy w Obeah są jakieś diabły?

— I to nawet sporo.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja poklepałem ją po pupcy. Miała bardzo ładną.

— Pora poszerzyć moją wiedzę na temat czarnej magii. Ubierzemy się i pójdziemy do biblioteki. Pomożesz mi odrobić pracę domową.

Poranek był przepiękny, i na tyle ciepły, że nie musiałem wkładać płaszczka. Promienie słońca odbijały się ostentacyjnymi refleksami od drobin miki w płytach 140 chodnika. Do rozpoczęcia kalendarzowej wiosny pozostał jeden dzień, ale może się zdarzyć, że na równie piękną pogodę przyjdzie nam czekać do maja. Epiphany miała na sobie kraciastą spódniczkę i sweterek, dzięki czemu wyglądała ponętnie jak uczennica.

Gdy przejeżdżaliśmy wzdłuż 5 Alei, spytałem, ile ma lat.

— Szóstego stycznia skończyłam siedemnaście.

— Chryste, jesteś za młoda, aby postawić ci drinka.

— Wcale nie. Jak się odstroję, nie mam z tym żadnych problemów. W Plaza nikt nigdy nie poprosił mnie o dokumenty.

Uwierzyłem jej. W śliwkowym kostiumie wyglądała na pięć lat starszą.

— Nie jesteś zbyt młoda, aby prowadzić sklep?

W jej spojrzeniu dostrzegłem rozbawienie, ale i drwinę.

— Zajmowałam się prowadzeniem ksiąg i inwentaryzacjami, odkąd moja mama zaczęła chorować — powiedziała. — I stoję na froncie wyłącznie wieczorami. W dzień mam za ladą dwie ekspedientki.

— A czym się zajmujesz w dzień?

— Studiuję. Jestem na pierwszym roku. W City.

— Świetnie. Powinnaś zatem nieźle sobie radzić w bibliotece. Twoim zadaniem będzie wyszukanie odpowiednich książek.

Czekałem w głównej czytelni, podczas gdy Epiphany wertowała katalogi. Przy długich drewnianych stołach z lampkami oznaczonymi na abażurach numerami, jak skazańcy na paradyzie siedzieli cicho jak myszki studenci w różnym wieku. Pomieszczenie to miało sufit równie wysoki jak dworzec kolejowy, a wielkie żyrandole przypominały odwrócone torty weselne, wiszące w rozległych salach Beaux Arts. Wzniosłą ciszę przerywało od czasu do czasu stłumione kasznięcie. Znalazłem wolne miejsce, na końcu jednego ze stołów. Numer na abażurze odpowiadał numerowi na owalnej mosiężnej plakietce wpuszczonej w drewniany blat, ja miałem — 666. Przypomniałem sobie niemiłego maître d' w Trzech Szóstkach i zmieniłem miejsce — numer 724 wydał mi się dużo przyjemniejszy.

— Zobacz, co znalazłam. — Epiphany z hukiem zrzuciła na blat całe naręczce starych i nowych książek. Studenci siedzący nieco dalej odwrócili głowy w naszą stronę.

— Niektóre z nich są nic niewarte, ale wyłuskałam nawet egzemplarz *Grimoire'a papieża Honoriusza*, wydanego prywatnie w Paryżu w roku 1754.

— Nie znam francuskiego.

— Jest napisany po łacinie. Przetłumaczę ci. A tu, w tej nowej książce, masz głównie same obrazki.

Sięgnąłem po opasy wolumin wielkości stolika do kawy i otworzyłem na chybił trafił na zajmującej całą stronę rycinie, przedstawiającej rogate monstrum o jaszczurzych łuskach i szponach zamiast stóp. Z uszu buchały mu płomienie, a pomiędzy wielkimi jak stalaktyty kłami ziała ogromna paszcza. Podpis pod ryciną głosił: SZATAN, KSIĄŻĘ PIEKIEŁ.

Przekartkowałem kilka stron. Elżbietański drzeworyt ukazywał kobietę w krynolinie klęczącą za nagim diabłem zbudowanym jak ratownik. Miał on skrzydła, koźli łeb i długie pazury. Kobieta obejmowała go za nogi, nos miała wciśnięty pod uniesiony ogon stwora. Uśmiechała się.

— Odrażający pocałunek — powiedziała Epiphany, zerkając przez moje ramię.

— Mówi się, że czarownice w taki właśnie sposób przypieczętowały pakt z diabłem.

— Podejrzewam, że nie mieli w tamtych czasach notariuszy.

Przerzuciłem kilka dalszych stron, oglądając wizerunki najrozmaitszych demonów i chowańców. W części poświęconej talizmanom natknąłem się na wiele odwróconych gwiazd. Jedna miała wpisane pośrodku trzy szóstki. Wskazałem ją Epiphany.

— Moja ulubiona liczba.

— To z Objawienia św. Jana.

— Skąd?

— Z Biblii: „Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”.

— Czy to prawda?

Epiphany spojrzała na mnie z ponurą miną znad oprawek okularów do czytania. — Czy ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia?

— Nie za bardzo, ale szybko się uczę. Tu jest kobieta nosząca takie samo imię jak restauracja, w której jadłem wczoraj obiad.

Pokazałem Epiphany rycinę przedstawiającą pulchną matronę w wieśniaczej chuście na głowie.

— *Voisin* to po francusku bliźni albo sąsiad.

— Te zakonnice naprawdę wpoily ci nielichą wiedzę. Przeczytaj ten podpis, tutaj.

Epiphany wzięła ode mnie księgę i szeptem przeczytała to, co znajdowało się w ramce pod ilustracją.

— „Catherine Deshayes, zwana La Voisin, wróżka i czarodziejka z elity wyższych sfer. Aranżowała Czarne Msze dla Markizy de Montespan, metresy króla Ludwika XIV, jak i dla innych wielmożów. Aresztowana, torturowana, osądzona i stracona w roku 1680”.

— Takiej książki potrzebowaliśmy.

— Jest ciekawa, ale prawdziwe rewelacje znajdują się w tych tutaj: *Malleus Maleficarum*, *The Discoverie of Witchcraft* Reginalda Scotta, *Magick Aleistera Crowleya*, *Sekrety Albertusa Magnusa* i . .

— Dobra, świetnie. A teraz chciałbym, żebyś pojechała do domu i wyciągnęła się na kanapie z lekturą w dłoni. Zaznacz te fragmenty, które twoim zdaniem powinienem przeczytać,

zwłaszcza te, które dotyczą Czarnej Mszy.

Epiphany zaczęła zbierać książki. — Nie jedziesz ze mną?

— Mam coś do załatwienia. Nic ci nie będzie. Masz tu klucz do mojego mieszkania.

Wyjąłem portfel i dałem jej dwudziestaka.

— To na taksówkę i twoje prywatne zachcianki.

— Mam pieniądze.

— Zatrzymaj je. Może będę chciał od ciebie pożyczyć.

— Nie chcę być sama.

— Załóż łańcuch na drzwiach. Nic ci nie grozi.

Wsadziłem Epiphany do taryfy, układając stertę książek obok niej, na siedzeniu. Była przerażona i wyglądała przez to jak mała dziewczynka. Kiedy daliśmy sobie buzi, „z języczkiem”, dwaj przechodzący obok biznesmeni obrzucili nas pogardliwymi spojrzeniami, a mały lizidupa — pucybut siedzący u stóp kamiennego lwa, zagwizdał przeciągle.

Rozdział trzydziesty szósty

Odstawiłem chevroleta do garażu i wróciłem na Broadway nasłonecznioną stroną 44 Ulicy. Nie spieszyło mi się, cieszyłem się słońcem i pogodą, gdy wtem ujrzałem Louisa Cyphre'a wychodzącego z głównego wejścia do Astora. Ubrany był w brązowy beret, tweedową marynarkę, bryczesy z diagonalu i wysokie, wypolerowane na glanc buty do konnej jazdy. Na rękach miał rękawiczki i niósł wypchaną torbę podróżną.

Widziałem, jak gestem dłoni odprawia odźwiernego, który zaoferował się, że przywoła mu taksówkę. Ruszył w stronę centrum, mijając różnym krokiem Paramount Building. Zastanawiałem się, czy go nie dogonić, ale stwierdziłem, iż zmierza do mojego biura, i postanowiłem oszczędzić sobie dodatkowego wysiłku.

Nie uznałem tego za śledzenie, byłem zbyt blisko. Kiedy jednak dotarł do wejścia do budynku, gdzie mieściły się Rozstaje, i minął je, czując narastające zaciekawienie, instynktownie cofnąłem się i przystanąłem na moment przy jednej z wystaw. Cyphre przeciął 42 Ulicę i skręcił na zachód. Obserwowałem go, stojąc na rogu, po czym ruszyłem jego śladem drugą stroną ulicy.

Cyphre wyróżniał się spośród tłumu. Nie było to trudne, gdy między alfonsami, naganiaczami, ćpunami i giganciarzami, tworzącymi barwną galerię postaci 42 Ulicy, ktoś jest ubrany, jakby miał zaraz wystąpić na konkursie hippicznym. Domyślałem się, że jego punktem docelowym jest Port Authority. Cyphre zaskoczył mnie jednak, skręcając w połowie przecznicy do Muzeum i Cyrku Pcheł Huberta. Przemknąłem, lawirując przez cztery pasy

dwukierunkowej jezdni jak „Szalone nogi” Hirsch, wymijający szeregi obrońców podczas biegu po przyłożeniu i przystanąłem dopiero na widok tablicy przy wejściu. Błyszczące litery układały się w napis: ZDUMIEWAJĄCY DR CYPHRE. Zdjęcia formatu osiem na dziesięć ukazywały mego klienta w cylindrze i fraku a’la Czarodziej Mandrake. TYLKO KILKA WYST ĘPÓW głosiło drugie hasło. Na parterze znajdował się salon, scena była na dole. Wszedłem, kupiłem bilet i znalazłem sobie miejsce w ciemnym kącie, przy sięgającej do piersi barierce ze sklejki. Na małej, jasno oświetlonej scenie wiła się akurat nie najchudsza tancerka, z trudem nadążająca za smętnymi tonami arabskiej muzyki. Naliczyłem, że prócz mnie było tu jeszcze pięcioro widzów. Co, u diabła, elegancki Louis Cyphre robił w takiej dziurze? Ta-144 nie sztuczki nie pasowały do mężczyzn w limuzynach i prawników z Wall Street. Może sprawiało mu przyjemność występowanie przed publicznością. A może to wszystko było zaaranżowane, ustawione tak, abym połknął haczyk.

Kiedy zdarta płyta wreszcie się skończyła, ktoś za kulisami puścił ją jeszcze raz. Tancerka wydawała się znudzona. Gapiła się w sufit. Myślała zupełnie o czymś innym. Po ośmiu taktach trzeciej powtórki urządzenie zostało wyłączone, a tancerczka lotem błyskawicy zniknęła za kulisami. Żaden z widzów nie zaklaskał.

Patrzyliśmy w szóstkę na pustą scenę bez słowa skargi, aż w końcu zjawił się na niej jakiś stary piernik w czerwonej kamizelce i nałokietnikach.

— Panie i panowie — wysapał — z niepokojem i fascynacją pragnę przedstawić teraz państwu zdumiewającego, tajemniczego, niezapomnianego doktora Cyphre’a. Przywitajmy go serdecznie. — Tylko staruszek zaklaskał w dłonie i czym prędzej, powłócząc nogami, zniknął za kulisami.

Światła zostały prawie całkowicie wygaszone. Po rozlegających się przez chwilę w oddali stłumionych trzaskach, stukach i szeptach, jak w amatorskich teatrzykach, nastąpił oślepiający błysk. Równocześnie włączono na powrót wszystkie światła, ale moje oczy potrzebowały dobrych kilku sekund, aby przywyknąć do jasności. Zamazane, niebiesko — zielone powidoki wirowały mi przed oczami, przesłaniając rysy postaci stojącej na scenie.

— Któż z nas wie, jak skończy się nasz żywot? Któż może wiedzieć, czy nadejdzie jutro? — Louis Cyphre stał sam, pośrodku sceny, otoczony smużkami dymu; w powietrzu unosił się smród palonej magnezji. Był ubrany na czarno, w stylu edwardiańskim, a pod marynarką fraka miał kamizelkę z dwoma guzikami. Na stoliku obok niego stała czarna skrzynka wielkości pojemnika na chleb.

— Przyszłość jest nie napisanym tekstem, a ten, kto ośmiela się czytać owe białe stronice, czyni to na własne ryzyko.

Cyphre zdjął białe rękawiczki, wykonał zamaszysty gest, pstryknął w powietrzu palcami i rękawiczki zniknęły. Zdjął ze stolika rzeźbioną hebanową pałeczkę i skinął w stronę kulis. Na scenę znów wyszła tancerka; jej pulchne kształty przesłonięte były sięgającą do podłogi aksamitną peleryną.

— Czas maluje portret, którego nikt nie jest w stanie zignorować. Cyphre zakreślił nad głową kobiety małe kółko. To wystarczyło, by tancerka zaczęła kręcić w miejscu piruety.

— Któż z nas zechciałby ujrzeć końcowy kształt? Co innego obserwować w lustrze przemiany zachodzące z dnia na dzień, drobne jej oznaki bywają zwykle nie dostrzegane.

Tancerka odwróciła się do widzów plecami. W świetle reflektora jej długie, czarne włosy lśniły żywym blaskiem. Cyphre skierował hebanową pałeczkę jak miecz w kierunku szóstki

widzów.

— Niechaj ci, którzy ujrzą przyszłość, patrzą odtąd na mnie ze zgrozą!

Tancerka odwróciła się, ukazując pomarszczone oblicze bezzębnej, zgrzybiałej staruchy. Jej szkaradną twarz okalały rzadkie pasemka popielatych włosów. Jedno ślepe oko błyszczało w świetle jak porcelanowa gałka. Nie zauważyłem, aby nakładała maskę i efekt jej przemiany był doprawdy porażający. Pijak siedzący obok mnie w okamgnieniu wytrzeźwiał.

— Ciało jest śmiertelne, przyjaciele — rzekł doktor Cyphre. — A żądze wygasają jak płomyki świec, zdmuchnięte powiewem zimowego wiatru. Panowie, oferuję wam rozkosze, które jeszcze tak niedawno rozważaliście, gdy krew wrzała w waszych żyłach. Machnął pałeczką, a tancerka rozchyliła poły ciężkiego płaszcza. Wciąż miała na sobie muślinowy kostium, ale jej pomarszczone piersi obwisły i zwiotczały pod ozdobnymi miseczkami. Zaokrąglony ongiś brzusek zwieszał się posępnie pomiędzy kanciastymi, kościstymi biodrami. To była całkiem inna kobieta. Nie sposób było podrobić tych obrzmiałych, artretycznych kolan ani chudych jak patyki ud.

— I co nam po tym wszystkim? — Doktor Cyphre uśmiechnął się promiennie.

— Dziękuję, kochanie, byłaś doprawdy nieoceniona. — Ruchem pałeczki odprawił kobietę ze sceny. Tancerka, powłócząc nogami, zniknęła za kulisami. Rozległy się nieśmiałe brawa.

Doktor Cyphre uniósł dłoń do góry. — Dziękuję, przyjaciele. Skłonił się nisko. — Na końcu każdej drogi znajduje się grób. Tylko dusza jest nieśmiertelna. Strzeżcie dobrze tego skarbu. Wasze rozkładające się ciała są jedynie tymczasowym naczyniem podczas nie kończącej się wędrówki. Pozwólcie, że opowiem wam pewną

historię; kiedy byłem młody i dopiero rozpoczynałem swe wędrówki, w portowym barze w Tangerze natknąłem się na pewnego emerytowanego marynarza i uciałem sobie z nim dłuższą pogawędkę. Mój kompan był Niemcem, urodzonym na Śląsku, lecz swe ostatnie dni spędzał pod marokańskim słońcem, zimując w Marakeszu, letnie zaś miesiące przepędzał na hulankach i pijatykach w najrozmaitszych portach, które odwiedzał wedle życzenia. Stwierdziłem, że znalazł sobie przytulną przystań.

— Spędziłem prawie czterdzieści pięć lat na morzu — odparł.

— Szczęściarz z ciebie — powiedziałem. — Nie dosięgły cię wszak życiowe burze. . .

— Szczęście?. . . — Stary wilk morski roześmiał mi się w twarz. — Ty to nazywasz szczęściem? Uważaj przeto siebie za szczęśliwca. W tym roku muszę przekazać to następnemu.

Poprosiłem o bliższe wyjaśnienia. Opowiedział mi tę historię, tak jak ja teraz dzielę się nią z wami. Kiedy był w moim wieku i dopiero zaczynał swą przygodę z morzem, spotkał na Samoa człowieka przeczesującego plażę, który podarował mu butelkę z duszą hiszpańskiego kwatermistrza, pływającego ongiś na jednym z okrętów armady króla Filipa. Wszelkie choroby czy niedole mające spaść na niego, dosięgały zamkniętego wewnątrz butli więźnia. Nie wiedział, jakim sposobem dusza Hiszpana została uwięziona, ale w wieku siedemdziesięciu lat musiał przekazać ją pierwszemu młodzieńcowi, który zechce ją przyjąć, w przeciwnym razie zostanie skazany i trafi do wnętrza butelki, by odtąd dotrzymać towarzystwa nieszczęsnemu konkwistadorowi. Tu stary Niemiec spojrzał na mnie ze smutkiem. Za miesiąc kończył siedemdziesiąt jeden lat. Pora — stwierdził — przekonać się, czym naprawdę jest życie. Przekazał mi butelkę. Była to dmuchana butelka bursztynowego koloru, liczyła sobie na pewno dobre

kilkaset lat. W otworze szyjki tkwił złoty korek. — Doktor Cyphre sięgnął po czarną skrzynkę i wyjął stamtąd butelkę.

— Spójrzcie, państwo. — Postawił ją na skrzynce. Opis był bardzo dokładny, doktor pominął tylko fakt, iż wewnątrz butelki miotał się drobny, przerażony cień.

— Wiodłem długie i szczęśliwe życie, ale posłuchajcie. . .

Wszyscy bacznie nadstawili uszu — Posłuchajcie. . . Głos Cyphre'a przeszedł w szept. W ciszy, jaka potem nastąpiła, rozległy się słowa skargi delikatne jak dźwięk dzwoneczka albo jak przesuwanie łańcuchem ze spinaczy biurowych po ścianie kryształowego kielicha. Wytężyłem słuch, by wychwycić ulotny dźwięk, który zdawał się dochodzić z wnętrza bursztynowej flaszki.

— Ay — you — da — may. . . ay — you — da — may. . .

Wciąż ta sama, nawiedzona, melodyjna fraza. Usiłowałem dojrzeć choćby najdelikatniejszy ruch warg Cyphre'a. Ale on tylko się uśmiechał. Szczyrzył się z wyrazem surowej, nie skrywanej szczęśliwości.

— Tajemniczy los — powiedział. — Czemu miałbym wieść życie pozbawione bólu, podczas gdy inna dusza człowiecza jest skazana na wieczne tortury i cierpienia wewnątrz tej butelki?

Wyjął z kieszeni czarny, aksamitny woreczek i włożył do niego flaszkę. Ściągnąwszy sznurek zamykający worek, położył go na skrzyneczce. Uśmiechnął się do widzów. Następnie bez jednego słowa okręcił się na pięcie i ruchem pełnym gracji uderzył w worek swoją ozdobną hebanową pałeczką, jakby to była jego szabla. Nie usłyszeliśmy brzęku tłuczonego szkła. Pusty woreczek został podrzucony w górę i zręcznie pochwycony. Louis Cyphre zmiął go w kulkę i włożył do kieszeni, dziękując za oklaski krótkim, energicznym ruchem głowy.

— Chciałbym pokazać państwu coś jeszcze — powiedział. —

Zanim to jednak uczynię, muszę zaznaczyć, że nie jestem treserem zwierząt, a jedynie kolekcjonerem egzotycznych ciekawostek.

Postukał pałeczką w czarną skrzynkę. — Zawartość tej skrzynki nabyłem w Zurychu, od egipskiego kupca, którego znałem od lat, jeszcze z Aleksandrii. Powiedział, że to, co tu ujrzycie, to dusze zakłete jeszcze za czasów papieża Leona X. Miały służyć ku jego uciechu, ale wydaje się to trochę nieprawdopodobne, czyż nie?

Doktor Cyphre otworzył metalowe zamki przy wieku skrzyni, tak by stworzyć tryptyk. Naszym oczom ukazał się miniaturowy teatr ze sceną i tłem odmalowanym zgodnie z zasadami idealnej perspektywy epoki włoskiego Renesansu. Na scenie znajdowały się białe myszki, przyodziane w jedwabne i brokatowe kostiumy postaci z *commedia dell'arte*. Byli to PUNCHINELLO i COLOMBINA, SCARAMOUCHE i ARLEKIN. Wszystkie chodziły na tylnych łapach, wykonując złożone, pantomimiczne gesty. Ich ekwilibrystycznym wyczynom towarzyszyła dźwięczna muzyka z pozytywki.

— Egipcjanin powiedział, że one nigdy nie umrą — rzekł Cyphre. — Może trochę przesadził. Ja mogę powiedzieć tylko, że w ciągu sześciu lat nie straciłem ani jednej.

Mali aktorzy spacerowali po linach i po kolorowych piłkach, wymachiwali malutkimi mieczykami i parasolami, jak również przewracali i wywijali koziołki z idealną precyzją.

— Można by przypuszczać, że zaczarowane myszy nie powinny mieć żadnych potrzeb. — Doktor Cyphre nachylił się i znad skrzyni obserwował przedstawienie. Był wyraźnie zachwycony. — Codziennie dostają wodę i strawę. A muszę dodać, że apetyt mają nieziemski.

— Zabawki — burknął mężczyzna siedzący w mroku obok mnie. — To muszą być zabawki.

Jak na zawołanie Cyphre wyciągnął rękę i Arlekin wspiął się

po niej, wężąc małym noskiem na prawo i lewo. Gryzoń wszedł aż na ramię doktora. Czar prysnął. Teraz była to zwyczajna mysz w małym, skrzącym się od cekinów kostiumie. Cyphre ujął gryzonia za ogon i opuścił wymachujące łapkami zwierzątko z powrotem na scenę, gdzie natychmiast przyjęło poprzednią, wyprostowaną pozycję i zaczęło się zachowywać w nietypowy dla innych gryzoni sposób.

— Jak widzicie, nie potrzebuję telewizji. — Doktor Cyphre złożył boki miniaturowej sceny i zamknął skrzyneczkę. U góry była rączka, pozwalająca zdejmować skrzynkę ze stolika jak walizkę.

— One występują, kiedy tylko otworzę to pudełko. Nawet w show — biznesie istnieje czyściec.

Cyphre wsunął pałeczkę pod pachę i upuścił coś na stolik. Błysnęło białe światło, oślepiając mnie na kilka sekund. Zamrugalem i przetarłem oczy. Scena opustoszała. W świetle reflektora stał na niej tylko pusty, samotny stolik. Z niewidocznego głośnika dobiegł bezczelny głos Cyphre'a: „Zero, punkt pośredni pomiędzy tym, co ujemne i co dodatnie, stanowi bramę, przez którą prędzej czy później musi przejść każdy śmiertelnik”.

Znów pojawił się staruch w zarękwkach i wyniósł za kulisy stolik, podczas gdy z ukrytego głośnika popłynęły dźwięki *Nocnego pociągu*. Powróciła również tancerka, tłusta i różowa jak poprzednio, a kiedy zakreśliła biodrami, miała w sobie tyle gracji co słoń w składzie porcelany.

Ruszyłem po uginających się schodach na górę. Zimne ciarki strachu, które poczułem po raz pierwszy we francuskiej restauracji, powróciły. Mój klient igrał ze mną, robiąc z moim umysłem dziwne sztuczki, jak benklarz ogrywający naiwnych frajerów w benkle lub trzy karty.

Rozdział trzydziesty siódmy

Od frontu gruby młody chłopak w różowej koszuli, spodniach khaki i brudnych białych butach wyjmował zdjęcia z przeszklonej tablicy reklamowej. Przyglądał się temu nerwowy żołądkowiec w wojskowym płaszczu i tenisówkach.

— Świetne przedstawienie — powiedziałem do chłopaka. — Ten doktor Cyphre jest cudowny.

— Dziwaczny — rzucił grubasek.

— To jego ostatni występ?

— Chyba tak.

— Chciałbym mu pogratulować. Czy mógłbym dostać się jakoś za kulisy?

— Właśnie minął się pan z nim. — Wyjął zdjęcie mego klienta zza szyby i wsunął do swej koperty.

— Nie lubi zostawać tu długo po występie.

— Minąłem się z nim? To niemożliwe.

— W ostatniej części występu puszcza taśmę z magnetofonu. To daje mu tę niezbędną chwilę przewagi nad widzami. Nie przebiera się ani nic.

— Miał skórzaną torbę?

— Tak, i swoją czarną skrzyneczkę.

— Gdzie on mieszka?

— A skąd mam to wiedzieć? — Młody grubasek zamrugał. — Pan z policji czy jak?

— Ja? Nie, nic z tych rzeczy. Chciałem tylko powiedzieć mu, że zyskał we mnie nowego wielbiciela jego sztuki.

— Niech pan to powie jego agentowi. — Podał mi zdjęcie.

Doskonały uśmiech Louisa Cyphre'a był jaśniejszy niż błyszczący papier fotograficzny. Odwróciłem zdjęcie. Na białej powierzchni widniała pieczętka:

WARREN WAGNER I S KA

WY. 9 3500

Roztrzęsiony żołądkowiec skoncentrował swoją uwagę na stojącym przy wejściu bilardzie elektrycznym. Oddałem grubaskowi zdjęcie.

— Dzięki — rzuciłem i rozpląnąłem się w tłumie.

Złapałem taksówkę, którą dojechałem do Broadwayu; wysiadłem przed Rivoli Theatre, naprzeciwko Brill Building. Włóczęga w wojskowym płaszczu miał wolne dni. Wjechałem windą na siódme. Tleniona recepcjonistka pomalowała dziś paznokcie na srebrny kolor. Nie pamiętała mnie. Pokazałem jej moją wizytówkę.

— Czy pan Wagner jest u siebie?

— Teraz jest zajęty.

— Dzięki. — Wyminąłem jej biurko i energicznym ruchem otworzyłem drzwi z napisem GABINET PRYWATNY.

— Hej, panie, co pan. . . — Była tuż za mną, szarpiąc pazurami jak harpia. — Nie może pan tam. . .

Zatrzasnąłem jej drzwi przed nosem.

— . . . trzy procent brutto to potwarz — zapiszczał karzełek w czerwonym golfie. Siedział na sfatygowanej kanapie jak lalka, z krótkimi nóżkami wyciągniętymi do przodu.

Warren Wagner junior spiorunował mnie wzrokiem znad swego nadpalonego petami biurka.

— Z jakiej racji wpada pan w ten sposób do mego gabinetu?

— Potrzebuję odpowiedzi na dwa pytania, a nie mam teraz

czasu na czekanie.

— Znasz tego faceta? — spytał liliput pijackim głosem.

Rozpoznałem go jako aktora wieczornych sobotnich seansów z czasów mego dzieciństwa. Grał we wszystkich komediach z cyklu „Dzieciak z Hell’s Kitchen”, a jego pomarszczone oblicze ani trochę się nie zmieniło, mimo iż upłynęło już tyle lat — jedynie czarna ongiś czupryna karła była teraz śnieżnobiała jak z reklamówki detergentu.

— Nigdy wcześniej go nie widziałem — warknął Warren junior.

— Spadaj stąd, palancie, zanim wezwę gliny.

— Widziałeś się ze mną w poniedziałek — odparłem, siląc się na spokojny ton. — Pracowałem incognito. — Wyjąłem portfel i pokazałem mu legitymację.

— No więc jesteś detektywem. To nie uprawnia cię do bezczelnego przerywania prywatnych spotkań.

— Oszczędź sobie adrenaliny i powiedz po prostu to, co chcę wiedzieć, a obiecuję, że ulotnię się stąd w pół minuty.

— Johnny Favorite znaczy dla mnie mniej niż nic — powiedział. — Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem.

— Zapomnij o Johnnym Favoricie. Opowiedz mi o swoim kliencie, tym, który nazywa siebie doktor Cyphre.

— Co mam ci powiedzieć? Pracuje dla mnie od ubiegłego tygodnia. — Jak naprawdę się nazywa?

— Louie Seafur. Sekretarka może ci to przeliterować.

— Gdzie mieszka?

— Janice ci powie — odburknął. — Janice!

Srebrne pazurki otworzyły drzwi i nieśmiało zajrzały do środka.

— Tak, panie Wagner? — pisnęła dziewczyna.

— Udziel panu Angelowi wszelkich informacji, o jakie cię poprosi.

— Oczywiście, proszę pana.

— Bardzo dziękuję — powiedziałem.

— Następnym razem pukaj.

Janice nie uśmiechnęła się do mnie, żuła gumę i dziarsko zabrała się za wyszukiwanie w aktach adresu Louisa Cyphre'a. Nawet mi go zapisała.

— Sam się pan nadajesz do zoo — powiedziała, podając mi karteczkę. Aby to powiedzieć, czekała cały tydzień.

Hotel 1 2 3 mieścił się przy 46, między 6 a Broadwayem, adres był identyczny: 46 Zachodnia nr 123. Ten ogólnie pospolity budynek zdobiły wymyślne szczyty i okna mansardowe. Wszedłem i podałem recepcjoniście moją wizytówkę obłożoną dziesięciodolarówką.

— Chciałbym się dowiedzieć, jaki jest numer pokoju niejakiego Louisa Cyphre'a — powiedziałem, przeliterowując imię i nazwisko.

— I nie musisz pan nic mówić tutejszemu prywaciarzowi.

— Pamiętam go, miał czarne włosy i siwą brodę. — Właśnie o niego mi chodzi.

— Wyprowadził się ponad tydzień temu.

— Zostawił adres?

— Nie.

— A co z jego pokojem? Czy ktoś już go wynajął?

— To i tak nic by panu nie dało. Został gruntownie wysprzątnany.

Wszedłem z budynku na rozświetloną ulicę i pomaszerowałem w stronę Broadwayu. Był piękny dzień, w sam raz na spacer. Trio z Armii Zbawienia grało na tubie, akordeonie i tamburynie serenadę sprzedawcy kasztanów pod markizą Loew's

State, gdzie na Niedzielę Wielkanocną przewidywano uroczystość ponownego otwarcia. Chłonałem te obrazy i zapachy, starając się przypomnieć sobie świat sprzed tygodnia, kiedy coś takiego jak magia w ogóle nie istniało.

Do recepcjonisty z Astora podszedłem całkiem inaczej:

— Bardzo przepraszam, zastanawiam się, czy mógłby pan mi pomóc. Dwadzieścia minut temu miałem się spotkać w kafejce z moim wujkiem. Chciałbym do niego zadzwonić, ale nie znam numeru pokoju.

— Jak się nazywa pański wuj?

— Cyphre. Louis Cyphre.

— Bardzo mi przykro. Pan Cyphre wymeldował się dziś rano.

— Co takiego? Wrócił do Francji?

— Nie pozostawił adresu.

Powinienem był wtedy rzucić to wszystko w cholerę i zabrać Epiphany w rejs dookoła wyspy statkiem linii Circle Line. Zamiast tego zatelefonowałem do Hermana Winesapa z zapytaniem, co się dzieje.

— Co, u licha, wyprawia Louis Cyphre, występując w Pchlim Cyrku Huberta?!

— Czy to pańska sprawa? Nie wynajęto pana do śledzenia pana Cyphre'a. Sugeruję, aby trzymał się pan zadania, za które dostaje pan pieniądze.

— Wiedział pan, że on jest iluzjonistą?

— Nie. — Czy to pana nie intryguje, Winesap?

— Znam pana Cyphre' a od lat i bardzo cenię sobie jego doświadczenie. To człowiek o bardzo szerokim zakresie zainteresowań. Nie dziwi mnie, że znalazła się wśród nich również sztuka iluzji.

— Uprawiana w takim klubie?

— Może to takie hobby, forma odprężenia.

— To bez sensu.

— Panie Angel, za pięćdziesiąt dolarów dziennie, mój — a także, śmiem dodać, pański klient bez trudu może znaleźć sobie kogoś innego, kto będzie dla niego pracował.

Powiedziałem Winesapowi, że zrozumiałem aluzję, i odłożyłem słuchawkę. Po drodze do trafiki z cygarami wykonałem jeszcze trzy telefony. Pierwszy, do mego biura, zapoznał mnie z treścią informacji nagranej na automatycznej sekretarce; jakaś dama z Valley Stream donosiła o zaginięciu perłowego naszyjnika. Podejrzewała, iż sprawczynią jest osoba z jej klubu brydżowego. Nie zapisałem jej numeru.

Następnie zatelefonowałem do biura Krusemark Maritime Inc. i dowiedziałem się, że prezes i szef zarządu jest pogrążony w żałobie po stracie córki, a w związku z tym nieosiągalny. Spróbowałem jego numeru domowego i jakiś cerber zanotował sobie moje nazwisko. Nie czekałem długo.

— Co o tym wiesz, Angel? — warknął stary zbój.

— Co nieco. Oszczędźmy sobie tego wszystkiego. Muszę z panem pomówić. Załatwmy to od razu. Już do pana jadę.

— Dobrze. Dam znać na dół i powiem, żeby oczekiwali pańskiego przybycia.

Rozdział trzydziesty ósmy

W budynku przy Sutton Place 2 mieszkała Marilyn Monroe. Od 57 odchodził prywatny podjazd, a mój taksjarsz wysadził mnie pod sklepionym wejściem z różowego wapienia. Po drugiej stronie oczekiwał na wyburzenie rzędek trzypiętrowych ceglanych domów. Toporne, białe malowane krzyże zdobiły każde z okien na podobieństwo dziecięcej wizji cementarza. Odźwierny w liberii zdobionej złotym szamerunkiem hojniej niż mundur admirałski, podszedł do mnie szybkim krokiem. Podałem mu swoje nazwisko i spytałem o numer mieszkania Ethana Krusemarka.

— Tak, proszę pana — powiedział. — Winda po lewej.

Wsiadłem na czternastym piętrze, wchodząc do spartańskiego, wyłożonego orzechową boazerią holu. Dzięki wysokim lustrom w złotych ramach, liczba holów wydawała się nieskończona. Ujrzałem tylko jedne drzwi. Dwukrotnie nacisnąłem dzwonek i czekałem. Otworzył mi ciemnowłosa mężczyzna z myszką na górnej wardze.

— Proszę wejść, panie Angel. Pan Krusemark czeka na pana.

Miał na sobie szary garnitur w delikatne, brązowe prążki i wyglądał bardziej na kasjera z banku niż na lokaja.

— Proszę tędy.

Przeprowadził mnie przez olbrzymie, wytwornie urządzone pokoje z widokiem na East River i Sunshine Biscuit Company w Queens. Precyzyjnie rozmieszczone antyki przywodziły na myśl sale muzeum Metropolitan. W tych pokojach drogimi piórami wiecznymi podpisywano najważniejsze umowy. Dotarliśmy do zamkniętych drzwi i mój przewodnik w szarym stroju, zastukawszy

raz, powiedział: — Przyszedł pan Angel, proszę pana.

— Wprowadź go. — Nawet przez grube drzwi gardłowy warkot Krusemarka brzmiał władczo i pewnie.

Wprowadzono mnie do małej, pozbawionej okien salki treningowej. Ściany obwieszono lustrami; w ich błyszczących taflach odbijały się stalowe kadłuby maszyn kulturystycznych. Ethan Krusemark w podkoszulku i bokserkach leżał na plecach, obrabiając mięśnie nóg. Jak na faceta w jego wieku, wyciskał spore ciężary. Na dźwięk zamykanych drzwi usiadł i zlustrował mnie od stóp do głów.

— Jutro jej pogrzeb — powiedział. — Rzuć mi ręcznik.

Zrobiłem to, a Ethan skwapliwie otarł pot z twarzy.

Był pięknie zbudowany. Pod nitkami żył ciągnęły się grube węzły napakowanych, gruzłowatych mięśni. Z tym starym lepiej nie zadzierać.

— Kto ją zabił? — warknął. — Johnny Favorite?

— Zapytam, kiedy go tylko odnajdę.

— Ten żigolak, szansonista. Powinienem był posłać go do piachu, kiedy miałem ku temu okazję. — Przygładził długie pasemko srebrnych włosów, opadające mu na czoło.

— To znaczy kiedy? Wówczas, gdy razem z córką wykradł go pan z kliniki?

Spojrzał mi w oczy. — Strzela pan jak kulą w płot, Angel.

— Nie sądzę. Piętnaście lat temu zapłacił pan doktorowi Albertowi Fowlerowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za jednego z jego pacjentów. Przedstawił się pan jako Edward Kelley. Fowler miał dopilnować, by dla reszty świata Favorite nadal przebywał jako warzywo na jednym z zapomnianych oddziałów swojej kliniki. Do zeszłego tygodnia całkiem niezłe to mu się udawało.

— Kto panu płaci, aby grzebać w tej sprawie?

Wyjąłem papierosa i przetoczyłem między palcami. — Wie pan, że nie mogę tego powiedzieć.

— Mógłbym nieźle posmarować za tę drobną informację.

— Nie wątpię — odparłem. — Ale nic z tego. Mogę zapalić?

— Proszę.

Zapaliłem, wydmuchując dym, i powiedziałem: — Posłuchaj pan. Chce pan dostać tego, kto zabił pańską córkę. Ja poszukuję Johnny'ego Favorite'a. Być może obu nam chodzi o tego samego faceta. Nie dowiemy się tego, dopóki go nie odnajdziemy.

Grube palce Krusemarka zacisnęły się w pięść. To była wielka pięść. Uderzył nią w drugą dłoń, a wewnątrz sali treningowej rozbrzmiało echem odgłosu przypominającego trzask rozłupywanego drewna.

— No dobrze — mruknął. — To ja podałem się za Edwarda Kelleya. I to ja zapłaciłem Fowlerowi dwadzieścia pięć kawałków.

— Dlaczego użył pan nazwiska Kelley?

— Sądzi pan, że nie powinienem wystąpić incognito? To był pomysł Meg, niech mnie pan nie pyta, jak na to wpadła.

— Dokąd zawieźliście Favorite'a?

— Na Times Square. Był sylwester, czterdziestego trzeciego. Wysadziliśmy go i zniknął w tłumie. Mieliśmy nadzieję, że nigdy więcej nie pojawi się w naszym życiu. Tak nam się wydawało.

— Zreasumujmy — rzekłem. — Mam przyjąć, że po wybuleniu dwudziestu pięciu patoli za Favorite'a tak po prostu wypuścił go pan na zatłoczonej ulicy?

— Tak właśnie było. Zrobiłem to dla mojej córki. Zawsze dawałem jej to, czego chciała.

— A ona chciała, aby Favorite zniknął?

Krusemark nałożył szlafrok frotte.

— Sądzę, że miało to coś wspólnego z tym, co razem

kombinowali przed jego zaciągnięciem się do wojska. Bądź co bądź, przez pewien czas bawili się w jakieś tam czary — mary.

— Ma pan na myśli czarną magię?

— Czarną, białą, cóż to za różnica? Meg zawsze była śmiesznym dzieckiem. Bawiła się kartami tarota, zanim jeszcze nauczyła się czytać.

— Skąd u niej te zainteresowania?

— Nie wiem. Przesądna guwernantka, jedna z naszych europejskich kucharek. Kiedy najmuje się służbę, nie sposób stwierdzić, co tym ludziom roi się w głowach.

— Wiedział pan, że córka prowadziła kiedyś salon wróżb na Coney Island?

— Tak. To ja jej to załatwiłem. Była wszystkim, co miałem, i dlatego ją rozpuściłem.

— W jej mieszkaniu znalazłem zmumifikowaną ludzką rękę. Wiedział pan o tym?

— Ręka Chwały. To talizman mający otwierać wszelkie zamknięcia, wszystkie zamki. Prawa dłoń skazanego mordercy, odcięta, kiedy pętla wciąż jeszcze zaciska się wokół jego szyi. To dłoń z rodowodem. Należała do walijskiego rabusia, kapitana nazwiskiem Silverheels, straconego w roku 1786. Nabyła ją przed laty w jakimś sklepiku z osobliwościami, w Paryżu.

— Niezła pamiątka z wycieczki, jak czaszka, którą Favorite nosił w aktówce. Wygląda na to, że mieli podobne gusta.

— Tak. Favorite podarował tę czaszkę Meg, na dzień przed wyruszeniem na front. Wszyscy inni obdarowują swoje dziewczyny sygnetami bractw lub sweterkami z emblematami uczelni. On wybrał czaszkę.

— Sądziłem, że właśnie wtedy Favorite i pańska córka zerwali narzeczeński związek.

— Oficjalnie tak. Widać taką prowadzili grę. Ustalali zasady między sobą.

— Czemu tak pan mówi? — Strzepnąłem popiół na podłogę.

— Ponieważ w ich związku nic się nie zmieniło. — Krusemark nacisnął guzik przy drzwiach. — Napije się pan?

— Odrobinę whisky, z przyjemnością.

— Szkockiej?

— Jeżeli można, burbona. Z lodem. Czy pańska córka wspominała kiedykolwiek o kobiecie nazwiskiem Evangeline Proudfoot?

— Proudfoot? Nie kojarzę. Być może.

— A voodoo? Czy wspominała o voodoo?

Rozległo się pojedyncze stuknięcie i otworzyły się drzwi.

— Słucham, proszę pana? — spytał mężczyzna w szarym garniturze.

— Pan Angel prosi o szklaneczkę burbona, tylko z lodem. A dla mnie brandy. Aha, Benson. . .

— Tak, proszę pana?

— Przynieś panu Angelowi popielniczkę.

Benson skinął głową i zamknął za sobą drzwi.

— To kamerdyner? — spytałem.

— Benson jest moim osobistym sekretarzem. To kamerdyner z głową na karku.

Krusemark wsiadł na rowerek treningowy i zaczął pokonywać wymaginowane mile.

— Co pan mówił o voodoo?

— W tamtych czasach, przed wojną, Favorite dość żywo interesował się tą religią. Zastanawiałem się, czy córka wspominała panu o tym.

— Nie, nic mi nie mówiła o voodoo.

— Doktor Fowler stwierdził, że kiedy zabierał go pan ze szpitala, Favorite cierpiał na amnezję. Czy rozpoznał pańską córkę?

— Niestety, nie. Zachowywał się jak lunatyk. Niewiele mówił. Gapił się tylko w noc przez szybę samochodu.

— Innymi słowy, traktował was jak obcych mu ludzi?

Krusemark przez chwilę pedałowal w milczeniu.

— To był pomysł Meg — powiedział w końcu. — Tak właśnie to sobie wykoncypowała. Nie chciała, abyśmy zwracali się do niego per Johnny ani żebyśmy wspominali o ich związku sprzed lat.

— Czy to nie wydało się panu dziwne?

— Wszystko, co robiła Meg, było dziwne.

Na chwilę zanim Benson zapukał do drzwi, usłyszałem delikatny brzęk kryształu płynący z korytarza. Kamerdyner z głową na karku wtoczył do sali barek na kółkach. Nalał mi drinka, napełnił kieliszek dla szefa i zapytał, czy życzymy sobie czegoś jeszcze.

— To na razie wszystko — rzekł Krusemark, unosząc kieliszek w kształcie tulipana w kierunku nosa, rozkoszując się bukietem koniaku.

— Dziękuję, Benson.

Benson wyszedł. Obok kubelka z lodem zauważyłem popielniczkę i zgasilem w niej papierosa. — Któregoś razu słyszałem, jak mówił pan córce, żeby dosypała mi do kawy Głupiego Jasia. Podobno w Azji opanował pan do perfekcji sztukę rozwiązywania ludziom języków.

Krusemark rzucił mi dziwne spojrzenie. — Trunek jest czysty — zachnął się.

— Niech mnie pan przekona — podałem mu szklaneczkę. — Proszę wypić.

Upił kilka łyków i oddał mi drinka.

— Już za późno na gierki. Potrzebuję pańskiej pomocy, Angel.

— Wobec tego niech pan będzie wobec mnie szczery. Czy pańska córka spotkała się znowu z Favorite'em, po tamtym sylwestrze?

— Nigdy.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście. Wątpi pan w to?

— Z racji wykonywanego zawodu wątpię we wszystko, co mi mówią ludzie. Skąd pan wie, że nigdy więcej się nie spotkali?

— Nie mieliśmy wobec siebie tajemnic. Nie ukryłaby przede mną czegoś takiego.

— Wygląda na to, że nie zna się pan na kobietach tak dobrze jak na biznesie żegludowym.

— Znam moją córkę. To mi wystarczy. Jeżeli spotkała się ponownie z Favorite'em, stało się to w dniu, kiedy ją zamordował.

Sączyłem wolno drinka. — Ładnie, pięknie — powiedziałem. — Facet z totalną amnezją, nie znający nawet własnego nazwiska, piętnaście lat temu znika bez śladu w tłumie świętujących Nowy Rok, aż tu nagle, ni stąd, ni zowąd znów się pojawia i zaczyna mordować.

— Kogo jeszcze zabił? Fowlera?

Uśmiechnąłem się. — Fowler popełnił samobójstwo.

— Nietrudno je zaaranżować — prychnął.

— Czyżby? A jak pan by to zrobił, panie Krusemark?

Magnat zmierzył mnie zimnym jak stal spojrzeniem starego pirata. — Niech pan nie wkłada swoich słów w moje usta, Angel. Gdybym chciał sprzątnąć Fowlera, zrobiłbym to wiele lat temu.

— Szczerze wątpię. Dopóki należycie strzeżę tajemnicy losu Favorite'a, był dla pana cenniejszy żywy niż martwy.

— Powinienem był posłać do piachu Favorite'a, a nie Fowlera — warknął. — A nawiasem mówiąc, prowadzi pan śledztwo w sprawie któregoś z tych zabójstw?

— Nie prowadzę żadnego dochodzenia w sprawie morderstwa — sprostowałem. — Szukam faceta cierpiącego na zanik pamięci.

— Mam nadzieję, że go pan znajdzie.

— Czy wspomniał pan glinom o Johnnym Favoricie? Krusemark potarł kanciasty podbródek.

— To nie było proste. Chciałem skierować ich na właściwy trop, nie pogrążając przy tym siebie.

— Domyślam się, że wymyślił pan jakąś sprytną i wiarygodną historyjkę.

— Tak, bajer był niezły. Pytali, czy znam facetów, z którymi Meg miewała romanse. Podałem kilka nazwisk, które kiedyś od niej usłyszałem, dodając przy tym, że jedyną wielką miłością jej życia był Johnny Favorite. Naturalnie chcieli dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— Naturalnie — potaknąłem.

— Opowiedziałem o ich zaręczynach, o jego dziwnych zainteresowaniach i w ogóle. O rzeczach, które nigdy nie trafiły do gazet, kiedy jego nazwisko nie schodziło z pierwszych stron.

— Założę się, że otoczka pańskiej historyjki była dostatecznie ponętna.

— Kupili ją w ciemno.

— A gdy zapytali, gdzie można znaleźć Favorite'a, co pan odpowiedział?

— Nic. Że nie widziałem go od wojny. Podałem też, jakoby wrócił z frontu ciężko ranny. Jeżeli nie zdołają go odnaleźć, powinni zacząć szukać sobie innej pracy!

— Dotrą w ten sposób do Fowlera — mruknąłem. — I tu

zaczną się schody.

— Zapomnij o ich problemach. A co z pańskimi? Czy udało się panu go odnaleźć?

— Jak dotąd nie — dopiłem drinka i postawiłem szklaneczkę na barku. — Nie zdołałem go zlokalizować. Jeżeli jednak jest gdzieś tu, w mieście, niedługo znowu da o sobie znać. . . . Następnym razem będę przygotowany. I będę na niego czekał.

— Uważa pan, że jestem jego kolejnym celem? — Krusemark ześlizgnął się ze swego rowerka.

— A jak się panu wydaje?

— Raczej nie spędzi mi to snu z powiek.

— Byłoby dobrze, gdybyśmy pozostali w kontakcie — powiedziałem. — Mój numer jest w książce, gdyby czegoś pan potrzebował. — Nie zamierzałem dawać swojej wizytówki kolejnemu potencjalnemu kandydatowi na nieboszczyka.

Krusemark poklepał mnie po ramieniu i błysnął uśmiechem za milion dolarów. — Zabawny z pana facet, Angel. — Odprowadził mnie do drzwi frontowych, a cała jego postać przypominała świnie pocącą się krwią.

— Już wkrótce odezwę się do pana, może pan na mnie liczyć.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Czułem energiczny uścisk ręki Krusemarka, nawet kiedy znalazłem się już na ulicy.

— Taksówkę, proszę pana? — spytał odźwierny, dotykając końcami palców otoka czapki.

— Nie, dziękuję. Przejdę się trochę. — Potrzebowałem odrobiny czasu na rozmyślenia, nie miałem ochoty wysłuchiwać wywodów jakiegoś taksjarza na tematy filozoficzne, praktyczne czy sportowe.

Kiedy wyszedłem z budynku, na rogu ulicy czekało już dwóch mężczyzn. Niski, krępy w niebieskiej ortalionowej kurtce i czarnych trampkach wyglądał jak licealny trener futbolu. Jego kompanem był dzieciak po dwudziestce, długowłosa o wilgotnych oczach pocztówkowego Jezusa. Jego zapinany na dwa guziki zielony garniturek ze sztucznego jedwabiu miał ostro zakończone wyłogi kołnierza, watowane ramiona i wydawał się o dobre kilka numerów za duży dla niego.

— Hej, koleś, masz chwilkę — zawołał trener, podchodząc do mnie z rękami w kieszeniach. — Chciałbym coś ci pokazać.

— Kiedy indziej — odparłem.

— Teraz. — Spod na wpół rozpiętej wiatrówki trenera łypnęła na mnie kanciasta muszka automatu.

Widać było tylko górną jej część. To był kaliber 22, co oznaczało, że facet był dobry, albo tak mu się przynajmniej wydawało.

— Pomyliliście się — powiedziałem.

— Bynajmniej. Ty jesteś Harry Angel, zgadza się? — Automat

gładko wsunął się z powrotem pod wiatrówkę.

— Czemu pytasz, skoro i tak już wiesz?

— Po drugiej stronie ulicy jest park. Pójdziemy tam teraz na małą przechadzkę i w jakimś ustronnym miejscu utniemy sobie krótką pogawędkę.

— A on? — skinąłem na chłopaka w garniturku, nerwowo przyglądającego się nam zażawionymi oczami.

— Idzie z nami.

Chłopak trzymał się nieco z tyłu. Przecieliśmy Sutton Place i ruszyliśmy po schodach w dół do małego parku nad East River.

— Niezła sztuczka — powiedziałem. — Wycięte kieszenie w kurtce, ho, ho.

— Skuteczne, no nie?

Promenada ciągnie się wzdłuż brzegu rzeki, do wody od żelaznej balustradki jest jakieś trzy metry. Na drugim końcu niewielkiego parku siwowłosy mężczyzna w rozpinanym wełnianym swetrze prowadził na smyczy teriera yorkshire. Szedł w naszą stronę, ale bardzo wolno, noga za nogą.

— Zaczekamy, aż ten błazen sobie pójdzie — rzekł trener. — Podziwiał widoki.

Dzieciak ze stygmatami w oczach oparł się łokciami o balustradę i patrzył na barkę borykającą się z prądem w kanale przy Welfare Island. Trener stał za moimi plecami, balansując na piłkach stóp jak mistrz bokserski. Nieco dalej terier przystanął przy koszu na śmieci i podniósł tylną łapę. Czekaliśmy.

Spojrzałem w górę na misterną, jak z koronki, konstrukcję mostu Queensboro i bezchmurne, błękitne niebo uwięzione w pajęczej sieci nitek żelaznych dźwigarów. Podziwiał widoki. Cóż za piękny dzień. Nie można by wybrać sobie lepszego na śmierć, dlatego podziwiał widoki i nie rób nam kłopotów. Po prostu patrz

sobie na niebo, aż jedyny świadek pójdzie sobie w cholerę, i staraj się nie myśleć o opalizujących grzbietach fal oleistej rzeki, płynącej leniwie pod tobą, dopóki nie wpadniesz w nią, z kulą w głowie.

Zacisnąłem dłoń na rączce aktówki. Mojego krótkolufego smith and wessona równie dobrze mogłem zostawić w domu. Facet z pieskiem był o jakieś piętnaście stóp od nas. Przeniosłem ciężar ciała na drugą nogę i spojrzałem na trenera, czekając, aż popełni błąd. Spojrzał na faceta z psem. Trwało to ułamek sekundy. Tyle właśnie potrzebowałem. Z całej siły zamachnąłem się aktówką, celując nią w górę, między nogi trenera. Facecik krzyknął, i to całkiem szczerze, zgiął się wpół i nacisnął spust. Kula przeszła jego wiatrówkę i odbiła się od chodnika ze świstem. Sam strzał nie zabrzmiał głośniej niż kichnięcie. Terier zaczął rwać się ze smyczy i ochryple ujadać. Schwyciłem aktówkę obiema rękami i walnąłem nią trenera w głowę. Jęknął i upadł. Kopnąłem go w łokieć i colt woodsman z rękojeścią wykładaną macicą perłową, wirując wokół osi, poszorował po betonie.

— Sprowadź pan gliny! — ryknąłem do osłupiałego dżentelmena w wełnianym swetrze, podczas gdy chłopak o oczach Mesjasza podszedł do mnie z krótką, obłożoną skórą pałką w kościstej pięści.

— Ci faceci chcą mnie zabić!

Użyłem aktówki jak tarczy, przyjmując na jej drogi bok z cielejącej skóry impet pierwszego uderzenia. A potem kopnąłem i chłopak cofnął się zwinnie o kilka kroków. Długolufy kolt leżał kusząco blisko. Nie mogłem ryzykować, by schylić się po niego. Dzieciak najwyraźniej też zdał sobie z tego sprawę, bo starał się zagrozić mi drogę do spluwy. Nie był dość szybki. Silnym kopnięciem przerzuciłem gnata pod barierką w odmęty rzeki.

I jednocześnie się odsłoniłem. Dzieciak trafił mnie w bok szyi

swoją skórzaną pałką z wkładem. Tym razem to ja wrzasnąłem. Łzy bólu napłynęły mi do oczu, gdy z trudem usiłowałem nabrać powietrza. Możliwie jak najlepiej osłaniałem głowę, ale to dzieciak był tu dyrygentem. Smagnął mnie lekko po ramieniu, a potem poczułem, jakby moje lewe ucho eksplodowało. Kiedy upadłem, zauważyłem, jak facet w swetrze chwyta ujadającego teriera na rękę i co sił w nogach zmyka po parkowych schodach na górę. Widziałem, jak rejterował, klęcząc na czworakach, z oczyma przesłoniętymi różową mgiełką bólu. We łbie mi huczało, jakby pod moją czaszką przetaczał się skład płonącego żywym ogniem ekspresu. Dzieciak grzmotnął mnie jeszcze raz i pociąg wjechał w tunel.

W czerni zajarzyły się punkciki światła. Szorstki beton pod moim policzkiem był dziwnie lepki i kleisty. Być może zgasłem na równie długi czas jak Rip Van Winkle, ale kiedy otworzyłem wciąż jeszcze sprawne oko, zobaczyłem chłopaka, który pomagał właśnie podnieść się trenerowi.

Dla tego ostatniego ów dzień był naprawdę feralny. Facet ścisnął oburącz poobijany boleśnie nabiął. Chłopak ciągnął go za rękaw, przynaglając i poganiając, ale tamten bynajmniej nie kwapił się do odejścia; wręcz przeciwnie, zawrócił, podszedł do mnie i przykopał mi w twarz.

— A masz, kutasie — usłyszałem jeszcze, zanim kopnął mnie powtórnie.

Potem nie słyszałem już niczego. Byłem pod wodą. Tonąłem. Tylko że to nie była woda, lecz krew. Wartki prąd krwi miotał mną, szarpał i obracał na wszystkie strony. Tonąłem w niej, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Próbowałem złapać oddech, ale moje usta natychmiast wypełniły się krwią.

Krwawe fale wyrzuciły mnie na odległy brzeg. Usłyszałem

szum przyływu i zacząłem się czołgać, aby ponownie nie zostać wciągniętym do morza. Moje dłonie dotknęły czegoś zimnego i metalicznego. To była wygięta łukowato noga parkowej ławki. Z mgły dobiegły czyjeś głosy.

— Jest tam, panie posterunkowy. To ten człowiek. O Boże! Proszę spojrzeć, co z nim zrobili.

— Spokojnie, koleś — powiedział inny głos. — Już wszystko w porządku.

Silne ramiona uniosły mnie z krwawych odmętów.

— Połóż się na wznak. Będzie dobrze. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Próbując odpowiedzieć, wydobyłem z siebie dziwny, gardłowy charkot. Przywarłem do ławki — tratowki ratunkowej na wzburzonym morzu. Wirująca czerwona mgła rozviała się i ujrzałem kanciaste, poważne oblicze gliniarza. Podwójne rzędy złotych guzików lśniły jak wschodzące słońca. Skupiłem wzrok na blasze do tego stopnia, że prawie mogłem odczytać numer. Gdy próbowałem podziękować, znów wydałem ten sam gardłowy charkot.

— Spokojnie, kolego — rzekł posterunkowy o kanciastej twarzy. — Zaraz ściągniemy tu pomoc.

Zamknąłem oczy i usłyszałem inny głos:

— To było straszne. Oni chcieli go po prostu zastrzelić.

— Proszę z nim zostać — rzekł policjant. — Pójdę do telefonu i sprowadzę ambulans.

Ciepłe promienie słońca ogrzewały moją poobijaną facjatę. Każde pojedyncze zranienie pulsowało i ćmiło, jakby wewnątrz niego pracowało miniaturowe serce. Sięgnąłem ręką do twarzy. Nic w niej nie było znajome. To było obce oblicze.

Głosy uświadomiły mi, że znów byłem przez jakiś czas

nieprzytomny. Policjant podziękował facetowi z pieskiem, zwracając się doń per panie Groton. Poprosił go, aby w wolnej chwili zajrzał na komisariat w celu złożenia zeznań. Pan Groton oznajmił, że zjawi się tam po południu. Wycharczałem bełkotliwie słowa podziękowania, a posterunkowy powiedział, żebym się nie denerwował.

— Pomoc jest już w drodze.

Chyba w tej samej chwili zjawiła się karetka, chociaż, jak mi się zdaje, ponownie zapadłem w niebyt.

— Ostrożnie — rzekł jeden z sanitariuszy. — Weź go za nogi, Eddie.

Powiedziałem, że mogę chodzić, ale kiedy spróbowałem wstać, ugięły się pode mną kolana. Położono mnie na noszach, przypięto pasami i pojechaliśmy. Od tej pory dziwnie przestało mnie obchodzić, co się ze mną dzieje. Wnętrze karetki cuchnęło jakby wymiocinami. Poprzez narastający jęk syreny słyszałem, jak kierowca i jego partner śmieją się w głos.

Rozdział czterdziesty

Ocknąłem się ponownie w szpitalu Bellevue, pełniącym właśnie ostry dyżur. Przejęty młody lekarz oczyścił i założył szwy na mojej pokiereszowanej czaszce, mówiąc, że postarał się dać z siebie wszystko i jakoś pozbierać do kupy to, co zostało z mojego lewego ucha. Po Demerolu nie wydawało mi się to takie straszne. W wyrazie podziękowania wyszczerzyłem się do niego, ukazując połamane zęby.

Detektyw z miejscowego komisariatu zjawił się, kiedy mieli mnie właśnie zabrać na prześwietlenie. Idąc obok mego wózka inwalidzkiego, zapytał, czy znałem ludzi, którzy próbowali mnie obrobić. Nie powiedziałem nic, co mogłoby zmienić jego wersję o usiłowaniu kradzieży na próbę morderstwa, i odszedł, kiedy tylko podałem mu rysopisy trenera i dzieciaka.

Gdy skończyli robić zdjęcia wnętrza mojej czaszki, doktor powiedział, że dobrze by było, gdybym trochę odpoczął. Nie miałem nic przeciwko temu i położono mnie na oddziale wypadków, częstując jeszcze jednym zastrzykiem. Następne, co pamiętam, to pielęgniarka budząca mnie na obiad.

W połowie wmuszania w siebie papki z marchwi dowiedziałem się, że zostałem zatrzymany na obserwację. Co prawda prześwietlenie nie wykazało pęknięć, ale wciąż wchodziła w rachubę możliwość wstrząsu mózgu. Zbyt kiepsko się czułem, aby protestować, a po dzieciennym posiłku pielęgniarka zaprowadziła mnie do aparatu telefonicznego w korytarzu, skąd zadzwoniłem do Epiphany, aby powiadomić ją, że nie wrócę do domu.

Początkowo wydawała się przejęta, ale zacząłem sobie

żartować, mówiąc, że po całonocnym śnie będę jak nowo narodzony. Udała, że mi wierzy.

— Wiesz, co zrobiłam z tą dwudziestką, którą mi dałeś? — zapytała.

— Nie.

— Kupiłam cały zapas drewek do kominka.

Powiedziałem, że mam cały zapas zapalek. Roześmiała się i na tym zakończyliśmy rozmowę. Coraz bardziej traciłem dla niej głowę. To niedobrze. Pielęgniarka odprowadziła mnie na salę, gdzie czekał mnie kolejny zastrzyk. Prawie nic mi się nie przyśniło, lecz mimo wszystko zjawa Louisa Cyphre'a zdołała rozchylić ciężką zasłonę narkotyków i zadrwić ze mnie. Większość obrazów zapomniałem zaraz po przebudzeniu, ale jeden udało mi się zapamiętać: ponad zatłoczonym placem wyrosła nagle wielka aztecka świątynia, jej stopnie były śliskie od krwi. Na jej szczycie stał, spoglądając w dół na upierzonych przedstawicieli dostojnych rodów, Louis Cyphre i śmiejąc się, podrzucał w górę ociekające krwią serce swojej ofiary. Tą ofiarą byłem ja.

Następnego ranka, kiedy skończyłem swoją porcję owsianki, niespodziewanie złożył mi wizytę porucznik Sterne. Nosił ten sam brązowy moherowy garnitur, ale niebieska flanelowa koszula i brak krawata świadczyły niezbitcie, iż był po służbie. Mimo to wyraz jego twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

— Wygląda na to, że ktoś nieźle cię urządził — powiedział.

Wyszczерzyłem się do niego. — Może żałujesz, że to nie byłeś ty?

— Gdybym to był ja, nie wstałbyś z łóżka przez tydzień.

— Zapomniałeś kwiatów.

— Przyniosę je dopiero na twój grób, dupku. — Sterne usiadł na białym krześle przy łóżku i spojrzał na mnie tak, jak sęp mógłby

łypnąć na rozjechane truchło szopa rozwleczone po autostradzie.

— Próbowałem cię złapać w domu wczoraj wieczorem, ale dzięki wiadomości nagranej na sekretarce dowiedziałem się, że jesteś w szpitalu. Grunt, że w ogóle pozwolili mi tu wejść i pogadać z tobą. Sprawa jest poważna.

— O co panu właściwie chodzi, poruczniku?

— Wydawało mi się, że mogłoby zainteresować cię coś, co znaleźliśmy w mieszkaniu pani Krusemark, której rzekomo, jak twierdzisz, nigdy nie widziałeś na oczy.

— Czekam z zapartym tchem.

— Ci, co trafiają do komory gazowej, robią dokładnie to samo — rzekł Sterne. — Wstrzymują oddech. Ale to nic nie daje.

— A co robią w Sing-Sing?

— Ja zatykam nos. Bo kiedy tylko walnie ich prąd, wszyscy bez wyjątku fajdają w gacie i robi się taki smród, jakby ktoś smażył kiełbaski na ognisku z suszonego gówna.

Z takim nosem jak twój, pomyślałem, potrzebujesz obu rąk.

— No to powiedz mi wreszcie, co znalazłeś w mieszkaniu pani Krusemark — zaproponowałem uprzejmie.

— Zapytaj raczej, czego nie znalazłem. Nie znalazłem kartki z szesnastego marca w jej biurowym kalendarzu. Brakuje tej strony. Takie rzeczy się zauważa. Posłałem kartkę, która była pod spodem, do laboratorium, by sprawdzono, czy nic się na niej nie odcisnęło. Jak myślisz, co się okazało?

Odparłem, że nie mam pojęcia.

— Inicjał H i litery A n g.

— W połączeniu HANG — wieszać.

— Oj, zawisniesz, Angel, zawisniesz, jak mi Bóg miły. Bo dobrze wiesz, co oznaczają te litery.

— Zbieg okoliczności i dowód to dwie różne rzeczy,

poruczniku.

- Gdzie pan był w środę po południu około wpół do trzeciej?
- W terminalu Grand Central.
- Czekał pan na pociąg?
- Jadłem ostrygi.

Sterne pokręcił wielką głową.

— Oj, niedobrze, całkiem niedobrze.

— Sprzedawca powinien mnie pamiętać. Spędziłem tam sporo czasu. I dużo zjadłem. Nawet sobie na ten temat żartowaliśmy. Powiedział, że ostrygi wyglądają jak flegma. Ja mu na to, że dobrze wpływają na potencję. Może pan to sprawdzić.

— Możesz być pewien, że to sprawdzę. — Sterne podniósł się.

— Sprawdzę całe twoje alibi, począwszy od niedzieli, prześwietlę cię z góry na dół i wiesz co? Będę tam, z zatkanym nosem, kiedy przypną cię pasami do siedzenia gorącego fotelika.

Sterne wyciągnął wielgachną, kanciastą dłoń. Podniósł z tacy papierowy kubek z nie tkniętym sokiem z grejpfruta, opróżnił jednym łykiem i wyszedł.

Zanim uporano się z papierkową robotą i wypuszczono mnie do domu, było już prawie południe.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Pierwsza Aleja przed Bellevue była cała zerwana, ale w sobotę nikt tam nie pracował. Pomiędzy przyzmi piachu i stertami brukowych kostek stały drewniane kozły z napisem ROBOTY DROGOWE. Tylko cienka warstewka smoły pokrywała starą, brukowaną nawierzchnię w tej części miasta. Spłachcie kocich łbów były rzadkością, pozostałością z poprzedniego stulecia. Pokrzywione jak pasterski kostur latarnie z lanego żelaza i widoczne na chodniku płyty również stanowiły relikty zamierzchłej, zapomnianej przeszłości.

Spodziewałem się ogona, ale żadnego nie zauważyłem w drodze na postój taksówek przed budynkiem terminalu linii lotniczych przy 38. Było ciepło, ale pochmurno. Przy każdym kroku o mój bok obijała się broń, którą miałem w kieszeni.

Najpierw odwiedziłem dentystę. Zadzwoiłem do niego ze szpitala i zgodził się otworzyć swój gabinet w Graybar Building, aby założyć mi choćby tymczasowe koronki. Rozmawialiśmy o rybach. Powiedział, że bardzo żałuje, że nie może być teraz nad Sheepshead Bay, aby pomóc tam robaka.

Ospały po środkach przeciwbólowych, ruszyłem, by zdążyć na wyznaczone o pierwszej spotkanie w holu Chrysler Building. Spóźniłem się dziesięć minut, ale Howard Nussbaum czekał na mnie cierpliwie przy wejściu od Alei Lexington.

— To szantaż, Harry, prosty i jawny — rzekł, ściskając moją dłoń.

Był niskim, z wyglądu zatroskanym mężczyzną w brązowym garniturze.

— Nie przeczę, Howardzie. Ciesz się, że nie chodzi mi o twoje pieniądze.

— Planowaliśmy z żoną wyruszyć rannym świtem do Connecticut. Ma krewnych w New Canaan. Ale co tam tych parę godzin — powiedziałem. Kiedy tylko do mnie zadzwoniłeś, oświadczyłem Isabel, że będziemy musieli trochę się spóźnić.

Howard Nussbaum miał w swojej pieczy klucze, klucze i jeszcze raz klucze; był szefem w firmie ochroniarskiej, której podlegała spora liczba biurowców z centrum miasta. Tylko mnie zawdzięczał tę pracę, a raczej temu, iż pominąłem jego nazwisko w raporcie sporządzonym kiedyś dla jego firmy, a związanym z uniwersalnym kluczem, który dziwnym trafem znalazł się w torebce nastoletniej prostytutki.

— Masz to? — spytałem.

— Mógłbym tu przyjść i nie przynieść tego, co chciałeś? — Sięgnął do kieszeni kurtki i podał mi małą, nie zapieczętowaną kopertę.

Wysunąłem na dłoń nowiutki klucz. Wyglądał całkiem zwyczajnie.

— Uniwersalny?

— Czy mógłbym powierzyć ci klucz uniwersalny do budynku Chryslera? — Howard Nussbaum zasepił się jeszcze bardziej. — To subuniwersal, tylko dla czterdziestego trzeciego piętra. Nie ma na tym poziomie drzwi, których by nie otworzył. Mógłbym wiedzieć, na kogo ostrzysz sobie pazury?

— Nie pytaj, Howardzie. Dzięki temu nikt nie oskarży cię o współudział.

— Co mi tam — odparł. — I tak babrzę się we współudziałach przez całe życie.

— Miłej zabawy w Connecticut.

Pojechałem windą na górę, oglądając małą, brązową kopertę i dłubiąc w nosie, tak że operator czym prędzej odwrócił wzrok. Koperta była ostemplowana i zaadresowana. Howard wykoncypował sobie, żebym po robocie wrzucił klucz do koperty, zakleił ją i wrzucił do najbliższej skrzynki. Istniała pewna, niewielka szansa, że gdzieś wśród mojego zestawu specjalnych wytrychów znalazłby się taki, którym zdołałbym dokonać tej samej sztuczki. Jednakże wytrychy są najskuteczniejsze przy zamkach, których mechanizmy zużywają się wskutek wykorzystywania duplikatów, a firma Howarda Nussbauma prędzej wymieniłaby zamek, niż oszczędziła funduszy na tanich, dorabianych kluczach. Za przeszklonymi mleczną szybą drzwiami firmy Krusemark Maritime Inc. paliło się słabe światło. Z drugiego końca korytarza dochodziło przytłumione stukanie maszyny do pisania. Nałożyłem rękawice chirurgiczne i wsunąłem subuniwersal do dziurki jednego z wielu zamków. Było to zakłęcie otwierające drzwi, mogące stawać w szranki ze z mumifikowaną Dłonią Chwały Margaret Krusemark.

Spenetrowałem całe biuro, przemierzając pomieszczenia z nakrytymi pokrowcami, maszynami do pisania i milczącymi telefonami. Tego dnia żaden cierpiący na przerost ambicji młody pracownik firmy nie zrezygnował z tradycyjnej partyjki golfa. Nawet dalekopisy miały wolne.

Uruchomiłem minoxa i kopiarkę na stole w kształcie litery L, po czym zapaliłem światło. Scyzoryk i zgięty spinacz, oto, czego potrzebowałem, by sforsować zamknięte szuflady i szafki z aktami. Nie wiedziałem, czego szukam, ale Krusemark miał coś, co bardzo starał się przede mną ukryć, do tego stopnia, że wysłał za mną drużynę silnorękich.

Popołudnie dłużyło się. Przewertowałem setki akt,

fotografując wszystko, co wydało mi się interesujące. Kilka przerobionych manifestów i jeden list do kongresmana — łapówkarza, to wszystko, co udało mi się znaleźć na Ethana Krusemarka. Niewiele tego, jak na działalność przestępczą. Aczkolwiek nie oznaczało to, że takowej nie było. Pod dywanem wielkiej korporacji zawsze kryje się jakiś większy lub mniejszy szwindel.

Wypstrykałem piętnaście rolek filmu. Skopiowałem dokumenty na temat każdej większej transakcji, w której maczał palce Krusemark. Gdzieś tam, wśród tych rozliczeń znajdowały się dane o przekrętach, na wieść o których w biurze prokuratora okręgowego świętowano by przez wiele miesięcy. Skończywszy z aktami, sforsowałem subuniwersalem drzwi do prywatnego gabinetu Krusemarka i strzeliłem sobie drinka przy lustrzanym barku. Z kryształową, pękatą szklaneczką w dłoni zlustrowałem uważnie ścienną boazerię i zajrzałem pod każdy obraz. Nie zauważyłem ukrytych paneli drzwiczek ani wpuszczonego w ścianę sejfu. Gabinet był urządzony spartańsko, tylko kanapa, barek i biurko z marmurowym blatem; żadnych półek, szafek czy segregatorów. Usiadłem z pustą już szklaneczką na błyszczącym biurku. Blat był pusty, żadnych papierów, listów, ani jednego pióra czy choćby ołówka. Na jego drugim końcu stał tylko spizowy posążek Neptuna, odbijający się z idealną perfekcją w wypolerowanej na glans powierzchni.

Zajrzałem pod marmurowy blat. Z góry nie było tego widać, ale pod spodem była przemyślnie ukryta wąska, płytka, stalowa szuflada. Nie była zamknięta na klucz. Przesuwając małą dźwignienkę z boku, zwalniało się zatrzask, a ukryte sprężyny wysuwały ją jak szufladę kasową. Wewnątrz znajdowało się kilka drogich wiecznych piór, oprawne w owalną srebrną ramkę zdjęcie

Margaret Krusemark, ośmiocalowy sztylet ze złożoną rękojeścią z kości słoniowej i plik listów. Wyjąłem znajomą kopertę i wytrząsnąłem z niej prostokątny kartonik. Był ozdobiony u góry wizerunkiem odwróconego pentagramu. Łacińskie słowa nie przedstawiały już większego problemu. Ethan Krusemark miał swoje własne zaproszenie na Czarną Mszę.

Rozdział czterdziesty drugi

Poukładałem wszystko tak, jak zastałem, i schowałem aparat. Przed wyjściem umyłem szklaneczkę w łazience dla pracowników i ustawiłem starannie na szklanej półce nad barem. Zamierzałem, co prawda, zostawić ją na biurku Krusemarka, żeby dać mu do myślenia, ale nie wydawało mi się to już dobrym pomysłem.

Kiedy wyszedłem na ulicę, padało. I zrobiło się chłodniej. Postawiłem kołnierz marynarki i przeciąwszy Lexington, dotarłem do Grand Central, gdzie z pierwszej budki zadzwoniłem do Epiphany. Zapytałem, ile zajmie jej przygotowanie się. Stwierdziła, że jest gotowa już od dawna.

— Brzmi zachęcająco, kochanie — powiedziałem — ale ja myślę o pracy. Weź taksówkę. Spotkamy się w moim biurze za pół godziny. Zjemy kolację, a potem wybierzemy się do północnej dzielnicy na wykład.

— Na jaki wykład?

— Może to będzie kazanie.

— Kazanie?

— Weź z szafy mój płaszcz przeciwdeszczowy i nie spóźnij się.

Przed pójściem do metra odwiedziłem stanowisko dorabiania kluczy i wykonałem kopię subuniwersala Howarda Nussbauma. Oryginał włożyłem do zaadresowanej koperty, zakleiłem ją i wrzuciłem do skrzynki przy płatnych schowkach. Następnie pojechałem na Times Square. Kiedy wyszedłem z metra, ciągle jeszcze padało, a odbicia neonów i świateł ulicznych wiły się na mokrym chodniku jak ogniste węże. Sunąłem zakosami od bramy do bramy, aby jak najmniej zmoknąć. Alfonsi, handlarze i

nastoletnie kurwy tłoczyli się w tanich knajpach i salonach gier przemoczeni jak na wpół utopione kocięta. W trafice na rogu kupiłem garść cygar i poprzez strugi deszczu zerknąłem na hasła z pierwszych stron gazet przesuwające się po frontonie Times Tower: „. . . Tybetańczycy walczą w Laosie z Chińczykami. . . ”.

Kiedy dziesięć po szóstej dotarłem do mego biura, Epiphany czekała już na mnie, usadowiona wygodnie w fotelu. Miała na sobie śliwkowy komplet i wyglądała fantastycznie. Jeszcze lepiej smakowała i pachniała.

— Brakowało mi ciebie — szepnęła. Jej palce delikatnie przesunęły się po bandażu zakrywającym moje lewe ucho i zawisły nad miejscem, gdzie wygolono mi włosy do gołej skóry.

— Och, Harry, nic ci nie jest?

— Czuję się nieźle. Może tylko straciłem trochę na urodzie.

— Przez te szwy z boku głowy wyglądasz jak monstrum Frankensteina.

— Będę unikał luster.

— I twoje biedne, biedniutkie usta.

— A jak tam nos?

— Mniej więcej taki jak był, może ciut większy.

Zjedliśmy kolację w Lindy's. Powiedziałem Epiphany, że gdyby ktoś zaczął się na nas gapić, inni klienci pomyślą, że jesteśmy jakimiś znanymi osobnikami. Nikt się nam jednak nie przyglądał.

— Czy odwiedził cię ten porucznik? — Unurzała krewetkę w miseczce koktajlowego sosu z kruszonym lodem.

— Był atrakcją mego śniadania. To sprytne z twojej strony, że udałaś sekretarkę automatyczną.

— Bo ja w ogóle jestem sprytna.

— Jesteś doskonałą aktorką — powiedziałem. — Dwukrotnie jednego dnia wywiodłaś Sterne'a w pole.

— Nie jestem jedną kobietą, ale wieloma. Podobnie jak ty jesteś więcej niż jednym mężczyzną.

— Czy to voodoo?

— Raczej zdrowy rozsądek.

Przed ósmą jechaliśmy już w kierunku północnej części miasta. Kiedy mijaliśmy Meer, zapytałem Epiphany, dlaczego tamtej nocy ona i jej zbór dokonywali ofiary na świeżym powietrzu, pod gwiazdami, zamiast w humfo. Odpowiedziała coś o loa drzew.

— Loa?

— Duchy. Manifestacje Boga. Dużo, dużo loa. Rada loa, petro loa, dobro i zło. Damballa to loa. Bade jest loa wiatru; Sogbo loa — piorunów; Baron Samedi, strażnik cmentarzy — to pan seksu i namiętności; Papa Legba czuwa nad domami i miejscami spotkań, bramami i ogrodzeniami. Maitre Carrefour jest strażnikiem rozstajów.

— To musi być mój patron, mój loa — powiedziałem.

— On ochrania czarowników.

W Nowej Świątyni Nadziei przy 144 mieściło się niegdyś kino. Stara markiza zwieszała się nad chodnikiem, na niej zaś, z trzech stron wysokie na stopę litery układały się w napis: EL ÇIFR.

Zaparkowałem nieco dalej, w połowie ulicy i ujawszy Epiphany za rękę, ruszyłem w kierunku jasno oświetlonego wejścia.

— Dlaczego tak bardzo interesujesz się Çifrem? — zapytała.

— Jest czarownikiem z moich snów.

— Çifr?

— Dobry doktor Cipher we własnej osobie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Rola swami jest jedną z wielu, jakie odgrywa. Jest jak kameleon.

Epiphany mocniej zacisnęła palce na moim ramieniu.

— Bądź ostrożny, Harry, proszę.

— Staram się — odparłem.

— Nie żartuj sobie. Jeżeli ten mężczyzna jest tym, o czym mówisz, to znaczy, że musi posiadać wielką moc. Lepiej z nim nie zadzierać.

— Wejdźmy.

Przy pustej kasie stała kartonowa podobizna Louisa Cyphre'a w stroju szejka; magik życzliwie zapraszał wiernych wyciągniętą przed siebie ręką. Hol zamieniono na złoconą, gipsową pagodę, świątynię rozkoszy w pałacu kinowej wyobraźni. Zamiast prażonej kukurydzy i słodczy, na stoisku oferowano cały zestaw literatury fachowej.

Usiedliśmy na uboczu. Za czerwono — złotą kurtyną zagrały cicho organy. Orkiestra i balkon były przepelnione. Chyba tylko ja zwróciłem uwagę, że jestem jedynym białym w okolicy.

— Co to za kościół? — spytałem. — Jakiego wyznania?

— Baptystów. Z pewnymi odstępstwami. — Epiphany złożyła dłonie w rękawiczkach na podołku. — To kościół wielebnego Love'a. Nie mów, że o nim nie słyszałeś?

Przyznałem się, że tak.

— Cóż, ma samochód jakieś pięć razy większy od twego biura — powiedziała.

Światła przygasły, dźwięki organów przybrały na sile, kurtyna uniosła się, ukazując stuosobowy chór ustawiony w kształcie krzyża. Wierni wstali z miejsc, śpiewając Jezus był rybakiem. Zacząłem wraz z innymi klaskać w dłonie i uśmiechnąłem się do Epiphany, która przyglądała się wszystkiemu z surową bezstronnością prawdziwej wierzącej pośród gromady barbarzyńców.

Kiedy muzyka osiągnęła crescendo, na scenie pojawił się mały

brązowy człowieczek w białej, satynowej szacie. Na palcach obu jego dłoni błyszcząły brylanty. Kiedy się pojawił, chór przełamał szyki z wojskową precyzją, i odziany również na biało, utworzył wokół niego rzędy jak promienie światła płynące z wiszącego na niebie księżycy w pełni.

Wychwyciłem spojrzenie Epiphany i szepnąłem: — Wielebny Love?

Pokiwała głową.

— Usiądźcie, bracia i siostry — przemówił ze środka sceny pastor Love. Miał przezabawnie wysoki i piskliwy głos.

— Bracia i siostry, pragnę powitać was z miłością w Nowej Świątyni Nadziei. Dusza moja raduje się waszym śpiewem i klaskaniem. Jak wiecie, nasze dzisiejsze spotkanie jest niezwykle. Mamy zaszczyt gościć wśród nas świątobliwego człeka, słynnego el Çifra. Mimo iż nie jest wyznawcą naszej wiary, szanuję go, jest on bowiem człowiekiem wielkiej mądrości, który każdego z nas z osobna i wszystkich razem tu zgromadzonych mógłby doprawdy wiele nauczyć. Słuchajmy przeto z uwagą, dla naszego wspólnego dobra, słów dzisiejszego gościa, który zawitał w progi tej świątyni, wielkiego, słynnego i zacnego el Çifra.

Wielebny Love odwrócił się i skierował rozłożone ręce w stronę kulis. Chór zaintonował: Oto nowy dzień nam nastał. Zebrani zaklaskali w dłonie, a na scenę, jak sułtan wtoczył się Louis Cyphre.

Sięgnąłem do aktówki po lornetkę. Odziany w powłóczyste szaty i z turbanem na głowie, el Çifr mógł równie dobrze być kimś innym, ale kiedy przyjrzałem mu się przez szkła Trinovidu, stwierdziłem, iż bez wątpienia mam przed sobą mego klienta, z twarzą pomalowaną brązową szminką.

— Maur to jest, znam trąbę jego — wyszeptałem do Epiphany.

— Co?

— Szekspir.

— ?

El Çifr powitał zebranych wykwintnym ukłonem.

— Niechaj strumienie pomyślności spłyną na was wszystkich — powiedział kwieście. — Czyż nie jest napisane, że bramy Raju otwarte są dla tych wszystkich, którzy ośmielą się przekroczyć jego próg?

Zebrani odpowiedzieli gromkim amen.

— Świat nie należy do pokornych, jeno do silnych, czyż nie? Lew pożera jagnię; sokół karmi się krwią wróbla. Kto temu przeczy, zaprzecza porządkowi wszechświata.

— To prawda, to prawda — zawołał ktoś z balkonu.

— Brzmi jak odwrotność Kazania na Górze — bąknęła półgębkiem Epiphany.

El Çifr przeciskał się skrajem sceny. Złączył obie dłonie jak do modlitwy, ale w jego oczach pałały ognie wściekłości i gniewu.

— To dłoń, która trzyma bicz, sprawia, że wóz nie stoi w miejscu. Ciało jeźdźca nie czuje ukłuć ostróg. Aktu woli wymaga bycie w tym życiu silnym. Zdecydujcie, że chcecie być wilkami, a nie łaniami.

Zebrani reagowali na każde jego słowo oklaskami i okrzykami uznania. Powtarzano je chórem, jak słowa Pisma Świętego. Być wilkiem. . . być wilkiem. . . — wołali.

— Spójrzcie na te zatłoczone ulice. Czyż nie rządzą nimi silni?

— W samej rzeczy. W samej rzeczy.

— A pokorni cierpią w milczeniu!

— Amen. Zaiste cierpią.

— Tam, na zewnątrz, jest puszcza i tylko silni mogą w niej przetrwać.

— Tylko silni. . .

— Bądźcie niby lew i wilk, nie zaś jako owca. Niechaj inni nadstawiają gardeł na rzeź. Nie podporządkowujcie się stadnemu instynktowi tchórzostwa. Zahartujcie swe serca mężnymi czynami. Jeśli ktoś ma zwyciężyć, niechaj tym kimś będziesz ty!

— Jeden zwycięzca. . . mężne czyny. . . być lwem. . .

Jedli mu z ręki. Zakręcił się na scenie jak derwisz, zamiatając połamami szaty, a jego melodyjny głos nawoływał wiernych:

— Bądźcie silni. Bądźcie dzielni. Nauczcie się, kiedy należy atakować, kiedy zaś uciekać. Wykorzystujcie każdą nadarzącą się okazję, chwytajcie ją, jak lew chwyta jagnię. Wydrzyjcie z porażki sukces, wyrwijcie go i nasyćcie się nim. Jesteście najniebezpieczniejszymi istotami na tej planecie. Czegóż się lękacie?

El Çifr tańczył i śpiewał, snując wywody o mocy i potędze. Zebrani jak w amoku powtarzali jego słowa. Nawet członkowie chóru wykrzykiwali gniewne odpowiedzi i potrząsali pięściami.

Zamyśliłem się, nie zwracając uwagi na monolog fałszywego swami, kiedy nagle mój klient powiedział ni stąd, ni zowąd coś, co w ekspresowym tempie przywróciło mnie do rzeczywistości.

— Jeśli oko tve jest przyczyną grzechu, wy łup je — rzekł el Çifr; patrzył na mnie, a w każdym razie tak mi się wtedy wydawało.

— Oto wspaniałe słowa, ja wszelako dodam coś więcej: jeśli czyjeś oko urazi ciebie, wyłup mu je. Wyrwij je. Wyszarp. Wytnij! Przestrzel! Oko za oko!

Jego słowa przeszyły mnie na wskroś, jak spazm bólu. Wyprostowałem się na siedzeniu, wzmagając czujność.

— Po co nadstawiać drugi policzek? — ciągnął. — Po co w ogóle dawać się okładać? Jeśli serca są dla was przeszkodą, wyrwijcie je. Nie czekajcie, aby być ofiarami. Pierwsi uderzajcie na

wrogów waszych. Jeśli rażą was ich oczy, wyłupcie im je, jeśli rażą was ich serca, wyrwicie im je z piersi. Jeśli razi was jakakolwiek część ich ciał, odetnijcie ją i wepchnijcie im głęboko do gardła.

El Çifr ryczał na cały głos, by przekrzyczeć rozentuzjasmowany tłum. Ja czułem się odrętwiały, zahipnotyzowany. Czy to wszystko tylko sobie wymyśliłem, czy Louis Cyphre opisywał w ten sposób, notabene bardzo obrazowo, trzy morderstwa?

Wreszcie el Çifr uniósł obie ręce w górę w geście zwycięstwa.

— Bądźcie silni — zawołał. — Obiecujcie, że będziecie silni.

Tłum był w ekstazie. — Obiecujemy — odpowiedział chórem.

El Çifr zniknął za kulisami, a chór na scenie ponownie się przegrupował i odśpiewał z werwą hymn Silne ramię Pana.

Ująłem Epiphany za rękę i pociągnąłem ku wyjściu. Wyprzedzili nas inni, ale narzuciłem ostre tempo i przeciskając się bezceremonialnie, przebiliśmy się w końcu do holu, a stamtąd wyszliśmy na ulicę.

Przy chodniku stał srebrnoszary rolls. Rozpoznałem ubranego w mundur kierowcę, opartego o przedni zderzak. Kiedy drzwi z napisem WYJŚCIE PO ŻAROWE otworzyły się, stanął na baczność. Kanciasta struga światła rozcięła spłacheć chodnika. W drzwiach pojawiło się dwóch Murzynów w trzyczęściowych garniturach i ciemnych okularach. Błyskawicznie rozejrzeli się wokoło. Wyglądali równie twardo i solidnie jak wielki mur chiński.

El Çifr wyszedł i stanął obok nich na chodniku, po czym w towarzystwie jeszcze dwóch innych silnorękich ruszył do czekającej limuzyny.

— Chwileczkę! — zawołałem i pomaszerowałem w jego stronę. Nie zrobiłem nawet trzech kroków, kiedy na mojej drodze pojawił się główny ochroniarz Çifra.

— Nie rób pan nic, czego mógłbyś pan żałować — ostrzegł beznamiętnym tonem.

Nie próbowałem z nim dyskutować. Nie miałem w grafiku ponownej wizyty w szpitalu. Kiedy szofer otworzył tylne drzwiczki wozu, dostrzegłem oko mężczyzny w turbanie. El Çifr patrzył na mnie zupełnie bez wyrazu. Uniósł poły swej długiej szaty i wsiadł do rollsa. Szofer zamknął drzwiczki. Patrzyłem, jak odjeżdżają, wciąż mając przed sobą cielsko wielkiego ochroniarza. Facet był niewzruszony jak jedna z rzeźb z Wyspy Wielkanocnej; czekał, aż spróbuję zrobić coś głupiego.

Epiphany podeszła do mnie z tyłu i ujęła mnie pod ramię.

— Chodź, wrócimy do domu i rozpalimy w kominku — zaproponowała.

Rozdział czterdziesty trzeci

Niedziela Palmowa była senna i zmysłowa; innowację stanowiło przebudzenie się u boku Epiphany i fakt, iż oboje leżeliśmy na podłodze, pośród poduszek i zmiętych kocy. W kominku pozostał tylko mały, zwęglony kawałek drewna opałowego. Wstawiłem kawę i przyniosłem do mieszkania zostawione na słomiance niedzielne gazety. Epiphany obudziła się, zanim skończyłem czytać komiks.

— Dobrze spałeś? — wyszeptała, zwijając się w kłębek na moim podolku. — Nie miałeś żadnych złych snów?

— W ogóle nic mi się nie przyśniło — powiedziałem i przesunąłem dłonią po jej gładkim, brązowym boku.

— To dobrze.

— Może czar prysnął?

— Może. — Jej ciepły oddech omiótł moją szyję. — Ostatniej nocy to ja o nim śniłam.

— O kim? O Cyphrze?

— Cyphrze, Çifrze czy jak go tam zwiesz. Śniło mi się, że byłam w cyrku, a on był jego kierownikiem. Ty byłeś jednym z kłownów.

— I co się wydarzyło?

— Niewiele. To był miły sen. — Wyprostowała się.

— Harry? Co to ma wspólnego z Johnnym Favorite'em?

— Nie jestem pewien. Wygląda na to, że wmieszałem się w jakieś starcie dwóch magów.

— To Çifr domaga się, byś odnalazł mojego ojca?

— Tak.

— Harry, bądź ostrożny. Nie ufam mu.

Ale czy ja mogę zaufać tobie — pomyślałem, obejmując jej smukłe ramiona.

— Nic mi się nie stanie.

— Kocham cię. Nie chcę, aby teraz wydarzyło się coś złego.

Stłumiłem w sobie chęć powtórzenia jej miłostnego wyznania i wykrzyczenia go z radością wiele razy.

— To przecież zwykłe zadurzenie. Dziewczeta w twoim wieku stale się w kimś zakochują.

— Nie jestem dzieckiem. — Spojrzała mi głęboko w oczy. — Oddałam moje dziewictwo w wieku dwunastu lat, jako dar dla Baki.

— Baka?

— To zły loa; bardzo zły i niebezpieczny.

— I twoja matka pozwoliła na to?

— To był dla mnie zaszczyt. Rytuału dopełnił najpotężniejszy hungan w Harlemie. Poza tym był od ciebie o dwadzieścia lat starszy, nie mów mi więc, że jestem na to zbyt młoda.

— Lubię twoje oczy, kiedy się gniewasz — powiedziałem. — Świecą wtedy jak dwa małe bursztyny.

— Czyja mogłabym się gniewać na kogoś tak słodkiego jak ty?

Pocałowała mnie. Ja również odpowiedziałem pocałunkiem i zaraz potem kochaliśmy się w miękkim, aż nadto wygodnym fotelu. Później, po śniadaniu, zaniósłem stosik książek z biblioteki do sypialni i wyciągnąłem się wygodnie, oddając się lekturze. Epiphany uklękła na łóżku obok mnie, w moim szlafroku i swoich okularach do czytania.

— Nie trać czasu na oglądanie rysunków — powiedziała, wyjmując mi książkę z rąk i zamykając ją energicznie.

— Masz. — Podała mi drugą, niewiele cięższą od słownika.

— Zaznaczyłam ci rozdział o Czarnej Mszy. Opisano tu

szczegółowo całą liturgię, poczynawszy od odwróconej łaciny po deflorację dziewicy na ołtarzu.

— To trochę zbliżone do tego, co przydarzyło się tobie.

— Tak. Podobieństwa istnieją. Ofiara. Taniec. Budzą się brutalne żądze, podobnie jak w Obeah. Istnieje jednak różnica między udobruchaniem złych sił a zachęcaniem i popieraniem ich.

— Czy naprawdę wierzysz, że istnieje coś takiego jak złe moce? Epiphany uśmiechnęła się.

— Czasami zachowujesz się jak dziecko. Czy nie czujesz tego nocami, kiedy Çifr nawiedza cię w snach?

— Wolałbym raczej czuć ciebie — odparłem, sięgając dłonią ku jej kibici.

— Bądź poważny, Harry, nie mamy tu do czynienia z kolejną bandą oszustów. Ci ludzie dysponują mocą, demoniczną i złą. Jeżeli nie będziesz umiał się bronić, to już po tobie.

— Sugerujesz, że już pora odrobić pracę domową?

— Dobrze wiedzieć, z czym się walczy. — Epiphany postukała w jedną ze stron palcem wskazującym.

— Przeczytaj ten rozdział, i następny o inwokacjach. Zakreśliłam również kilka ciekawych urywków u Crowleya. Reginalda Scotta możesz sobie odpuścić. — Ułożyła książki według hierarchii ważności, co tu kryć, piekielnej hierarchii, i pozostawiła mnie sam na sam z lekturą.

Czytałem aż do zmroku, urządziłem sobie prawdziwy kurs samokształcenia z zakresu nauk tajemnych i satanizmu. Epiphany rozpałała w kominku i odmówiła zaproszenia na kolację do Cavanaugha, w czarodziejski sposób podając bouillabaisse przyrządzone, kiedy byłem w szpitalu. Zjedliśmy przy blasku ognia; cienie przemykały po ścianach wokół nas jak spłoszone chochliki. Rozmawialiśmy mało; jej oczy powiedziały mi wszystko. Były to

najpiękniejsze oczy, jakie widziałem.

Jednak wszystko ma swój kres, nawet to, co najpiękniejsze. Około wpół do ósmej zacząłem szykować się do pracy. Ubrałem się w dżinsy, niebieski marynarski sweter z golfem i wysokie, sznurowane traperki na grubej, kauczukowej podeszwie. Załadowałem nowy film do mego aparatu i wyjąłem z kieszeni płaszcz 38-kę. Epiphany przyglądała się temu w milczeniu, okutana kocem przy kominku.

Wyłożyłem wszystko na stół — aparat fotograficzny, dwie dodatkowe rolki filmu, rewolwer, kajdanki i moje niezastąpione spec — klucze. Dołączyłem do kółka kopię klucza Howarda Nussbaunia. W sypialni, pod koszulami, znalazłem pudełko nabojów i zawiązałem ekstra pięć sztuk w rożek chusteczki. Zawiesiłem Leicę na szyi i nałożyłem skórzaną kurtkę lotniczą, którą miałem jeszcze od wojny. Usunąłem z niej wszystkie służbowe naszywki. Nie było na niej nic, co mogłoby odbić światło. Była to kurtka na kożuszkę, idealna na zimowe akcje w terenie. Smith and Wesson trafił do prawej kieszeni wraz z dodatkowymi nabojami, natomiast kajdanki, klisze i klucze do lewej.

— Zapomniałeś zaproszenia — powiedziała Epiphany, gdy sięgnąłem pod koc i po raz ostatni przyciągnąłem ją do siebie.

— Nie będzie mi potrzebne. Zamierzam rozbić to przyjęcie.

— A portfel? Nie przyda ci się?

Miała rację. Zostawiłem go w marynarce, którą miałem na sobie ubiegłego wieczoru. Roześmialiśmy się i zaczęliśmy całować równocześnie, gdy nagle odsunęła się ode mnie, rozdygotana i otuliła się szczelniej kocem.

— Idź już — rzekła. — Im szybciej pójdziesz, tym prędzej wrócisz.

— Spróbuj się nie martwić — powiedziałem. Uśmiechnęła się

na znak, że wszystko w porządku, ale oczy miała rozszerzone i wilgotne.

— Uważaj na siebie.

— To moje motto.

— Będę czekać.

— Załóż łańcuch na drzwiach. — Zabrałem swój portfel i wełnianą czapkę robotnika portowego. — Muszę już lecieć. — Epiphany przybiegła, zrzucając z siebie koc, jak leśna nimfa. Pocałowała mnie przy samych drzwiach, długo i namiętnie.

— Weź to — szepnęła, wciskając mi coś do ręki. — Miej to stale przy sobie. Był to skórzany krążek z topornie narysowanym po gładkiej stronie drzewem, otoczonym z dwóch stron zygzakami piorunów.

— Co to jest?

— Amulet, talizman, moja, różni ludzie różnie to nazywają. Talizman jest symbolem Grań Bois, loa o potężnej mocy. Pokona każdego pecha.

— Wspomniałaś kiedyś, że przydałaby mi się każda możliwa pomoc.

— I nadal tak twierdzę.

Włożyłem amulet do kieszeni i pocałowaliśmy się raz jeszcze, choć tym razem mniej namiętnie. Rozstaliśmy się bez słowa. Kiedy szedłem do windy, usłyszałem szcęk zaciąganego łańcucha. Dlaczego nie powiedziałem, że ją kocham, kiedy miałem ku temu okazję?

Dojechałem metrem do 14, a stamtąd na Union Square i czym prędzej na stację IRT, gdzie o mały włos spóźniłem się na pociąg linii lokalnej. Zanim nadjechał następny, zdążyłem kupić i zjeść paczkę orzeszków ziemnych. W wagonach było prawie pusto, ale nie usiadłem. Oparłem się o zamknięte podwójne drzwi,

obserwując brudnobiałe kafelki na ścianach, umykające w tył, gdy opuszczaliśmy peron.

Pociąg wjechał do tunelu i pokonał łagodny zakręt. Zamrugały światła. Metalowe koła zgrzytnęły o szyny, skrzecząc jak zranione orły. Uchwyciłem się poręczy i wbiłem wzrok w ciemność. Przyspieszyliśmy i w chwilę potem to zobaczyłem.

Właśnie, aby to ujrzeć, musiałem nieźle wyteńczyć wzrok. Jedynie światła naszego składu odbite od pokrytych sadzą płytek ujawniły przede mną upiorną obecność opuszczonej stacji przy 18 Ulicy. Większość pasażerów, mimo iż pokonywała tę drogę dwa razy dziennie, zapewne w ogóle jej nie zauważyła. Wedle oficjalnej mapy metra stacja ta nie istnieje. Ujrzałem mozaikowe cyfry zdobiące każdą z okafelkowanych kolumn i dostrzegłem pod jedną ze ścian cienistą strefę pojemników na śmieci. Zaraz potem znów wjechaliśmy w tunel i stacja zniknęła jak zapomniany z chwilą przebudzenia sen.

Wsiadłem na następnej stacji, przy 23. Wszedłem po schodach, przeciąłem aleję, zszedłem do metra i wyłuskałem piętnaście centów na następny żeton. Na peronie kilka osób czekało na skład do śródmieścia, ja natomiast zabijałem czas, podziwiając nową miss Rheinpold z domalowanym atramentem wąsem i napisem na czole: WSPOMÓŻ FUNDUSZ OPIEKI NAD ZDROWIEM PSYCHICZNYM.

Na stację wtoczył się skład oznakowany Brooklyn Bridge i wsiedli doń wszyscy oprócz mnie i staruszki kręcącej się na końcu peronu. Ruszyłem w jej stronę, oglądając plakaty na ścianach udając, że interesuje mnie uśmiechnięty typ zawdzięczający pracę „New York Timesowi” oraz chiński dzieciak pałaszujący ryżowy chlebek. Staruszka zignorowała mnie. Miała na sobie złachmaniony czarny płaszcz, przy którym brakowało kilku guzików, a w ręku

trzymała torbę na zakupy. Kątem oka patrzyłem, jak wspina się na drewnianą ławkę, sięga rękoma w górę, by uchwycić drucianą osłonę i pospiesznie odkręca znajdującą się pod nią żarówkę.

Zanim podszedłem, starucha zlazła już z ławki i włożyła żarówkę do torby. Uśmiechnąłem się do niej.

— Oszczędź pani sobie fatygi — powiedziałem. — Te żarówki na nic się pani nie przydadzą. Wszystkie bez wyjątku mają lewoskrętny gwint.

— Nie wiem, o czym pan mówi — burknęła.

— Wydział komunikacji używa żarówek o lewoskrętnym gwincie. Ma to zniechęcać złodziei. Żarówki te nie pasują do normalnych obsad.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. — I pomaszerowała ku przeciwnemu końcowi peronu, nie obejrzawszy się za siebie. Odczekałem, aż zniknie w mrocznych czeluściach damskiej toalety.

Z rykiem przemknął przez stację ekspres jadący do północnej części miasta, kiedy wolno zacząłem schodzić po wąskiej, metalowej drabince na końcu peronu. Ścieżka biegnąca wzdłuż torów rozpływała się w ciemnościach. Wzdłuż muru tunelowego jarzyły się w półmroku niskowatowe żarówki. Gdy nie jechał pociąg, było tu bardzo spokojnie i wystraszyłem swą obecnością kilka szczurów buszujących na torowisku. Tunel metra przypominał bezkresną jaskinie. Z sufitu ciekła woda, a brudne ściany były śliskie od mułu i szlamu. W pewnej chwili tuż obok przemknął śródmiejski skład lokalny, a ja, przywierając plecami do gliniastej ściany, uniosłem wzrok ku oświetlonym wagonom, przesuwanym się zaledwie o cale od mojej twarzy. Mały chłopiec klęczący na siedzeniu zauważył mnie, a jego twarz przepełnił wyraz absolutnego, bezgranicznego wręcz zdumienia. Jego wagon zniknął, zanim chłopiec zdążył choćby wskazać na mnie palcem.

Odniosłem wrażenie, jakbym przeszedł więcej niż pięć przecznic. Od czasu do czasu mijałem po drodze nisze z przewodami i prowadzącymi ku górze metalowymi drabinkami. Przyspieszyłem kroku, trzymając obie ręce w kieszeniach. Przyjemnie było czuć pod palcami szorstką kratkę okładzin na kolbie 38-ki.

Ujrzałem opuszczoną stację, dopiero gdy znalazłem się dziesięć stóp od drabinki. Usmarowane sadzą płytki błyszcząły jak ruiny świątyni w blasku księżyca. Znieruchomiałem i wstrzymałem oddech; moje serce obijało się o wiszący pod skórzaną kurtką aparat fotograficzny.

Z oddali dobiegł mnie płacz dziecka.

Rozdział czterdziesty czwarty

Dźwięk odbił się echem w ciemności. Nasłuchiwałem dłuższą chwilę, zanim uznałem, że dobiegał z sąsiedniego peronu. Przebycie czterech torowisk nie wydawało mi się zabawne i rozważałem nawet, czy nie zaryzykować i skorzystać z ołówkowej latarki, ale nagle uświadomiłem sobie, że przecież zostawiłem ją w domu.

Odległe światła tunelu lśniły wzdłuż bliźniaczych wstęg szyn. Mimo iż było ciemno, widziałem żelazne legary jak ocienione pnie drzew w mrocznym lesie. Nie mogłem zobaczyć tylko własnych stóp i przeszywał mnie dreszcz na złowróżbną myśl o trzeciej szynie, zabójczej jak grzechotnik czający się w mroku. Usłyszałem zbliżający się pociąg i obejrzałem się za siebie, w głąb tunelu. Po moim torze nic nie nadjeżdżało. To był lokalny skład jadący na północ, kiedy przemknął przez opustoszałą stację, wykorzystałem ten moment, by podejść i stanąć pomiędzy dźwigarami nad dwiema nitkami trzecich szyn. Ruszyłem torowiskiem śródmiejskiego ekspresu, wyrównując krok do odległości pomiędzy kolejnymi podkładami.

Odgłos kolejnego pociągu obudził we mnie czujność. Obejrzałem się przez ramię i poczułem gwałtowny przyływ adrenaliny. Pociąg wjeżdżał do tunelu. Zszedłem pomiędzy dźwigary oddzielające tory ekspresów i zastanawiałem się, czy dostrzegł mnie motorniczy. Pociąg sunął w moją stronę jak rozjuszony smok, buchając snopami iskier spod turkoczających kół.

Przeszedłem przez ostatnią, trzecią szynę, a ogłuszający hałas skutecznie wytłumił wszelkie odgłosy, jakie wydawałem, wspinając

się na sąsiedni peron. Kiedy straciłem z oczu czerwone tylne światła ostatniego wagonu, leżałem już płasko na zimnych płytach przy murze peronu.

Dziecko już nie płakało. A przynajmniej nie dość głośno, by można je było usłyszeć poprzez głośny chór śpiewów. Brzmiało to dość bełkotliwie i niezrozumiale, ale dzięki swym popołudniowym poszukiwaniom wiedziałem, iż była to śpiewana na wspak łacina. Spóźniłem się na mszę.

Wyjąłem 38-kę z kieszeni i ruszyłem wzdłuż ściany. W oddali przede mną pojawiło się nagle migoczące, ulotne, słabe światełko. Niebawem dostrzegłem groteskowe sylwetki kołyszące się i tańczące w jednej z wielu peronowych nisz. Obrotowe bramki i słupki usunięto stąd dawno temu. Patrząc z boku, ujrzałem świece, grube i czarne, ustawione wzdłuż wewnętrznej ściany. Jeżeli robili wszystko według przepisów, były one wytopione z ludzkiego tłuszczu, jak te w łazience Maggie Krusemark. Uczestnicy sabatu nosili długie szaty i zwierzęce maski. Kozły, tygrysy, wilki i najróżniejsze rogate zwierzęta, wszystkie te stwory bez wyjątku śpiewały „odwróconą” litanie. Wsunąłem rewolwer do kieszeni i wyjąłem Leicę. Świece ustawione były wokół udrapowanego na czarno ołtarza. Na wyłożonej kafelkami ścianie, nieco wyżej, wisiał odwrócony krzyż.

Kapłan prowadzący ceremonię był różowy i gruby. Nosił czarny ornat z wyhaftowanymi złotą nicią kabalistycznymi symbolami. Z przodu ornat był rozchylony. Mężczyzna był pod nim nagi, jego wzwiedziony penis drżał w blasku świec. Dwaj młodzi akolici, również nadzy pod cienkimi bawełnianymi komżami stali po obu stronach ołtarza, machając kadzielnicami. Dym przesycony był kwaśną słodyczą palonego opium.

Zrobiłem kilka zdjęć kapłana i jego pięknych młodych,

zepsutych ministrantów. Światło było za słabe, aby zrobić coś więcej. Kapłan odmawiał odwróconą modlitwę, a wyznawcy odpowiadali chrząknięciami i skowytami. Z głośnym turkotem przemknął ekspres śródmiejski i w migoczącym świetle policzyłem uczestników sabatu. Było ich siedemnaścioro, włącznie z kapłanem i ministrantami.

O ile mogłem to stwierdzić, wszyscy wyznawcy byli nadzy pod powłóczystymi, luźnymi pelerynami. Wydawało mi się, że zauważyłem wciąż jurne ciało podstarzałego Krusemarka. Nosił maskę lwa. Mignęły mi jego srebrne włosy, kiedy kołysał się rytmicznie i przeciągle zawodził. Zanim pociąg odjechał, pstryknąłem jeszcze cztery zdjęcia.

Kapłan skinął ręką i z ciemności wyłoniła się piękna nastolatka. Jej sięgające do pasa blond włosy opadały na żalobną pelerynę jak promienie słońca rozpraszające noc. Stała w kompletnym bezruchu, podczas gdy kapłan rozwiązywał rzemyki peleryny. Czarna płachta bezgłośnie opadła na ziemię, a oczom wszystkich ukazały się smukłe ramiona, jędrne piersi i wzgórek łonowy, którego owłosienie lśniło w blasku świec jak płynne złoto.

Pstryknąłem jeszcze kilka zdjęć, podczas gdy kapłan podprowadził dziewczynę do ołtarza. Szła wolno, a leniwe, ospałe ruchy świadczyły, iż zaaplikowano jej końską dawkę jakichś prochów. Ułożono ją na wznak na czarnym materiale, z rozłożonymi rękoma i spuszczonej do ziemi nogami. Kapłan dał jej do rąk czarne świece.

— Przyjmij nieskalaną czystość tej dziewicy — zaintonował kapłan. — Błagamy cię, o Lucyferze. — Osunął się na kolana i pocałował dziewczynę między nogami, pozostawiając tam błyszczącą nitkę kropelek śliny. — Niechaj to czyste ciało uhonoruje twe boskie imię.

Wstał, a jeden z ministrantów podał mu otwarte srebrne pudełko. Kapłan wyjął zeń opłatek, po czym odwrócił pudełko, rozrzucając okrągłe hostie u stóp zgromadzonych. Śpiew chóru przybrał jeszcze na sile, gdy wyznawcy zaczęli deptać porozrzucane opłatki. Kilku ostentacyjnie oddało mocz na beton. Jeden z akolitów podał kapłanowi wysoki srebrny kielich, inni, pochyliwszy się, zebrali pokruszone kawałki hostii i wrzucili do naczynia. Wyznawcy chrząkali, prychali i parskali jak parzące się świny, gdy duchowny postawił kielich na nieskalanym, doskonałym brzuchu nastolatki. — O Astarocie, Asmodeuszu, księżęta przyjaźni i miłości, zaklinam was, przyjmijcie tę krew, którą dla was przelewamy.

Zwierzęce chrumkanie zagłuszył przeraźliwy płacz dziecka. Z ciemności wyłonił się akolita niosący szamoczące się niemowlę. Kapłan ujął je za nóżkę i uniósł, kopiące i rozwrzeszczane, wysoko w górę.

— O Baalbericie, o Beelzebubie — zawołał. — Składam to dziecko w ofierze w imię wasze.

To się stało bardzo szybko. Kapłan podał ministrantowi dziecko i wziął od niego nóż. Srebrne ostrze błysnęło w świetle świec, po czym zgrabnie rozplatało gardło niemowlęcia. Maleństwo zaczęło się miotać, walcząc o życie, jego krzyki zmieniły się w ochrypy, zduszony bulgot.

— Oddaję cię w ofierze boskiemu Lucyferowi. Niechaj pokój Szatana zawsze będzie z tobą.

Kapłan podstawił kielich, aby nabrać doń buchającą krew. Skończyłem rolę w chwili, kiedy dziecko skonało.

Gardłowy jęk wyznawców przybrał na sile; był teraz głośniejszy niż grzmiący turkot nadjeżdżającego pociągu. Oparłem się o ścianę i wymieniłem film. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Akolita potrząsnął bezwładnym, wiotkim ciałkiem, aby wytrząsnąć zeń ostatnie cenne krople. Na brudnych ścianach widniały szkarłatne, błyszczące rozbryzgi, posoka kaląła również blade ciało dziewczyny na ołtarzu. Chciałem, aby każde zwolnienie migawki mego aparatu było ściąganiem spustu, w przeciwnym razie inna krew zachlapałaby ściany tego zapomnianego pomieszczenia.

Pojawił się kolejny pociąg, oświetlając jasnym blaskiem zgromadzonych. Kapłan wypił z kielicha i wylał to, co zostało, na stojących przed nim wyznawców. Zamaskowani sataniści zawyli z rozkoszy. Martwe niemowlę ciśnięto gdzieś w kąt.

Akolici stali, masturbując się wzajemnie, i śmiali się, odchylając głowy do tyłu.

Zdjąwszy ornat, gruby, różowy kapłan przyklęknął nad okrwawioną dziewicą i wszedł w nią krótkimi, psimi pchnięciami. Dziewczyna nie reagowała. W jej wyciągniętych rękach wciąż tkwiły uniesione świece. Szeroko otwarte, nie widzące oczy wpatrywały się w mrok.

Wyznawcy wpadli w dziki szał. Zdzierając maski i szaty, jęli brutalnie i gwałtownie parzyć się na betonowych płytach. Mężczyźni i kobiety w różnych konfiguracjach, zauważyłem nawet jeden kwartet. Ostre światło przejeżdżającego pociągu rzucało ich miotające się opętańczo cienie na ściany metra. Zawodzenie i jękliwe okrzyki słyszeć było nawet poprzez metaliczny turkot kół pociągu.

Ujrzałem Ethana Krusemarka, obrabiającego włochatego, małego mężczyznę z dużym brzuszkiem. Stali przy wejściu do męskiej toalety i w migoczącym świetle aż nadto wyraziście widziałem ich poruszające się konwulsyjnymi targnięciami ciała. Miałem wrażenie, jakbym oglądał pornola dla gejów. Wypstrykałem całą rolkę, aby zarejestrować wielkiego potentata żeglugowego w

akcji.

Zabawa trwała ponad pół godziny. Było trochę za wcześnie jak na orgietki w metrze i zimne, wilgotne powietrze skutecznie pozbawiło entuzjazmu nawet najbardziej zacieklego i oddanego wyznawcę Szatana. Niebawem wszyscy zaczęli szukać swoich porzrzucanych ubrań, wielu denerwowało się, mając po ciemku trudności z odnalezieniem butów. Nie spuszczałem wzroku z Krusemarka.

Mężczyzna włożył swój strój do walizki i pomógł kilkorgu innym w doprowadzeniu się do porządku. Usunięto czarne płótno okrywające ołtarz, podobnie jak odwrócony krzyż; krew powycierano szmatami. Wreszcie pogaszono świece i wyznawcy pojedynczo bądź w parach zaczęli się rozchodzić. Jedni udawali się do śródmieścia, inni do północnej części miasta. Kilku z latarkami w dłoniach przechodziło na sąsiednie perony. Jeden niósł w dłoni ciężki, przesiąknięty posoką, wilgotny worek. Krusemark był wśród ostatnich opuszczających miejsce sabatu. Przez kilka minut szeptem rozmawiał o czymś z kapłanem. Obok nich stała obojętna na wszystko jak żywy trup młoda blondynka. Wreszcie mężczyźni pożegnali się i uścisnęli sobie dłonie jak prezbiterianie po zakończeniu mszy. Krusemark minął mnie nie dalej niż na wyciągnięcie ręki i ruszył przez opustoszały peron, kierując się na północ.

Rozdział czterdziesty piąty

Krusemark wszedł do tunelu, maszerując rażno wąską ścieżynką. Nie po raz pierwszy wędrował tunelami metra. Ruszyłem za nim, gdy dotarł do pierwszej żarówki. Zrównałem z nim krok i podążyłem jego śladem bezgłośnie jak cień, w butach na kauczukowej podeszwie. Gra rozpoczęłaby się, gdyby postanowił spojrzeć za siebie. Śledzenie faceta w tunelu było jak próba zdobycia dowodów niewinności przy potencjalnej sprawie rozwodowej, przez ukrycie się w pokoju motelowym, pod łóżkiem śledzonej wiarołomnej ofiary.

Nadjeżdżający pociąg do śródmieścia zapewnił mi kilka sekund absolutnej niesłyszalności, których potrzebo wałem. Kiedy grzmiący hurgot mknącego ekspresu urósł do metalicznego crescendo, pobiegłem co sił w nogach. Ryk składu uciszył tupot moich kroków. W dłoni trzymałem już 38-kę. Krusemark niczego nie usłyszał. Kiedy ostatni wagon zniknął za zakrętem, straciłem go z oczu. Dzielilo mnie od niego niecałe dziesięć jardów i nagle jakby się zapadł pod ziemię. Jak mogłem zgubić go w tunelu? Kilka kroków dalej ujrzałem otwarte przejście. Było to jakieś wyjście służbowe, a on zaczął właśnie piąć się w górę po metalowej drabince, wpuszczonej w czarną ścianę korytarza.

— Stój! — wymierzyłem weń z trzymanego oburącz w wyprostowanych rękach rewolweru.

Krusemark odwrócił się i zamrugał powiekami.

— Angel?

— Odwróć się twarzą do drabinki. Zaciśnij obie ręce na szczeblu nad twoją głową.

— Bądź rozsądny, Angel. Możemy to spokojnie przedyskutować.

— Ruszaj się! — Nieznacznie opuściłem broń. — Pierwsza kula roztrzaska ci rzepkę kolanową. Przez resztę życia będziesz chodził o lasce.

Krusemark wykonał polecenie, upuszczając skórzaną torbę na ziemię.

Stałem za nim i obszukałem. Był czysty. Wyjąłem z kieszeni kurtki bransoletki i zapiąłem jedną obrączkę na jego nadgarstku, drugą zaś na szczęblu, którego się trzymał. Spojrzał na mnie, a ja lewą ręką z całej siły uderzyłem go na odlew w usta.

— Ty parszywy śmieciu! — Wbiłem Ethanowi pod brodę lufę 38-ki, odchylając jego głowę do tyłu. Miał strach w oczach, jak spłoszony ogier.

— Miałbym ochotę rozbryznać twój mózg po całej tej ścianie, skurwielu.

— Czujesz ty o o oszalał? — wykrztusił.

— Ja? szalony? Jeszcze jak. Od dnia, kiedy nasłałeś na mnie swoich silnorękich.

— Popelniasz błąd.

— Takiego wała! Wszystko, co mówisz, jest jednym wielkim kłamstwem. Ale może jeśli przefasonuję ci trochę facjatę i poprzestawiam zęby, zaczniesz przypominać sobie to i owo. — Uśmiechnąłem się do niego, ukazując tymczasowe plomby.

— Tak jak to zrobili twoi chłopci.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Ależ wiesz, wiesz doskonale. Wystawiłeś mnie, a teraz próbujesz ocalić swój tyłek. Kłamałeś od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy. Edward Kelley to nazwisko elżbietańskiego maga. To dlatego się nim posłużyłeś, a nie dlatego, że spodobało się twojej

córcie.

— Wygląda, że wiesz wszystko.

— Odrobiłem pracę domową. Poszperałem tu i tam. Oszczędź zatem sobie bajeczek o rzekomej niani, która zaznajomiła z kartami tarota twoją córunię, kiedy ta była jeszcze w powijakach. Ty to zrobiłeś. Jesteś satanistą, oddajesz cześć Diabłu.

— Byłbym głupcem, gdybym tego nie czynił. Księżę Ciemności chroni tych, co mają władzę. Ty również powinienesz modlić się do niego, Angel. Zdziwiłbyś się, jak wiele dobrego mogłoby ci się wówczas przydarzyć.

— W rodzaju podrzynania gardeł niemowlętom? Skąd wykradłeś to dziecko, Krusemark?

Prychnął drwiąco. — Nie było żadnego wykradania dzieci. Zapłaciliśmy za tego bękarta żywą gotówką. Jedna gęba mniej do wykarmienia z pieniędzy podatników. Ty również płacisz podatki, czyż nie, Angel?

Splunąłem mu w twarz. Nigdy wcześniej tak nie postąpiłem.

— W porównaniu z tobą karaluch jest wybrańcem Boga. Zdeptanie karalucha jest dla mnie niczym, dlatego zdeptanie ciebie powinno sprawić mi przyjemność. Zacznijmy od początku. Chcę wiedzieć wszystko o Johnnym Favoricie. O tym, co robił. Wszystko, co wiedziałeś lub o czym mogłeś słyszeć.

— A niby dlaczego? Nie zabijesz mnie. Jesteś zbyt słaby.

Otarł plwocinę z policzka.

— Nie muszę cię zabijać. Wystarczy, że sobie pójdę i zostawię cię przykutego do tej drabinki. Jak myślisz, ile upłynie czasu, zanim ktoś cię tu odnajdzie? Dwa dni? Tydzień? Dwa? Możesz zabijać czas, licząc przejeżdżające pociągi.

Twarcz Krusefnarka spopieliała, ale nadal blefował.

— Co byś w ten sposób uzyskał? — Reszta utonęła w jazgocie

przejeżdżającego pociągu.

— Mógłbym się trochę pośmiać — odrzekłem, kiedy już odjechał. — A gdy wywołam te zdjęcia, będę miał co włożyć do albumu, aby nie zapomnieć o tobie. — Pokazałem mu żółtą rolkę filmu.

— Najbardziej podoba mi się to, na którym walisz tego małego grubaska. Może nawet zrobię powiększenie.

— Blefujesz.

— Czyżby? — Pokazałem mu Leicę. — Wypstrykałem dwie rolki po trzydzieści sześć zdjęć. Jest tam wszystko, jak to mówią, czarno na białym.

— Tu na dole jest zbyt słabe światło, aby można było robić zdjęcia.

— To Tri X. Najwyraźniej fotografika nie jest twoim hobby. Powieszę kilka co ciekawszych na tablicy ogłoszeń w twoim biurze. W redakcjach gazet będą się o nie zabijać. Nie mówiąc już o policji. — Odwróciłem się, by odejść. — To na razie. Czemu nie pomodlisz się do swego diabła? Może zjawi się i uwolni cię z opresji.

Ironiczny grymas na twarzy Krusemarka zastąpiło głębokie zatroskanie.

— Zaczekaj, Angel. Przedyskutujmy to.

— O to mi właśnie chodziło. Ty mów, ja posłucham.

Krusemark wyciągnął wolną rękę w moją stronę.

— Oddaj mi film. Powiem ci wszystko, co wiem.

Wybuchnąłem śmiechem. — Nic z tego. Najpierw będziesz śpiewał. Jeśli spodoba mi się to, co usłyszę, oddam ci film.

Krusemark potarł nasadę nosa i wbił wzrok w brudną podłogę.

— W porządku. — Jego oczy migotały jak jo-jo, kiedy zacząłem podrzucać w dłoni upragnioną przez niego kliszę.

— Spotkałem Johnny'ego po raz pierwszy zimą trzydziestego

dziewiątego. To była wigilia Matki Boskiej Gromniczej. Świątowaliśmy ją w domu. . . no, nazwisko nie jest ważne, tak czy inaczej, ta kobieta nie żyje już od dziesięciu lat. Była właścicielką kamienicy czynszowej przy 5 Alei, niedaleko miejsca, gdzie wybudowali to paskudne muzeum Franka Lloyda Wrighta. W dawnych czasach miejsce to słynęło z wyprawianych tam balów dla ludzi z wyższych sfer. Pani Astor, Czterystulecie i takie tam. W wielkiej sali balowej urządzano jednak wyłącznie ceremonie Starej Wiary oraz Sabaty. W każdym razie ja nie wiem o niczym innym. . .

— Czarne Msze?

— Czasami. Nie byłem tam na żadnej, ale miałem przyjaciół, którzy brali w nich udział. I właśnie tamtej nocy poznałem Johnny'ego. Od początku wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Nie miał więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat, ale było w nim coś szczególnego. Niemalże czuło się moc płynącą od niego jak prąd elektryczny. Nigdy w życiu nie widziałem drugiej osoby, która miałaby równie żywe i przenikliwe oczy, a przecież mam już na karku tych kilka krzyżyków.

Przedstawiłem go córce i od razu coś ich połączyło. Ona była obeznana w sztukach tajemnych i czarnej magii bardziej niż ja, dlatego w mig zorientowała się, że Johnny jest kimś niezwykłym. Jego kariera dopiero się zaczynała, chłopak był spragniony bogactwa i sławy. A mocy miał pod dostatkiem. Widziałem na własne oczy, jak w moim salonie przywołał Lucifuge Rofocale. To bardzo złożona procedura.

— Spodziewasz się, że to łyknę? — spytałem.

Krusemark przywarł do drabinki, opierając się na dolnym szczeblu.

— łyknij, wypluj, zrób, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Taka jest prawda. Johnny zagłębił się w to dużo bardziej ode mnie.

Nigdy nie ośmieliłem się dotrzeć tak daleko jak on. To, co robił, normalnego człowieka mogłoby przyprawić o utratę zmysłów. Zawsze chciał więcej. Chciał mieć wszystko. I właśnie dlatego zawarł pakt z samym Szatanem.

— Jaki pakt?

— Powiedziałbym, że tradycyjny. Zaprzedał duszę w zamian za sławę i bogactwo.

— Gówno prawda.

— Prawda.

— To gówno i doskonale o tym wiesz. Co właściwie zrobił, podpisał pakt własną krwią?

— Nie znam szczegółów. — Spojrzenie wiszącego na drabince Krusemarka było pełne zniecierpliwienia i pogardy. — Johnny był sam na cmentarzu przy kościele Świętej Trójcy, gdzie dokonał stosownej inwokacji. Nie powinieś traktować tego z takim lekceważeniem, Angel, zwłaszcza gdy igrasz z mocami, nad którymi nie możesz panować.

— Dobra, powiedzmy, że to kupuję: Johnny Favorite zawarł pakt z diabłem.

— Sam Szatan, Księżę Ciemności przybył do niego z Otchłani Piekieł. To musiało być wspaniałe widowisko.

— Przehandlowanie własnej duszy to chyba dość kruchy interes. Bądź co bądź, wieczność to kawał czasu.

Krusemark uśmiechnął się.

— Pycha — powiedział. — Grzechem Johnny'ego była pycha. Wydawało mu się, że jest w stanie okpić samego Księcia Ciemności.

— W jaki sposób?

— Musisz zrozumieć, że jestem tylko zwykłym wyznawcą, a nie biegłym w sztukach uczonym. Byłem świadkiem owego rytuału,

lecz nie mogę powiedzieć ci nic więcej o magicznej naturze owych inwokacji ani o tym, co się działo w ciągu trwających wiele tygodni poprzedzających je przygotowań.

— Przejdź do rzeczy.

Zanim to nastąpiło, przerwał mu kolejny nadjeżdżający ekspres. Spojrzałem mu w oczy i on również odnalazł moje spojrzenie. Nawet nie mrugnął powieką, kiedy układał w głowie ciąg dalszy tej historii, do momentu gdy ostatni z wagonów składu zniknął za zakretem.

— Z pomocą Szatana Johnny bardzo szybko stał się sławny. Zdobył naprawdę wielką sławę. W ciągu dwóch tygodni znalazł się na pierwszych stronach gazet, w ciągu kilku lat zgromadził tyle bogactwa, ile kryje Fort Knox. Chyba uderzyło mu do głowy. Uważał, że to on był źródłem tej wielkiej mocy, a nie Pan Ciemności. Wkrótce zaczął się chełpić, że znalazł sposób na wykręcenie się sianem z tego interesu.

— I rzeczywiście?

— Próbował. Miał sporą bibliotekę i w manuskrypcie jakiegoś renesansowego alchemika natknął się na pewien mroczny, zapomniany rytuał. Był on związany z transmutacją dusz. Johnny wpadł na pomysł, że mógłby zamienić się z kimś na duszę. Przyjął jaźń całkiem innej osoby.

— Mów dalej.

— Cóż, potrzebował do tego ofiary. Kogoś w swoim wieku, urodzonego pod tym samym znakiem zodiaku. Johnny znalazł sobie młodego żołnierza, który wrócił właśnie z Afryki Północnej. Był jednym z pierwszych rannych spośród naszych chłopców. Zwolniono go z odpowiednim zaświadczeniem i chłopak świętował w najlepsze nadejście Nowego Roku. Johnny wyłuskał go z tłumu przy Times Square. W barze nafaszerował go jakimiś prochami i

przewiózł do swojego mieszkania. Tam odbyła się wspomniana ceremonia.

— Jaka ceremonia?

— Rytuał transmutacji. Meg asystowała mu przy rytuale. Ja byłem świadkiem. Johnny miał mieszkanie w Waldorf i jeden pokój zawsze był pusty, aby można było w nim przeprowadzać najróżniejsze obrzędy. Pokojówkom mówiono, że ćwiczy tam przed koncertami. Okna zasłonięte były ciemnymi, welurowymi zasłonami. Żołnierz leżał nagi na wznak, na gumowej macie. Johnny nazaczył jego pierś symbolem pentagramu. W każdym rogu pokoju stał koksowy kosz, w którym paliło się kadzidło, ale woń przypalanego ciała była dużo mocniejsza.

Meg wyjęła z pochwy dziewiczy sztylet, którego nigdy wcześniej nie używano. Johnny pobłogosławił go po grecku i hebrajsku. Modlitwy te były mi nie znane, nie rozumiałem z nich ani słowa. Kiedy skończył, opalił ostrze nad płomieniem na ołtarzu i głęboko naciął żołnierzowi oba sutki. Unurzał ostrze we krwi chłopaka i nakreślił nią krąg na podłodze, wokół ciała.

Potem znów były śpiewy i kolejne inwokacje. Nic z tego nie pojmowałem. Pamiętam tylko zapachy i tańczące cienie. Meg dorzuciła czegoś do ognia i płomienie zmieniły kolor, były zielone, niebieskie, fioletowe, różowe. To wszystko robiło zaiste hipnotyczne wrażenie.

— Trąci mi to jarmarcznymi pokazami w jakiejś zapadłej dziurze. Co się stało z tym żołnierzem?

— Johnny zjadł jego serce. Wykroił je tak szybko, że biło jeszcze, kiedy je rozdzierał zębami. I to był koniec całego rytuału. Może faktycznie przejął duszę tego chłopaka, dla mnie wciąż wyglądał tak samo jak stary Johnny.

— Co dało mu zabicie tego żołnierza?

— Zamierzał przy najbliższej okazji zniknąć wszystkim z oczu i pojawić się ponownie już jako ów żołnierz. Od jakiegoś czasu gromadził pieniądze w sekretnych kryjówkach. Szatanowi prawdopodobnie i tak było wszystko jedno. Sęk w tym, że Johnny nie zabezpieczył wszystkich baz. Zaciągnął się do wojska, zanim zdążył doprowadzić swój plan do końca, lecz to, co wróciło, nie pamiętało nawet własnego nazwiska, a co dopiero mówić o hebrajskich inwokacjach.

— I tu na scenie pojawia się twoja córunia.

— Właśnie. Minął rok. Meg nalegała, żebyśmy mu pomogli. Wyłożyłem gotówkę, aby przekupić doktora i w sylwestra wysadziliśmy Johnny'ego przy Times Square. To był pomysł Meg. Dopilnowała tego. To był początek, ostatnie miejsce zapamiętane przez żołnierza, zanim Johnny nafaszerował go prochami.

— Co się stało z ciałem?

— Rozczłonkowano je i rzucono na pożarcie psom gończym w mojej psiarni na północy stanu.

— Co jeszcze pamiętasz?

— W zasadzie już nic. Może Johnny żartował sobie, kiedy już było po wszystkim. Żartował sobie z ofiary. Powiedział, że ten biedny skurwiel nie miał za grosz farta. Wysłali go za morze, do Oranu, by wziął udział w inwazji, i ostatecznie kto pakuje w niego kulę? — pieprzony żabojad! Francuz! Johnny uważał, że to naprawdę zabawne.

— Przecież ja byłem w Oranie! — Schwyciłem Krusemarka za koszulę i pchnąłem z impetem na drabinkę. — Jak się nazywał ten żołnierz?

— Nie wiem.

— Przecież byłeś wtedy w tym pokoju.

— Dowiedziałem się o wszystkim tuż przed rozpoczęciem

obrzędu. Byłem tylko świadkiem ceremonii.

— Córka musiała ci powiedzieć.

— Nie zrobiła tego, bo sama nie wiedziała. Na tym polega ta magia. Tylko Johnny znał personalia ofiary. Tylko on znał jego prawdziwe imię i nazwisko. Ktoś, komu ufał, musiał strzec jego sekretu, dla niego. Johnny zapieczętował nieśmiertelniki żołnierza w starej egipskiej urnie i podarował je Meg.

— Jak wyglądała ta urna? — Byłem o włos od uduszenia go. — Czy widziałeś ją kiedykolwiek?

— Wielokrotnie. Meg trzymała ją na swoim biurku. Była wykonana z alabastru, białego alabastru i miała na wieku wyrzeźbionego trójgłowego węża.

Rozdział czterdziesty szósty

Śpieszyło mi się. Wbijając lufę 38-ki w żebra Krusemarka, otworzyłem kajdanki i włożyłem obrączki do kieszeni.

— Nie ruszaj się — ostrzegłem, wycofując się w stronę wyjścia, celując w przeponę Ethana. — Nawet nie oddychaj.

Krusemark roztarł nadgarstek. — A co z filmem? Obiecałeś, że oddasz.

— Przepraszam. Skłamałem. Nauczyłem się tego, zadając się z ludźmi twojego pokroju.

— Muszę mieć ten film.

— Taa. Wiem. To urzeczywistnienie marzeń każdego satanisty.

— Jeżeli chodzi ci o forszę, Angel. . .

— Możesz podetrzeć sobie tyłek swoimi śmierdzącymi pieniędzmi.

— Angel!

— No to na razie, ogierze. — Znalazłem się w przejściu, w chwili gdy obok przemknął pociąg miejscowej linii, jadący do dzielnicy północnej. Nie obchodziło mnie, czy motorniczy mnie zauważy czy nie. Popełniłem tylko jeden błąd, chowając smith and wesson do kieszeni. No cóż, czasami każdy z nas popełnia błędy. Nie usłyszałem biegnącego w moją stronę Krusemarka, aż do chwili, kiedy schwycił mnie za gardło. Źle go oceniłem. Był jak dzikie zwierzę, silny i niebezpieczny. Niewiarygodnie silny, jak na faceta w jego wieku. Oddychał krótkimi, gniewnymi sapnięciami.

I z nas dwóch tylko on jeden oddychał.

Nawet oburącz nie byłem w stanie przełamać jego chwytu. Stałem na jednej nodze, drugą podciąłem go i obaj straciliśmy

równowagę. Odbiliśmy się od ściany przejeżdżającego pociągu, a impet, rozdzieliwszy nas gwałtownie jak szmaciane lalki, odrzucił mnie na pobliską ścianę.

Krusemark zdołał utrzymać się na nogach. Ja nie miałem tyle szczęścia. Leżąc rozciągnięty jak pijak na pylistej ziemi, patrzyłem, jak żelazne koła przetaczają się o kilka cali od mojej twarzy.

Pociąg przyspieszył i odjechał w dal. Krusemark wymierzył kopniaka w moją głowę. Złapałem go za nogę i szarpnąłem. Dość już miałem kopania, jak na jeden tydzień.

Nie miałem czasu wyjąć 38-ki. Krusemark plasnął na ziemię naprzeciw mnie, a ja rzuciłem się na niego, wbijając pięść w bok jego szyi. Chrząknął jak ropucha, kiedy się na nią następuje. Uderzyłem go jeszcze raz, z całej siły, poczułem, jak jego nos zapada się i pęka jak przegniły owoc. Złapał mnie za włosy, przyciągając moją głowę do swojej piersi, po czym obaj zaczęliśmy się miotać na wąskim spłachetku ziemi, drapiąc się, kopiąc i okładając pięściami.

To nie była uczciwa walka. Markizowi Queensbery na pewno nie przypadłaby do gustu. Krusemark przyszpilił mnie do ziemi i zaczął dusić. Nie mogąc rozewrzeć jego silnych dłoni, naparłem na jego podbródek i odchyliłem mu głowę w tył. Ponieważ nie poskutkowało, wbiłem mu w oko kciuk. Tym razem się udało. Zanim tuż obok przemknął kolejny pociąg, usłyszałem przeciągły skowyt Krusemarka. Rozluźnił uścisk, a ja wyślizgnąłem się zwinnie, usiłując zaczerpnąć tchu. Schwyciłem jego szukające na oślep dłonie i spleceni w zapaśniczym uścisku, przetoczyliśmy się na tory. W końcu to ja znalazłem się na górze i usłyszałem, jak Krusemark uderza głową o drewniany podkład. Dla pewności kopnąłem go jeszcze kolanem w krocze. Po tym ciosie stary dziwnie stracił ochotę do walki.

Wstałem i sięgnąłem do kieszeni po rewolwer. Okazało się, że w ferworze walki gdzieś go zgubiłem. Chrzęst żwiru ostrzegł mnie przed Krusemarkiem, który podnosił się właśnie z ziemi jak mroczna zjawia. Rzucił się na mnie, a ja odpowiedziałem, waląc z całej siły prawym sierpowym. Uchylił się i dostał dwa proste w przeponę. Był twardy i nieugięty, ale wiem, że go uszkodziłem.

Zarobiłem pięścią w ramię i natychmiast trzasnąłem go prawą pięścią w twarz, trafiając w brew tuż nad okiem. Miałem wrażenie, jakbym uderzył w skałę. Ból sparaliżował mi całą dłoń.

A cios bynajmniej nie spowolnił Krusemarka. Szedł chwiejnie, dalej atakując mnie krótkimi, punktowymi prostymi. Nie mogłem zablokować wszystkich i kilka razy mnie dosięgnął, kiedy schyliłem się po marynarkę, gdzie w kieszeni miałem kajdanki. Zamachnąłem się nimi jak cepem, uderzając go w twarz. Trzask stali natrafiającej na kość brzmiał w mych uszach jak najcudowniejsza muzyka. Walnąłem go jeszcze raz, nad uchem, i upadł z głuchym sieknięciem. Nagły krzyk Krusemarka odbił się gromkim echem i ucichł w ciemnościach tunelu jak wrzask człowieka spadającego w przepaść. Metaliczne, elektryczne brzęczenie przepełniło mrok charakterystycznym poszumem. Trzecia szyna.

Nie chciałem dotykać ciała. Było za ciemno, abym mógł mu się lepiej przyjrzeć. Cofnąłem się na bezpieczny spłachetek przejścia. W słabym świetle odległej żarówki widziałem tylko zarys jego ciała, leżącego bezwładnie na torach.

Wróciłem do niszy przy wyjściu i u stóp drabinki przejrzałem zawartość skórzanej walizki. Lwia maska z papier mache łypnęła na mnie srodze. Pod zmiętą czarną peleryną znalazłem małą, plastikową latareczkę. To było wszystko. Wszedłem do tunelu i zapaliłem ją. Krusemark leżał jak sterta starych łąchów; na jego twarzy zastygł grymas przedśmiertnego cierpienia. Nie widzące

oczy wpatrywały się w szyny, usta otwarte były w niemym krzyku. Z nadpalonego ciała unosiła się w górę smużka dymu. Wytarłem moje odciski palców z rączki, a walizkę rzuciłem obok niego. Maską spadła na żwir. Przyświecając sobie latarką, odnalazłem moją 38-kę. Leżała kilka stóp dalej, pod ścianą. Podniosłem ją i włożyłem do kieszeni. Kłykie mojej prawej dłoni pulsowały tępym bólem. Poruszałem palcami, aby się przekonać, czy nie mam żadnych złamań. Nie. Gorzej było z Leicą. Obiektyw przecinała wąska pajęczyna drobniutkich pęknięć.

Sprawdziłem kieszenie. Było w nich wszystko, z wyjątkiem skórzanego amuletu na szczęście od Epiphany. Musiałem go zgubić podczas walki. Rozejrzałem się pospiesznie, ale nigdzie go nie zauważyłem. Zatrzymałem latarkę Krusemarka i ruszyłem ścieżką przed siebie, pozostawiając potentata żeglugowego na torach, aby rozczłonkował go następny przejeżdżający pociąg. Dzisiejszej nocy szczury będą miały ucztowanie.

Opuściłem metro przez stację przy 23 i na rogu południowej Park Avenue złapałem taksówkę do dzielnicy północnej. Podałem kierowcy adres Margaret Krusemark i dziesięć minut później wysadził mnie przy Carnegie Hali. Na rogu ulicy stał jakiś staruch w łachmanach, rzępoląc jakiś utwór Bacha na skrzypcach posklepanych do kupy taśmą izolacyjną.

Wjechałem windą na dziesiąte, nie przejmując się, czy operator zapamięta moją twarz. Było już za późno na tego typu drobiazgi. Drzwi do mieszkania Margaret Krusemark zostały zabezpieczone przez policję. Zamek był zaklejony paskiem podgumowanej taśmy. Zdarłem go, sforsowałem zamek i wszedłem, wycierając kławkę rękawem.

Włączając latarkę jej tatusia, skierowałem promień w głąb mieszkania. Stolik, na którym leżały zwłoki, usunięto, podobnie jak

kanapę i perski dywan. Ich miejsce zajmowały kontury ciała, wyklejone starannie taśmą. Przypominały one rysunkowego ludzika, niosącego beczkę.

W saloniku nie było nic, co mogłoby mnie zainteresować. Przeszedłem krótkim korytarzykiem do sypialni więdźmy. Na każdej szufladzie biurka i drzwiczkach szafek widniała policyjna pieczęć. Poświeciłem latarką na blat biurka. Kalendarz i rozrzucone papiery zniknęły, ale rządęk książeek naukowych pozostał nie tknięty. Stojąca obok nich alabastrowa kanopejska urna lśniła jak polerowana kość.

Trzęsły mi się ręce, kiedy ją podnosiłem. Majstrowałem przy niej przez kilka minut, ale pokrywa z rzeźbionym trzygłowym wężem nie dała się otworzyć. Zrozpaczony cisnąłem naczyniem o ziemię. Roztrzaskało się w drobny mak. Wśród odłamków dostrzegłem jakiś metaliczny błysk i poświeciłem latarką. Wśród zwojów złożonego z paciorków łańcuszka załśniły dwa wojskowe nieśmiertelniki. Podniosłem mały, prostokątny kawałek metalu do światła. W tej samej chwili zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Przesunąłem lodowatymi palcami po wypukłych literach. Na blaszce, oprócz numeru seryjnego i grupy krwi, wytłoczone było imię i nazwisko: ANGEL, HAROLD R.

Rozdział czterdziesty siódmy

Nieśmiertelniki pobrzękiwały w mojej kieszeni, kiedy zjeżdżałem na dół. Spojrzałem na buty operatora windy i przesunąłem kciukiem po tłoczonych metalowych literach jak ślepiec czytający tekst w języku Braille'a. Kolana miałem jak z waty, ale mój umysł pracował jak należy, usiłując połączyć wszystkie elementy tej układanki. Nic w niej nie pasowało. To musiało być ukartowane, nieśmiertelniki zostały podrzucone. Krusemarkowie, jedno lub oboje, najwyraźniej maczali w tym palce. Mózgiem był Cyphre. Ale dlaczego? O co w tym wszystkim chodziło? Kiedy wyszedłem na ulicę, chłodne, nocne powietrze wyrwało mnie z transu. Wrzuciłem plastikową latarkę Krusemarka do kosza i zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę. Wiedziałem, że muszę zniszczyć dowody zamknięte w moim sejfie.

— Róg 42 i 7 — zwróciłem się do kierowcy.

Ruszyliśmy z kopyta, załapując się na wszystkich zielonych światłach. Przez otwory w pokrywach kanałów wypływały smużki pary, nadając ulicy wygląd dekoracji teatralnych do ostatniego aktu *Fausta*.

Johnny Favorite zaprzedał duszę Mefistofelesowi, a potem usiłował się wymigać od spłacenia swojej obietnicy, poświęcając żołnierza noszącego moje nazwisko. Pomyślałem o eleganckim uśmiechu Louisa Cyphre'a. Co miał nadzieję zyskać dzięki tej szaradzie? Przypomniałem sobie Nowy Rok 1943 na Times Square tak wyraziście, jakby to była pierwsza noc mojego życia. Byłem trzeźwy jak świnia pośród całego morza ochlapusów, nieśmiertelniki miałem schowane bezpiecznie w portfelu, kiedy mi

go ukradziono. Szesnaście lat później znajdują się w mieszkaniu zamordowanej kobiety. Co się tu działo, u licha?

Times Square lśnił jak neonowy czyściec. Podłubałem w moim niekształtnym nosie i spróbowałem powrócić pamięcią do przeszłości. Większość zdarzeń odeszła w niepamięć, wymazana francuskim pociskiem artyleryjskim w Oranie. Pozostały tylko fragmenty i strzępki. Często powracały za przyczyną zapachów. Do diaska, wiedziałem, kim byłem. Wiem, kim jestem.

Światło w moim biurze było zapalone, kiedy zatrzymaliśmy się przed sklepem z nowościami. Licznik wskazywał siedemdziesiąt pięć centów. Rzuciłem kierowcy dolara, mamrocząc: — Reszta dla ciebie.

Miałem nadzieję, że się nie spóźniłem. Wbiegłem schodami pożarowymi na drugie piętro, aby nie zdradził mnie hałas klekoczącej windy. W korytarzu było ciemno, podobnie w poczekalni, ale światło z gabinetu przebijało przez mleczną szybę w drzwiach frontowych. Wyjąłem broń i wszedłem. Drzwi do mego gabinetu były otwarte na oścież, światło zalewało wyściełający podłogę wyświechtany dywan. Odczekałem chwilę, ale niczego nie usłyszałem.

W moim gabinecie panował bałagan, biurko było wybebeszone, szuflady opróżnione, zawartość rozsypana po linoleum. Zielona wgięta szafka biurowa leżała na boku, w kącie walały się pomięte jak jesienne liście błyszczące zdjęcia dzieciaków, które prysnęły z domu. Kiedy postawiłem mój przewrócony obrotowy fotel, ujrzałem, że stalowe drzwi do biurowego sejfu są otwarte na oścież.

I wtedy zgasło światło. Nie w biurze, w mojej głowie. Ktoś dał mi po łbie czymś, co z grubsza przypominało kij do baseballa. Usłyszałem ostry trzask, kiedy trafił mnie w czaszkę, a ja runąłem

do przodu, zapadając się w ciemność.

Ocknąłem się, gdy ktoś spryskał mi twarz zimną wodą. Usiadłem, prychając i zamrugałem powiekami. W głowie pulsowało mi jak ta lala. Nade mną stał Louis Cyphre odziany we frak, polewając mnie wodą z papierowego kubka. W drugim ręku trzymał mojego smith and wessona.

— Znalazłeś to, czego szukałeś? — zapytałem.

Cyphre uśmiechnął się. — Tak, dziękuję. — Zmiał kubek i cisnął na zaśmieconą podłogę.

— Człowiek wykonujący pański zawód nie powinien ukrywać swoich tajemnic w blaszanych puszkach. — Wyjął z kieszeni marynarki horoskop sporządzony przez Margaret Krusemark. — Podejrzewam, że policja bardzo się ucieszy, gdy to zobaczy.

— Nie uda ci się, nie wymigasz się z tego.

— Ależ, panie Angel, już mi się udało.

— Po co wróciłeś? Przecież miałeś już ten horoskop.

— W ogóle stąd nie wyszedłem. Byłem w sąsiednim pokoju. Przeszedłeś tuż obok mnie.

— Pułapka.

— I to doskonała. Wpadłeś w nią na własną prośbę. — Cyphre wolno wsunął horoskop do kieszeni.

— Przepraszam, że cię uderzyłem, ale potrzebowałem kilku twoich rzeczy.

— Na przykład?

— Twój rewolwer. Mam już nawet pomysł, do czego go użyję. — Sięgnął do kieszeni i niespiesznie wyjął nieśmiertelniki, trzymając je za łańcuszki ze srebrnych paciorków. — I tego również.

— To było sprytne — mruknąłem. — Podłożyć je w mieszkaniu Margaret Krusemark. Jak ci się udało nakłonić jej ojca do

współpracy?

Uśmiech Cyphre'a poszerzył się.

— Nawiasem mówiąc, jak się miewa pan Krusemark?

— Nie żyje.

— Szkoda.

— Widzę, że bardzo to tobą wstrząsnęło.

— Zawsze żal, gdy traci się jednego z wiernych wyznawców.

— Cyphre bawił się nieśmiertelnikami, zwijając łańcuszek między spiczasto zakończonymi palcami. Na jednym z nich zabłysnął grawerowany sygnet doktora Fowlera.

— Skończ z tym cyrkiem. Aluzyjnie brzmiące nazwisko nie czyni z ciebie tego, za kogo się podajesz.

— Wolałbyś ogon i kopyta?

— Skojarzyłem sobie to wszystko dopiero dzisiaj wieczorem. Przez cały czas igrałeś ze mną. Lunch w Voisin. Powinienem był się domyślić, kiedy dowiedziałem się, że 666 to numer Bestii z Objawienia św. Jana. Cóż, nie jestem już tak bystry jak kiedyś.

— Rozczarował mnie pan, panie Angel. Powinienem był się domyślić, że rozszyfrowanie dobrego żarciku związanego z moim imieniem i nazwiskiem nie sprawi ci większych trudności. — Zachichotał w głos, rozbawiony własnym, dość miernym poczuciem humoru.

— Sprytny pomysł z wrobieniem mnie w popełnione przez ciebie morderstwa — powiedziałem. — Jest tylko jedno małe „ale”.

— To znaczy?

— Herman Winesap. Żaden gliniarz nie uwierzy w historyjkę o kliencie podającym się za Lucyfera, coś takiego mógłby wymyślić wyłącznie kompletny szajbus. Ale mam po swojej stronie Winesapa. I on to potwierdzi.

Cyphre założył na szyję łańcuszek z nieśmiertelnikami i łypnął

na mnie z wilczym uśmiechem.

— Z przykrością donoszę, że mecenas Winesap miał wczoraj wypadek w Sag Harbor. Jego łódka wywróciła się. Straszna historia. Ciała nie odnaleziono.

— Myślisz o wszystkim, zgadza się?

— Staram się być dokładny — odrzekł. — Teraz jednak zechce mi pan wybaczyć, panie Angel. Mimo iż ta rozmowa jest dla mnie niezmiernie miła, mam jeszcze pewną nader ważną sprawę do załatwienia. Byłoby wielce nieroztropne, gdybyś próbował mnie zatrzymać. Jeżeli spróbujesz choćby wyściubić nos z tego biura, zanim stąd wyjdę, będę musiał cię zastrzelić. — Cyphre zatrzymał się w progu jak mistrz ceremonii schodzący ze sceny i wygłaszający swą ostatnią kwestię. — Ponieważ bardzo mi zależy na zamknięciu wszystkich wątków pobocznych tej sprawy, wiedz, że byłoby mi bardzo przykro, gdybyś musiał zginąć od kuli wystrzelonej z własnego rewolweru.

— Całuj mnie w dupę! — rzuciłem.

— To nie będzie konieczne, Johnny — uśmiechnął się Cyphre. — Ty już pocałowałaś moją.

Delikatnie i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi do zewnętrznego gabinetu. Podniosłem się na czworakach i znieruchomiałem pośród porozrzucanych rzeczy i sprzętów naprzeciwko otwartego sejfu. W pustym pudełku po cygarach na dolnej półce trzymałem zapasowe kopyto. Poczułem, że serce wali jak tam — tam w mojej piersi, gdy zgarniałem leżące tam papiery na jedną stronę. Pudełko było na swoim miejscu. Uniosłem wieko i wyjąłem kolta commandera kaliber .45. Ścisnąłem go w dłoni jak ucieleśnienie pięknego snu.

Włożyłem do kieszeni zapasowy magazynek i szybkim krokiem podszedłem do drzwi. Przyłożywszy ucho do szyby, nasłuchiwałem

szczęku zamykanych drzwi windy. Kiedy wreszcie się rozległ, wprawnym ruchem przeładowałem pistolet, wprowadzając nabój do komory. Ujrzałem szczyt kabiny windy przesuwający się za okrągłą szybką w drzwiach i popędziłem ku schodom pożarowym.

Przeskakiwałem po cztery stopnie naraz, przytrzymując się poręczy dla zachowania równowagi, i ustanowiłem nowy rekord w kategorii pościgu za windą. Wypadłem zdyszany na klatkę schodową, przytrzymałem stopą drzwi pożarowe, trzymany oburącz automat oparłem o framugę. W uszach miałem grzmiący łoskot walącego jak perkusja serca.

Modliłem się, by Cyphre wciąż miał w ręku mój rewolwer, kiedy otworzą się drzwi. Wówczas będę działał w samoobronie. Zobaczymy, jak dobra okaże się jego magia w zetknięciu z mocą pułkownika Colta. Wyobraziłem sobie ciężkie pociski wbijające się w jego ciało, zbijające go z nóg, jego czarną krew zabryzgującą koronkowy przód drogiej białej koszuli. Podając się za diabła, mógł nabierać parających się voodoo czarnych pianistów i podstarzałe wróżki, ale ja byłem za cwany na taki kit. Wybrał niewłaściwego człowieka, żeby rozegrać tę swoją chorą gierkę. Okrągła szybka w zewnętrznych drzwiach wypełniła się światłem, kiedy winda zatrzymała się z metalicznym klekotem. Wymierzyłem broń i wstrzymałem oddech. Szatańska szarada Louisa Cyphre' a miała się lada chwila zakończyć. Czerwone, metalowe drzwi rozsunęły się. Kabina była pusta. Podszedłem do niej chwiejnym krokiem, jak lunatyk. Nie wierzyłem własnym oczom. Przecież nie mógł tak zniknąć. Niby w jaki sposób? Nie było innej drogi. Obserwowałem strzałkę nad drzwiami i widziałem zapalające się kolejno cyfry. Winda zjechała na dół, nie zatrzymując się po drodze na żadnym z pięter. Cyphre nie mógł wysiąść, skoro winda ani razu nie przystanąła.

Wszedłem do środka i nacisnąłem przycisk najwyższego piętra. Kiedy kabina zaczęła sunąć pod górę, wszedłem na mosiężne poręcze, zapierając się stopami o przeciwległe ścianki i otworzyłem klapę wyjścia awaryjnego w suficie. Wychyliłem głowę na zewnątrz i rozejrzałem się. Cyphre'a nie było na dachu kabiny. Nie miałby się gdzie ukryć pośród naoliwionych kabli i obracających się kół zamachowych.

Z trzeciego piętra schodami pożarowymi wszedłem na dach. Rozejrzałem się uważnie wokół kominów i wieżyczek wentylatorów; pokryta pęcherzami papa ugiwała się pod moimi stopami. Nigdzie go nie było. Wychyliłem się ponad murkiem na krawędzi dachu i spojrzałem w dół, na ulicę. Najpierw zlustrowałem 7 Aleję, potem z naroża budynku spory fragment 42.

W tę niedzielną noc na ulicach było mało ludzi. Jedynie dziwki płci obojga spacerowały leniwie po chodnikach. W zasięgu wzroku nie dostrzegłem charakterystycznej sylwetki Louisa Cyphre'a.

Usiłowałem logicznym rozumowaniem pokonać ogarniające mnie zakłopotanie. Skoro nie było go na ulicy ani na dachu, jeżeli nie wyszedł z windy, to znaczy, że wciąż musi być gdzieś w budynku. To było jedyne możliwe wytłumaczenie. Ukrywał się gdzieś. Musiał gdzieś tam być.

Przez następne pół godziny spenetrowałem cały budynek. Zajrzałem do wszystkich dziur, łazienek i składzików. Za pomocą speckluczy zajrzałem do każdego mrocznego i pustego biura. Przeszukałem mieszkanie Iry Kipnisa i salon piękności Olgi. Bez powodzenia. Odwiedziłem paskudne poczekalnie trzech podrzędnych gabinetów dentystycznych, klitkę wielkości garderoby, gdzie urzędował numizmatyk i filatelista w jednej osobie, handlujący rzadkimi znaczkami oraz monetami.

Zagubiony, powróciłem do swego biura. To wszystko

wydawało się bez sensu. Nikt nie może, ot tak, rozpuścić się w powietrzu. To musiała być jakaś sztuczka. Osunąłem się na powrót w miękką głębię obrotowego fotela, ale w dalszym ciągu nie wypuszczałem pistoletu z ręki. Po drugiej stronie ulicy trwała nieustrudzona prezentacja najważniejszych dzisiejszych wiadomości: „. . . W Stanach Zjednoczonych stwierdzono najwyższy poziom opadu strontu 90. . . Hindusi martwią się losem Dalajlamy. . . ” Zanim przyszło mi do głowy, aby zadzwonić do Epiphany, było już za późno. Arcymistrz Oszustów zdołał okpić mnie raz jeszcze.

Rozdział czterdziesty ósmy

Nie cichnący, przeciągły sygnał przesycala ta sama nuta rozpacz, która pobrzmiwała w samotnym głosie hiszpańskiego żeglarza w butelce doktora Cyphre'a. Jeszcze jedna zbłąkana dusza. Jak ja. Siedziałem przez dłuższą chwilę, trzymając słuchawkę przy uchu, samotna drobina pośród chaosu mego obróconego w perzynę biura. W ustach czułem suchość i smak popiołu. Porzuciłem wszelkie nadzieje. Nie zostało mi już nic. Przesząpiłem próg, przypieczętowując tym swą zgubę.

Po chwili wstałem i powłócząc nogami, zszedłem po schodach i wyszedłem na ulicę. Przystanąłem na rogu Rozstajów Świata, zastanawiając się, dokąd iść. Ale to w gruncie rzeczy już nie miało znaczenia. Uciekałem już zbyt długo i dotarłem zbyt daleko. Teraz ucieczka dobiegła końca.

Wypatrzyłem wolną taryfę jadącą wzdłuż 42 na wschód i zatrzymałem ją.

— W jakieś konkretne miejsce? — Sarkastyczne słowa kierowcy przerwały długie, posępne milczenie.

Moje słowa dobiegały z daleka, jakby wypowiadał je ktoś inny.

— Hotel Chelsea przy 23.

— To między 7 a 8?

— Właśnie.

Przy 7 skręciliśmy do śródmieścia, a ja skuliłem się w rogu siedzenia i beznamiętnie lustrowałem wymarły świat po drugiej stronie szyby. W oddali jak rozjuszony demony ryczały wozy straży pożarnej. Minęliśmy ogromne kolumny Penn Station, szare i ponure w świetle lamp. Kierowca milczał. Ja nuciłem pod nosem

jedną z popularnych podczas wojny piosenek Johnny'ego Favorite'a. Miałem tylko kilka równie ważnych przebojów.

Biedny, stary Harry Angel, rzucony jak nędzne resztki psom na pożarcie. Zabiłem go i zjadłem jego serce, ale w gruncie rzeczy to właśnie ja umarłem. Żadna moc, żadna magia nie mogły tego zmienić. Żyłem na kredyt, korzystając z cudzych wspomnień; byłem zepsuta, plugawą hybrydą, usiłującą uciec przed przeszłością. Powinienem był wiedzieć, że to niemożliwe. Nieważne, jak sprytnie spróbujesz podkraść się do lustra, twoje odbicie i tak zawsze spojrzy ci prosto w twarz.

— Wygląda na to, że było tu dzisiaj gorąco. — Kierowca zatrzymał taksówkę naprzeciw Chelsea, gdzie przy chodniku stały trzy wozy patrolowe i policyjny ambulans. Skasował licznik. — Należy się dolar sześćdziesiąt.

Zapłaciłem awaryjną pięćdziesiątką, mówiąc, aby zatrzymał resztę.

— To nie piątek, szefie. Pomylił się pan.

— I to wiele razy — mruknąłem i szybkim krokiem przeciąłem chodnik o barwie kamieni nagrobnych.

W holu przez telefon w recepcji rozmawiał jakiś policjant, ale przepuścił mnie, nawet na mnie nie spojrzawszy. — . . . trzy czarne, pięć zwykłych, jedna herbata z cytryną — rzekł, kiedy drzwi windy zamknęły się z cichym chrzęstem.

Wjechałem na górę. Wsiadłem na swoim piętrze. W korytarzu stały nosze. Pod ścianą zauważyłem dwóch sanitariuszy.

— I po co cały ten pośpiech? — poskarżył się jeden z nich. — Przecież i tak od samego początku wiedzieli, że jedziemy do sztywniaka.

Drzwi do mojego mieszkania były otwarte na oścież. Z wnętrza doszedł trzask zużywanej żarówki. Powietrze przesyciała woń

tanich cygar. Wszedłem bez słowa do mieszkania. W środku kręcili się trzej mundurowi gliniarze, nie mieli nic do roboty. Sierżant Deimos siedział za stołem, odwrócony do mnie plecami, podając komuś przez telefon mój rysopis. W sypialni trzasnęła jeszcze jedna żarówka.

Zajrzałem tam. Tylko raz. Wystarczyło. Epiphany leżała na wznak na łóżku. Miała na sobie tylko moje nieśmiertelniki. Cztery paskudne krawaty przywiązane do poręczy łóżka skutecznie krępowały jej nadgarstki i kostki. Spomiędzy jej rozchylonych nóg wystawał mój pozbawiony kurka smith and wesson. Lufa tkwiła w niej jak penis kochanka. Krew z jej łona błyszczała na rozwartych udach dziewczyny jak płatki róż.

Porucznik Sterne był jednym z pięciu obecnych w sypialni detektywów po cywilnemu i z rękami w kieszeniach patrzył, jak fotograf ukląkł, by zrobić jeszcze jedno zbliżenie.

— Kim pan jest, u diabła? — spytał glina, który nagle pojawił się za moimi plecami.

— Mieszkam tu.

Sterne spojrzał w moją stronę. Jego zaspane oczy rozszerzyły się.

— Angel? — W jego głosie pojawiła się nuta niedowierzania. — To ten facet. Brać go!

Gliniarz za moimi plecami zręcznym chwytem unieruchomił mi rękę. Nie stawiałem oporu.

— Oduść sobie te tanie sztuczki — powiedziałem.

— Sprawdźcie, czy ma kopyto — warknął Sterne. Inni gliniarze patrzyli na mnie jak na rzadki okaz zwierzęcia w zoo.

Obręcze kajdanek wpiły mi się w nadgarstki. Gliniarz obszukał mnie od stóp do głów i wyjął kolta, którego miałem z tyłu za paskiem.

— Ciężka artyleria — rzekł, podając rewolwer Sterne'owi. Porucznik spojrział na kolta commandora, sprawdził bezpiecznik i odłożył broń na nocny stolik.

— Czemu wróciłeś?

— Nie miałem dokąd pójść.

— Kim ona jest? — Sterne wskazał palcem ciało Epiphany.

— To moja córka.

— Gówno prawda!

Do sypialni wparował sierżant Deimos.

— No, no, i co my tu mamy?

— Deimos, dzwoń na komendę i powiedz, że zatrzymaliśmy podejrzanego.

— Już się robi — mruknął sierżant i bez zbytniego pośpiechu opuścił pokój.

— Pytam raz jeszcze, Angel. Kim jest ta dziewczyna?

— Nazywa się Epiphany Proudfoot. Prowadzi sklep zielarski przy 123 i Lenox.

Jeden z detektywów skrętnie zapisał te dane. Sterne bezceremonialnie wyprowadził mnie do pokoju. Usiadłem na kanapie.

— Jak długo ją znałeś?

— Kilka dni.

— I to wystarczyło, aby ją sprzątnąć, co? Zobacz, co znaleźliśmy w kominku. — Sterne ujął mój nadpalony horoskop za nie tknięty przez ogień róg.

— Chcesz nam coś o tym opowiedzieć?

— Nie.

— Nieważne. Mamy wszystko, czego nam trzeba, chyba że ta 38-ka, tkwiąca w jej cipie, nie należy do ciebie.

— Jest moja.

- Będziesz się za to smażył, Angel.
- Będę się smażył w piekle.
- Być może. Ale najpierw my się o to zatroszczymy, w majestacie prawa.

Przypominające rekini pysk usta Sterne'a wykrzywiły się w złowróżbnym uśmiechu. Patrzyłem na jego pożółkłe zęby i przypomniałem sobie malowaną, uśmiechniętą twarz, którą ujrzałem w Steeplechase Park, ten dziwny grymas, niby radosny, a jednak przepelniony złem i wrogością. Tylko jeden był w stanie mu dorównać — wyszczerzony, emanujący aurą zła uśmiech Lucyfera. Niemalże słyszałem jego śmiech, wypełniający wnętrze tego pokoju. Śmiał się ze mnie. I to on śmiał się ostatni.